

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/522**

**1991**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ: **RODZIEWICZÓWNA**

J. ORU: **ROZWAŻANIA O FILANTROPII**

K. WOLICKI: **POLARYZACJE**

K. ORŁOŚ: **PYTANIE**

T. TORAŃSKA: **ROZMOWA Z JANEM  
NOWAKIEM**

# SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Rodziewiczówna</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	31
Ryszard Ciemiński:	<i>Nielatwa ziemia</i> .....	45
Jan Oru:	<i>Rozważania o filantropii</i> .....	56
Kazimierz Orłós:	<i>Pamięć</i> .....	67
<b>WIERSZE</b>		
Anna Frajlich:	<i>Bez adresu</i> .....	69
Krzysztof Lisowski:	<i>List do przyjaciela z Alabamy</i> .....	70
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (21)</i> .....	71
<b>KRAJ</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Polaryzacje</i> .....	76
Maciej Poleski:	<i>Projekt państwa</i> .....	85
Jerzy Boniecki:	<i>Koleiny i manowce prywatyzacji</i> .....	89
Wojciech Popławski:	<i>„Inicjatywa oddolna” widziana z Brisbane</i> .....	96
Kazimierz Orłós:	<i>Pytanie</i> .....	101
<b>WYWIADY „KULTURY”</b>		
Renata Górczyńska:	<i>Powrót Litwy na orbitę europejską (rozmowa z Tomaszem Venclovą)</i> .....	104
Teresa Torąńska:	<i>Rozmowa z Janem Nowakiem</i> .....	110
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Zbigniew Demidow:	<i>Bezkarne nadużycia</i> .....	121
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	126
Janusz Mondry:	<i>Fundacja „Zaolzie</i> .....	131
—	<i>Polscy katolicy w Moskwie</i> .....	133
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Antoni Pospieszalski:	<i>Kenneth Mackenzie</i> .....	134
—	<i>Fox, Kabejun, Epte, Ego, kto się bawi w chowanego?</i> .....	136
—	<i>Nagrody</i> .....	137
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Maria Łamzaki:	<i>Jerzy Stefan Langrod</i> .....	139
<b>KSIĄŻKI</b>		
Florian Śmieja:	<i>Ale i słaby nie zginie</i> .....	141
Robert Kaczmarek:	<i>Klub Nowego Myślenia „Przyszłość Świata”</i> .....	143
Zofia Ziemięcka:	<i>Czytając prasę</i> .....	145
Benedykt Heydenkorn:	<i>Ważna publikacja ukraińska</i> .....	150
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i> .....	154
<b>POLEMIKI</b>		
Jerzy Przystawa:	<i>Medice, cura te ipsum</i> .....	156
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska, kanadyjska i norweska</i> ..	159
•		
J. Garliński, Nazwisko znane Redakcji, W.T. Toporowski, A. Pospieszalski, L. Wojnowski:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	170
Redakcja:	<i>Sprostowanie</i> .....	174
Jerzy Giedroyc:	<i>Oświadczenie</i> .....	174

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1991

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Jadwiga i Andrzej Balko, Wiedeń — w serdecznej pamięci, zamiast kwiatów na grób dr Anny i prof. Jerzego Langrodów w Montmorency .....	F. 250,00
Bob Borowicz, Santiago de Chile, po raz 10-ty .....	F. 1.415,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton, DC, po raz 31-szy — Dol. US 1.000,00 .....	F. 5.000,00
Stefan Jan Ginilewicz, Backersfield, CA (USA), po raz 13-ty — dol. US 36,00 .....	F. 180,00
Zofia i Jan Hempel (Australia) i Helena Rankowicz (Anglia) dla uczczenia pamięci Edmunda Jakubowskiego (pseudonim E. Żagiel) — £ stg. 15,00 .....	F. 150,00
Henryk i Danuta Hiżowie z Filadelfii, PA (USA) oraz Zbigniew Wicentowicz z Rzeszowa — zamiast kwiatów na grób Jerzego i Anny Langrodów — Dol. US 100,00 .....	F. 500,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 31-szy — Dol. US 24,00 .....	F. 120,00
Halina Kościuch, Sterling Hts, MI (USA) — dla uczczenia pamięci męża Mieczysława i syna Henryka, po raz 14-ty — Dol. US 25,00 .....	F. 125,00
Dr Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 18-ty .....	F. 150,00
Jan Stanisław Matthews, Logan, OH (USA), po raz 2-gi — Dol. US 200,00 .....	F. 1.000,00
M.I., Michigan (USA), po raz 7-my — Dol. US 1.000,00 .....	F. 5.000,00
Witold i Renata Mikułowscy, Conakry (Gwinea) po raz 12-ty .....	F. 575,00
Stanisława i Tadeusz Polanowscy, Stockholm — zamiast kwiatów na grób Artura Fiszera, zmarłego w Kopenhadze w listopadzie 1990 r. ....	F. 100,00
Mira Puacz, Chicago, IL (USA) — w szóstą bolesną rocznicę śmierci mego śp. małżonka, Edwarda Puacza, dziennikarza i publicysty z Warszawy, założyciela Księgarni „Polonia” w Chicago — Dol. US 500,00 .....	F. 2.500,00
Stefan Henryk Rosé, Paryż, po raz 12-ty .....	F. 950,00
Edward E. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), raz 23-ci — Dol. US 20,00 .....	F. 100,00
M. Sienko, South River, N.J. (USA), po raz 15-ty — Dol. US 10,00 .....	F. 50,00
Julitta Szylar, New York, NY, po raz 2-gi — Dol. US 100,00 .....	F. 500,00
Lucie Wiczorek, Rueil Malmaison (Francja), po raz 8-my .....	F. 200,00
Jerzy A. Wojciechowski, Ottawa ON (Kanada) .....	F. 150,00
Dr Stefan Wowczak, Altwarmbüchen (RFN), po raz 12-ty .....	F. 150,00
Zamiast kwiatów na grób prof. Jerzego Langroda i jego żony Anny — przyjaciele .....	F. 500,00
Henryk Zegadło, Soller, Mallorca, (Hiszpania) — DM 30,00 .....	F. 100,00

Ciąg dalszy WPLAT na str. 175

## Rodziewiczówna

W roku 1990, podczas jednej z moich wizyt w Polsce, usłyszałem, że dla firm wydawniczych najpewniejszym sposobem poprawienia ich finansów jest wydawanie powieści Marii Rodziewiczówny. Moi rozmówcy wspominali o tym jakby z zażenowaniem. Zastanowiły mnie i wierność nowych pokoleń autorce właściwie dziewiętnastowiecznej i zażenowanie wykształconych, czy, jak to się nazywa, intelektualistów. Przede mną zajęła się tym zjawiskiem masowego czytelnictwa Renata Gorczyńska w paryskiej *Kulturze*. „Niestabnąca popularność książek Marii Rodziewiczówny jest tematem wstydliwym dla krytyków literackich, bo świadczącym o całkowitej ich nieskuteczności wobec żywiołu czytelniczego” pisze („Nieśmiertelna Rodziewiczówna”, *Kultura*, 10, 1988). Żeby sobie to i owo wyjaśnić, sam zacząłem czytać *Rodziewiczównę*, jedną książkę po drugiej, i coraz bardziej się zdumiewałem.

Z dawnych lektur tych powieści niewiele zostało mi w pamięci, poza *Latem leśnych ludzi*, a więc książki dla młodzieży. Ale kiedyś, w latach szkolnych, były to stałe pozycje w wypożyczalni, przynosiłem je mojej babce Miłoszowej i sam czytałem, później tylko wzruszając ramionami, tak jak ci mądrzy teraz w Polsce. Czytając ponownie, uświadomiłem sobie niesamowitą odległość dzielącą mnie od tamtego chłopca, a zarazem tożsamość z nim, wskutek czego jestem czytelnikiem podwojonym, o dwóch obrazach, dwóch perspektywach. I jeżeli *Rodziewiczówna* jest dla jednego z nas najzupełniej swojska, rozumiejąca się sama przez się w tym co głosi i czego broni, to drugi odkrywa w niej dziwności, których jej dzisiejsi wielbiciele prawdopodobnie nie zauważają, z powodów o których dalej.

Nie można im się dziwić, że podoba im się *Rodziewiczówna*. Jeżeli zapomnimy o niezliczonych teoriach zbudowanych wokół powieści jako rodzaju literackiego, będziemy zmusze-

ni przyznać, że jej istotą jest sztuka interesującego opowiadania, fabulacji, i że tam gdzie tego nie ma, zaczyna się obszerne państwo „literatury” dla, coraz zresztą liczniejszych, specjalistów i smakoszy. Niektóre powieści zdolne nieodmiennie ciekawić należą do obu zakresów, np. Balzak. Inne, choć kiedyś mogły ciekawić, tracą tę właściwość i trwają jako część dostojnej biblioteki w różnych językach. Trzeba dodać, że fabulacja wymaga pewnych sposobów uznanych przez krytyków w naszym stuleciu za prostackie. Do nich należy np. uprzedzanie z góry, że dana postać jest „czarnym charakterem”, bezceremonialne odkrywanie co kto myśli, jakby autor przebywał w głowie wszystkich osób, które pojawiają się na jego stronicach. Należy tu też *suspense*, dzięki niepokoju o los postaci z którymi czytelnik się identyfikuje, tudzież brak żenady w użyciu momentów melodramatycznych. Pozbycie się tych sposobów ogranicza swobodę ruchów piszącego i stwarza rodzaj szachowych reguł, poza które nie wolno mu wykroczyć kiedy układa swoje opowieści. Mimo to po II wojnie pojawili się znakomici opowiadacze, że wymienię tylko Simenona. Techniczne chwytły Rodziewiczówny są analizowane w uczonej dysertacji Anny Martuszeńskiej (*Jak szumi Dewajtis?*, WL, Kraków, 1989) ale moje zainteresowania idą w inną stronę.

Rodziewiczówna ma dar ciekawego opowiadania i w polskim piśmiennictwie, ubogim pod tym względem, nie znalazła wielu rywali. Oczywiście *Trylogii* Sienkiewicza nikt nie pobije, jednak jej akcja toczy się w minionych wiekach, a próby Sienkiewicza pisania o współczesności nie były udane. Kraszewski nadal bardzo się liczy, ale to też głównie temat historyczny. Wątpliwe też czy ktoś, szukający w powieści sytuacji „jak w życiu” — nie zapominajmy, że istnienie telewizji poddaje prozę narracyjną poważnej próbie — sięgnie do Żeromskiego, też niezbyt osadzonego we współczesności czy do Prusa, który poza jedną dobrą *Lalką* pozostaje autorem historyczno-symbolicznego *Faraona*.

Najbardziej chyba celowym byłoby zestawienie Rodziewiczównę z Orzeszkową. Łączy je pokrewieństwo obserwacji tego samego mniej więcej krajobrazu, typów ludzkich, układu społecznego — dwór, zaścianek, wioska — oraz pamięć tragedii powstania 1863 roku i opór przeciwko rusyfikacji. A jednak Orzeszkowa dostąpiła zaszczytu pasowania na jedną z wielkich polskiej literatury, co zostało odmówione Rodziewiczównie. Zapewne z prawdopodobieństwem psychologicznym u autorki *Dewajtisa* nie tego, awantury arabskie w jej dziełach, kiedy nagła przemiana wewnętrzna bohaterów jest słabo uzasadniona, mogły bardziej wybrednych zniechęcać. Być może jednak wyrzekano się Rodzie-

wiczówny dla honoru domu; jak to? więc polska literatura cierpi aż na taki brak powieści, że kilka kobiet musi ją reprezentować? Może jeszcze Mniszkówny *Trędowata* i *Ordynat Michorowski*? Do czego dojdziemy?

Mam wielki szacunek dla Orzeszkowej i niesłusznie obraziła się na mnie Maria Dąbrowska, kiedy ją z Orzeszkową porównałem. A jednak werdykt czytelników zapadł, Orzeszkowa jest dziś mało czytana. Jest ona pisarką dydaktyczną, moralizującą. Kiedy jej bohaterka Justyna w *Nad Niemnem* waha się pomiędzy staropanieństwem na łasce krewnych we dworze i małżeństwem poniżej jej stanu czyli zstąpieniem do wioski (szlacheckiej!) Bohatyrowiczów, mamy do czynienia z ważnym wtedy zjawiskiem deklamacji i autorka dokłada starań żeby decyzję małżeństwa Justyny jak najbardziej poprzeć, biorąc do pomocy motywy patriotyczny (mogła powstańców). Ale Rodziewiczówna też jest pisarką dydaktyczną, moralizującą i to jeszcze jawniej. Tworzy całą galerię postaci kobiecych, które są samą cnotą, samą siłą charakteru i zachowują się tak jak powinny, nawet nie wahają się jak Justyna, tylko idą za bezbłędnym instynktem moralnym. Jeżeli pomyliły się, płacą. Tak na przykład Hanka w *Kwiecie lotosu* nawrócona na ateizm przez demonicznego Rafała, kiedy spotyka go po latach, już jako lekarka na prowincji, po studiach w Genewie, zostaje przez niego zgwałcona i umiera zażywszy truciznę; Kazia we *Wrzosie*, ulegając prośbie kochanego ojca i żeby uciec od prześladowań macochy, godzi się na małżeństwo bez miłości, bo straciła nadzieję na powrót narzeczonego z zesłania; kiedy ten wraca i nie chce jej znać, Kazia umiera na tyfus (bo co autorce zostaje, jeżeli małżeństwo jest pokazane jako piekło a na rozwód Kościół nie zezwala?); Magda „Pokotyńka” z *Macierzy* okupuje swoje życie nierządnicą w miasteczku swoją bezgraniczną miłością do nieślubnego dziecka, swoim bohaterstwem i wiernością ojcu dziecka skazanemu na więzienie. Męscy bohaterowie Rodziewiczówny są godni jej kobiet: prawi, dzielni, pracowici, mają też rysy mitycznych herosów: dużą siłę fizyczną, urodę, zdolność do czynów wymagających nadludzkiej sprawności, co ujawnia się w bitwie, w walce z pożarem, przy ratowaniu tonących, na polowaniu. I ten dydaktyzm, to idealizowanie nic Rodziewiczównie nie szkodzi, przeciwnie, zdaje się szczególnie przyciągać jej czytelników, którzy z tych samych powodów lubią baśń historyczną, *Trylogię*.

Czy utożsamiając się z idealizowanymi postaciami czytelnik obiera je za wzory własnego postępowania, nie jest pewne. Być może czuje się podniesiony we własnym wyobrażeniu o sobie, kiedy tak mocno opowiada się za dobrem i przeciwko złu. Jest to pokrzepiająca świadomość uczestnictwa w pewnej wspólnotce ceniącej te same wartości i tym spojonej, że uważa je za oczywiste.

W moim powrocie do Rodziewiczówny ktoś może dopatrzyć się przekory czy nawet perwersji. Otóż nie. U nikogo z powieściopisarzy nie znajdują tyłu realiów dotyczących wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej w drugiej połowie dziewiętnastego wieku czy w początku wieku dwudziestego. U nikogo też nie ma tak wyraźnie utrwalonych postaw stereotypowych, widocznych zarówno u samej autorki, kiedy rozdziela swoje sympatie i antypatie, nieraz satyrycznie piętnując, jak u jej bohaterów, zbyt wrośniętych w grunt rodzimy żeby zdobywali się na samodzielne myślenie. Czytanie Rodziewiczówny przypomina więc nieco czytanie pamiętników, których autor wiele przekazuje świadomie ale i wiele mimowoli. Z mniejszym chyba powodzeniem można tak czytać Orzeszkową, która wydaje się już zepsuta intelektualizmem i humanitarnymi wątpliwościami.

Nieodmienna popularność Rodziewiczówny nie może nie zastanawiać, skoro katekizm historyczny zniszczył dwór i zaścianek skąd jej postacie pochodzą i zostawił jej kraj rodzinny poza granicami Polski. Nie wystarczy powołać się na to, że jej książki czytają się dobrze, chodzi tutaj pewnie o coś głębszego, o pewien *etos* nadal przechowywany i odradzający się przy lada okazji, dzięki czemu Rodziewiczówna jest odbierana jako najzupełniej swoja i własna.

Każdy bodaj pisarz ma dom swojej wyobraźni, miasto, miasteczko albo jakiś wiejski region, i zaczynając od niego rozszerza swoje włości, zakreślając coraz dalsze koła. Dla Mickiewicza było to Nowogródzkie, dla Orzeszkowej Grodzieńszczyzna, dla Rodziewiczówny Polesie. Czerpiąc z ich pism możemy starać się odtworzyć różne momenty wieku dziewiętnastego na Litwie historycznej. Rzeczpospolita w granicach 1772 roku długo istniała, nie tylko dla tych, którzy rozbiory pamiętali, również dla ich wnuków i prawnuków. Wiek osiemnasty przyniósł największe nasilenie postępów języka polskiego na ziemiach Wielkiego Księstwa i ten spontaniczny proces rozciąga się na pierwsze dekady wieku następnego, co zresztą ma i instytucjonalne odpowiedniki, a więc Uniwersytet Wileński i sieć szkół średnich pod jego nadzorem, oraz Liceum Krzemienieckie. Mickiewicz więc pisał wtedy kiedy przywiązanie do Rzeczypospolitej jednoczyło dwory szlacheckie, „okolice” i część, choć niezbyt pokaźną, ludności miejskiej, tj. wszystkich mówiących po polsku. Dostyc zapewne wtedy było — zwłaszcza w rejonie Wilna — gminu zdolnego zrozumieć *Ballady i romanse*, choć ich „ludowość” jest wątpliwa. Natomiast w obrzędzie *Dziadów* chór na dobry ład nie mógłby po polsku śpiewać, bo obrzęd był chłopski, zaściankom nieznany a ludność nie rzymsko-ale grekokatolicka, tak jak grekokatolicki jest ksiądz, były nauczyciel Gustawa. Tak samo wypadałoby zapytać jakim językiem mówili

chłopi pracujący na polach Soplicowa. Zapewne, dzisiaj powieździelibyśmy po białorusku.

Ale tam właśnie, w tej Litwie historycznej, nastąpiło wielkie zwycięstwo pośmiertne Rzeczypospolitej: Mickiewicz z czarował swoich mówiących po polsku współczesnych, umocnił przymierze Litwy z Polską i zakał im razem walczyć o niepodległość.

Wiele się zmienia po powstaniu 1831 roku: Uniwersytet Wileński zamknięty, grekokatolicy przymusowo oddani prawosławiu, zaczyna się planowa rusyfikacja, która po 1863 roku zmierza wręcz do zniszczenia języka polskiego na tym obszarze. Rodziewiczówna, urodzona w 1863, nie może nie myśleć o tej traumatycznej dacie, powraca do ówczesnych wydarzeń w powieściach *Pożary i zgłiszczą* oraz *Byli i będą*. Pisze już w warunkach ciągłego zagrożenia, walki o „utrzymanie stanu posiadania” i pokus zaprzaństwa.

Wyznam teraz coś, od czego się powstrzymywałem. Czytanie Rodziewiczówny jest zajęciem bolesnym, raniącym, to jakby czytać kronikę rodzinną w której występują nieszczęśliwi, okaleczeni przodkowie. Dzieje się tak dlatego, że jej powieści nie dają się oddzielić od naszej wiedzy o tym, co stało się na tamtych ziemiach przed czasem ich akcji i po nim, aż po najnowsze dziesięciolecia. Polityka Rosji carskiej i rewolucyjnej w jednym przynajmniej wykazuje doskonałą ciągłość: w deportacjach Polaków z Litwy historycznej i Ukrainy, tak że droga na Sybir, albo opisywana przez autorkę albo obecna w tle, ma przeraźliwą aktualność dla nas, pamiętających jeszcze deportacje lat 1930-tych i 1940-tych. Zresztą komuniści rosyjscy mieli też swoje, nie tylko narodowościowe, motywy: uważali „polskość” za nie dającą się pogodzić z komunizmem, przeciwną mu niejako z natury. Ten zupełnie inny *etos* jest przedstawiony w powieści Rodziewiczówny o nihilistach rosyjskich *Czarny bóg*, utworze jaskrawo melodramatycznym ale podobnym w przerażeniu rosyjską otchłanią do Józefa Conrada *W oczach Zachodu*.

Pomimo jednak prześladowań zwróconych przeciwko dworom i zwłaszcza drobnej szlachcie, patriarchalny światek Rodziewiczówny nie uległ większym zmianom od czasu *Pana Tadeusza*, tyle że jego zupełny paraliż ekonomiczny już kontrastujący z pozytywistyczną ideą postępu, daje wrażenie beznadziejności. Jedynym kapitałem jest ziemia, przemysłu i handlu brak, posiadaczami płynnego pieniądza są obcy, albo wymienieni jako Żydzi, niekiedy Niemcy, albo pozostawieni naszym domysłom ze względu na cudzoziemskie brzmienie ich nazwisk. Kredyt zaledwie istnieje, właściciel ziemski żeby zaciągnąć pożyczkę nie może zwrócić się do banku, zwykle musi godzić się na wysoki procent pobierany przez lichwiarza. Syn dworu czy zaścianka, nie mówiąc o chłopach, dosłownie nie ma gdzie pójść,

jest zmuszony albo dobrze gospodarzyć, co bardzo trudne, albo popaść w nędzę wysadzonych z siodła. Administracja jest rosyjska, posad nie ma, poza urzędami oficjalistów w dobrach wielkopańskich, stąd bohater Rodziewiczówny bywa często leśniczym, nieraz poniżanym przez swego pana, co musi znosić w pokorze. Wyjątkowo tylko uparte jednostki zdołają przetrwać lata niedostatku podczas studiów na uniwersytecie, zwykle w Petersburgu (na północy będą to też Dorpat albo Ryga) i stać się inżynierami, lekarzami czy adwokatami. Wtedy kariera czeka ich w głębi Rosji, osiadający w kraju muszą godzić się ze skromną skalą zarobków:

„Mieścina, w której osiadł Bronisław Świda, mało się różniła od wsi. Miała zaledwie kilkadziesiąt żydowskich domostw, kilka bóżnic, cerkiew, sąd 'mirowy', kramik wśród olbrzymiego placu, trzy ulice mieszczkańskie, trzy chłopskie, a naokoło pola i łąki”.

(Czarny bóg)

W tych warunkach na pierwsze miejsce wysuwa się sprawa testamentów, działów rodzinnych i posagów. Kobiety mają oczywiście znacznie mniej szans niż mężczyźni na zdobycie zawodu, czekają na męża, którego nie łatwo złapać jeżeli w rodzinie jest więcej córek. Te właśnie posagowe perypetie dostarczają jednego z głównych wątków Rodziewiczównie i pomagają w portretowaniu istot płci żeńskiej jako bezradnych i biernych, pośród których wyróżniają się nieliczne „te z charakterem”. Wzorem zdaje się być Zośka w *Czabarach*, która przy podziale majątku nie godzi się na spłatę przez braci, bierze jako swoją część polać bagien i lasów, bez budynków, i w poleskiej głuszy, dokąd dojechać można tylko łodzią, zakłada swoje doskonale działające, zamożne państewko, w myśl zasad solidaryzmu utrzymujące przyjazne stosunki z najbliższą prawosławną wioską. Co prawda, żeby samodzielności gospodarowania stało się zadość, należało przepędzić dwóch obcych: Żyda, dzierżawcę młyna, i bogatego Niemca na próżno ubiegającego się o Zośki rękę.

Widowisko, którego dostarczają dwory u Rodziewiczówny jest, z takimi właśnie wyjątkami jak puszczańskie gospodarstwo w *Czabarach*, przeważnie smutne. Próżność, trwonienie pieniędzy na zbytek, finansowa nieudolność, plotkarstwo, polowanie na posagi, przede wszystkim jednak bezmyślność i lekkomyślne zaciąganie pożyczek (stąd groza dokoła słowa „weksel” i częste fałszerstwa weksli przez wyrodnych członków rodziny) składają się na obraz mało zachęcający do upiększania zacnych staroświeckich obyczajów. Trudno nie dojść do wniosku, że rozbiory przyniosły tutaj nie tylko niewolę polityczną, bo także, gorsze chyba jeszcze, zamrożenie w zastanych strukturach wszelkiego

rodzaju — gospodarczych, stanowych, obyczajowych. Ci nie-szczęśnicy duszą się w swoim sosie, ich energie nie znajdują ujścia, chyba że szukają odmiany losu gdzieś daleko, w krajach przez autorkę na ogół naiwnie przedstawianych — w Ameryce, w Algierze (*Jaskółczym szlakiem*), w Niemczech, nawet za Uralem. Rodziewiczówna bezwładowi przeciwstawia siłę inoralną poszczególnych jednostek, nie zdaje się jednak być świadoma do jakiego stopnia bezwład chroni jej własne stereotypowe myślenie, które w bardziej dynamicznym społeczeństwie nie mogłoby się ostać.

Można, jak sądzę, wyróżnić u niej trzy obszary geograficzne, zależnie od tego, gdzie są zakorzenieni jej bohaterzy: Polesie z przyległościami; Żmudź; Królestwo Polskie, Poznańskie, Galicja.

#### Polesie

Jej stereotyp patriotyczny niezbyt godzi się z tym co sama opisuje. Chłopi tamtejsi w jej powieściach mówią na szlachtę „Lachy” i są od niej odgradzeni zarówno wyznaniem jak językiem. Podczas powstania 1863 roku pomagają władzy i samorzutnie urządzają na powstańców oblawy. Bohater *Pozarów i zgłiszczy*, Aleksander, nie chce przystąpić do powstania, bo trzeźwo ocenia brak najmniejszych szans na jego powodzenie, ale ulega narzeczonej, reprezentującej romantyczny wzorzec ofiary wbrew rozumowi. I z pewnością wielu ludzi szło do powstań wbrew przekonaniom, ulegając naciskowi społecznemu, żeby nie okazać się w czyichś oczach niższym, posądzonym o tchórzostwo. Gdzież więc w tych warunkach, najoczywistszej obcości Lachów, którzy stanowią nieliczną mniejszość wśród mas chłopskich, mieści się ojczyzna, wierność wobec której obowiązuje bezwzględnie? Innymi słowy, gdzie jest *prawdziwa* ojczyzna tych patriotów? Czy gdzieś na zachód od tych guberni i czy są tutaj kolonistami? Niekiedy tak, ale przeważnie siedzą tu od wieków, i, jak wiemy, z historii, niegdyś religia ich była prawosławna a język tamtejszy, tj. starobiałoruski, zanim wraz ze zmianą religii przyszła zmiana języka. I teraz, mocą historycznego paradoksu, wierzą w ojczyznę-Matkę „od Krakowa do Smoleńska”, jak powiada stara strażniczka narodowej wierności w *Byli i będą*. Ziemie na których trwają broniąc „placówek” to „kresy”. Centrum natomiast znajduje się w Krakowie, gdzie groby królów. *Lato leśnych ludzi*, niegdyś jedna z moich ulubionych książek bo pełna ornitologicznej wiedzy, zawiera również pochwałę cnót harcerskich, które z niewielkim powodzeniem starałem się uprawiać należąc do drużyny Błękitna Jedyńka w Wilnie. Zresztą dopiero teraz widzę w książce ten sam przekrój spo-

leczy co w innych powieściach Rodziewiczówny: „leśni ludzie” spędzają wakacje w puszczy ale mają bazę w sąsiednim dworze należącym do jednego z nich, i przyjaźnią się z rodziną Odrowążów, siedzącą w sąsiedniej szlacheckiej „okolicy”. Oprócz tego zjawiają się niekiedy chłopcy i baby szukając pomocy lekarskiej, przedstawiciele ponurego, zabobonnego społeczeństwa pokazanego w *Hrywdzie*. Otóż program polityczny Rodziewiczówny jest w *Lecie leśnych ludzi* jasno wyłożony i dlatego zasługuję na uwagę, że odpowiada dokładnie wymaganiom jej czytelników. Okazji do tego dostarcza pogrzeb odnalezionych szczątków powstańca (znow rok 1863!):

„Jeszcze Polska nie zginęła” — zagrzmiało jak sygnał trąbki bojowej. Wszyscy powstali i odkryli głowy.  
Hej — rubieże dalekie Rzeczypospolitej, hej kresy ciche, puste, zdławione, wyludnione, wymordowane, wysiedlone, zamarte dla szpiegowskiego oka triumfującego łupieżcy-kata, kordonami bagnatów i ziemskiej mocy, dokumentami rządów potężnych i kongresów, od Macierzy oddarte i z kart wykreślone! Taki wasz głos i takie w tobie kości i skarby leżą i oczekują na zew od Matki-Pani!”

Napisałem gdzieś, że gdyby nie rozbiory, Rzeczpospolita spolonizowałaby całe swoje terytorium, aż po Dniepr. Nie wydaje mi się to dzisiaj takie pewne. „Gdybanie” daleko się nie zajędzie, ale możliwa jest i inna hipoteza. Przy normalnym rozwoju gospodarczym (którego brak był i przyczyną i później następstwem rozbiorów) wzrosłoby znaczenie wiosek i miasteczek a ruch idei nie pozwoliłby ominąć pytania o tożsamość narodową, nie istniejącego dla szlachty tylko dlatego, że zastygła w postawach odziedziczonych. Rozbiory uniemożliwiły pojawienie się takiego pytania, bo Wielkie Księstwo znikło, a jakiegokolwiek poczucie wspólnoty z krajem wyznaniowo prawosławnym, językowo wschodnio-słowiańskim oznaczałoby przejście na stronę Rosji, zbierającej „odwiecznie ruskie ziemie”.

Tutaj jest najbardziej drażliwy punkt polskiej, by tak rzec, uczuciowości politycznej. Bo również ci, którzy nie żywią dzisiaj żadnych zamiarów imperialnych i nie sądzą, że ojczyzna rozciąga się „od Krakowa do Smoleńska”, mają duże trudności ze zrozumieniem dlaczego na same słowa „idea jagiellońska” najeżają się wszyscy wschodni sąsiedzi. Dla nich jest ona synonimem polskiej ekspansji, mimo że w dwudziestym wieku nie tak samo pojmował ją Piłsudski i jego polityczni przeciwnicy. Piłsudski marzył o godle swojej ojczyzny, trójdzielnej tarczy z orłem Polski, pogonią Litwy i aniołem Rusi. Natomiast stronnictwo Narodowej Demokracji, do którego przez pewien czas należała Rodziewiczówna, głosiło powrót do Polski piastowskiej i konieczność sojuszu z Rosją przeciw Niemcom, natomiast na wschodzie utożsamiało po prostu dawną Rzeczpospolitą z Polską i wi-

działo jedynie problem polsko-rosyjskiej granicy. Na ryskiej konferencji pokojowej w 1921 roku jego delegaci oddali, na złość Piłsudskiemu, Mińsk i całą Mińszczyznę Rosjanom, zadowolając się granicą dającą, ich zdaniem, szansę spolonizowania objętych nią Białorusinów i Ukraińców. W politycznym sojuszu Rodziewiczówny nie trudno dopatrzeć się sprzeczności ale rzeczywiście poglądy „narodowe” zdają się być najbliższe utrwalonego przez nią wzorca patriotyzmu.

Choć niezupełnie, bo pojęcie Narodu (z dużej litery) drogie poplecznikom Romana Dmowskiego, jest u niej raczej rozchwiane i bardziej staroświeckie. Ojczyznę swoją określa jako Litwę, jej postacię stamtąd pochodzące mówią o sobie „my Litwini” i nie lubią „koroniarzy”. Jeżeli akcja dzieje się w Warszawie, która ogniskuje w sobie wszelkie ujemne cechy cywilizacji miejskiej a więc kontrasty bogactwa i rozpaczliwej nędzy upośledzonych, wstęret autorki do plotkarstwa, pustki duchowej i hipokryzji tamtejszego „dobrego towarzystwa” wygląda niemal na plemienne poczucie własnej inności. Nieliczne jednostki dodatnie nie pochodzą stamtąd, są z Litwy — doktor Downar we *Wrzosie*, Niemiryż w *Ragnarök*, Gedras i adwokat Stuch w *Joan VIII*, 1-12. Są też traktowane przez warszawiaków z pogardą:

„— Ano, jakiś twój rodak spod Smorgoń, co to wlaź wczoraj w kaloszach do salonu i zostawił tę kartkę.

Rzuciła mu na biurko bilet wizytowy: Florian Sopoćko, a pod tym kilka słów.

Downar spojrział, przeczytał i schował bilet do kieszeni.

— No i czego ta dzicz chce? — spytała pani. — Pewnie wsparcia.

— Sopoćko? To milioner.

— Mógłby za swe miliony być bardziej do ludzi podobny. No — ale to prawda — Sopoćko! Żeby Litwin stał się do ludzi podobny, straciłby w swych oczach całą wartość”.

(*Wrzos*)

Rozmowa w pociągu, na Polesiu, z miejscowym szlagonem niezbyt przychylnym hrabiemu, właścicielowi dużego majątku ale mieszkającemu w Warszawie:

„— Tego tutaj nikt nie widział. Cudza krew!

— Jak to?

— No, koroniarz. Albo by on tu wytrzymał? Komary by go zjadły.

Zaśmiał się stary. I czuć było w tym śmiechu odwieczny antagonizm dwóch szczepów”.

(*Ragnarök*)

Więc jednak. „Odwieczny antagonizm”. To nie jest wyłazek Rodziewiczówny, powtarza ona sądy obiegowe, stare, sięgające, u obu stron, Unii Lubelskiej. Brak ogłady u „dziczy” („niedźwiedz litewski”), jej powolna mowa, jej śmieszne potrawy — a z drugiej strony przekonanie, że koroniarze są płytki, nie-

poważni, niewytrwali, wybuchający słomianym ogniem — w przeciwieństwie do powagi i wytrwałości Litwinów. Wielkie Księstwo zostało przez Polskę stopniowo wchłonięte, aż po zniesienie jego odrębności przez Konstytucję 3 maja, przetrwało po nim tylko „Jestem Polak *ale* Litwin”, tym niemniej ciągle poczucie inności, tak widoczne u Rodziewiczówny, ale całkowicie oczywiste jeszcze dla mego pokolenia, zasługuje na zbadanie. Nie ma, przynajmniej, dostatecznie przekonujących wyjaśnień. Może to być albo przeżytek, skazany na zniknięcie jeżeli założymy, że polonizacja, silna w osiemnastym wieku, dalej by postępowała gdyby nie rozbiory, albo, wręcz przeciwnie, mógłby to być zadatek odradzających się tendencji odśrodkowych. Warto przy tym rozróżnić północ Wielkiego Księstwa, gdzie poczucie „litewkości” było mocniejsze, od południa, jako że dość słaba już tam była pamięć Wilna jako stolicy. Ciekawe, że Orzeszkowa jest mniej regionalnie patriotyczna niż Rodziewiczówna. *Nad Niemnem* jest właściwie sagą o kolonizacji, pewnie pod wpływem amerykańskiego mitu. Para kochanków uciekająca od ludzkich praw w puszczy i zakładająca osadę Bohatyrowiczów najwidoczniej przybyła z zachodu tj. z Polski.

Wszelkie wartości układają się u Rodziewiczówny w pary przeciwieństw pomiędzy tym, co swoje i tym, co obce. Chłopi polscy mimo różnicy religii i języka (w *Ragnarök* przybyszowi z Warszawy ktoś tłumaczy ich słowa „na polskie”) nie są obcy, mają status dzieci pod opieką dworu, czy też ludzi pierwotnych, których trzeba wychować i podnieść moralnie. Natomiast samą esencją obcości są Żydzi. Ich dziedziną są operacje finansowe, od najmniejszych do największych, przy czym nierozłączna z tymi operacjami jest nieuczciwość, toteż Żydzi jak mogą oszukują, szachrują, szantażują, są ukrytymi współnikami przestępstw. Zwykle karczmą jest ośrodkiem działań żydowskiej rodziny, a wódka służy do rozwiązywania języków i zbierania informacji. W karczmie można dostać parę rubli oddając osobiste rzeczy w zastaw, kupić fałszywą metrykę i wiele załatwić, ale karczmarz, jako że ma swoje powiązania z carską policją, także donosi. Żydzi tedy nie uznają żadnych innych wartości prócz materialnego zysku. Poza tym są brudni, nie tylko moralnie, również fizycznie. Ponieważ swoim zachowaniem obrażają, by tak rzec, najświętsze uczucia, bicie Żyda przynosi wyraźną ulgę bohaterom Rodziewiczówny, ponieważ w ten sposób zagrożony ład moralny zyskuje satysfakcję. Niech wystarczy parę przykładów — nie ograniczam się do Polesia, bo takie antyżydowskie akcenty są u niej wszędzie.

W *Dewajtisie* stary dąb jest dla Marka Czertwana symbolem związku z przeszłością, ojczyzny, natomiast żydowski kupiec, który kupił las nic o tym nie wie, jest to dla niego

jedno z drzew, przedmiot handlowej transakcji. I oto w swoim świętym miejscu pod dębem Marek co widzi? Nic dziwnego, że „jak lew zaryczał”!

„Stał teraz Żyd rudy, ogromny, w brudnym kaftanie, z rozstarganą, wielką brodą. Głowę miał podniesioną, w dłoni trzymał siekiere i uderzał nią w pień starego dębu, próbując, czy zdalny na klepki”.

Marek

„Na chwilę stracił pamięć. Co to było? Huragan! Żyd nagle zachrapał, znalazł się w powietrzu. Żelazne dłonie podniosły go w górę, wstrząsnęły jak płachtą. Ciśnięty jak kamień z procy, zatoczył krąg i padł ogłuszony o dziesięć kroków dalej, omdlały, bez ruchu”.

Nabywca lasu tym tylko zawinił, że namawiał lekkomyślnego Witolda, żeby mu las sprzedał, a teraz otrzymuje od Marka takie epitety:

„Ten złodziej, oszust, leżał u jego stóp i charczał; niech ma ból za ból, krzywdę za krzywdę! Podniósł siekiere...”

Nieraz bicie nieczystego, Judy, jest opisane jako wyczyn budzący wesołość, niby scena z szopki. W *Czarnym bogu* spalanie karczmy z Żydem w środku uchodzi za dobry dowcip. W *Strasznym dziadunku* dla odmiany jest to dom i magazyny przedsiębiorcy Eljasmana. „Upiekli” go wraz z nimi robotnicy z zemsty za krzywdę ulubionego ich inżyniera, Białopiotrowicza, którego podpis na wekslu sfalszował jego brat przyrodni.

„Białopiotrowicza nam! Dawajcie zaraz! On pieniędzy nie brał, on nasz! Żyd brał! Nie ma Żyda!”

W środowiskach opisywanych przez Rodziewiczównę słowo „antysemityzm” byłoby niezrozumiałe. Po prostu taki jest porządek świata, że odraza do Żydów jest równoznaczna z odrazą do zła i że czyhają oni na obrzeżach społeczeństwa, szukając kogo by wplątać w swoje brudne (zawsze brudne) transakcje. Wracając na chwilę do terminologii marksistowskiej, powiedzielibyśmy, że wszelka transakcja finansowa w ładzie feudalnym tj. opartym na własności ziemi, musi wydać się czymś nieczystym. Wyznaniowe przyczyny nie są u Rodziewiczówny wspomniane, choć oczywiście działają gdzieś w tle. „Juda”, Judasz, należy do obozu zabójców Jezusa — jakby również wszyscy inni apostołowie i sam Jezus nie byli Żydami. Katolicyzm jej bohaterów jest konwencjonalny, spełniają co każe Kościół, utrata wiary prowadzi zwykle do ich wewnętrzznego rozkładu, zagadnienia religijne mało ją jednak zaprzatają, a jeżeli, to jedynie od strony społecznej moralności. W *Ragnarök* są co prawda echa buddyzmu, ale głównie chodzi o etykę: potępiona jest instytucja małżeństwa jako doskonały przykład społecznej obłudy, a głów-



ny bohater, Niemirydz, zostaje ateistą ponieważ nie może znieść tej parodii nauk Jezusa, jaką stały się społeczeństwa chrześcijańskie. Zresztą w tej powieści, wydanej w r. 1906, znajdujemy zdania, które są niejako zapowiedzią dwudziestowiecznych ruchów ekologicznych. Mówi stary miłośnik przyrody poleskiej, losi, głuszców, wilków i lisów:

„Stary już jestem i tego nie zobaczę i może da Bóg, i wy jeszcze tego nie dożyjecie, ale straszna będzie ziemia, gdy na niej zostanie tylko człowiek mądry i silny, i wszystko to tylko, co on wytworzy, wymyśli, wychowa i zbuduje! ... Będzie strasznie, bo to, co teraz jest chorobą, będzie stanem ogólnym ludzkości. Pomsta przyjdzie na to, czym się największej szczyty *homo sapiens*. Świat ludzki skończy zwyrodnieniem ciała i obłąkaniem rozumu”.

Takich pesymistów i obrońców przyrody było sporo wśród właścicieli ziemskich na Litwie historycznej i można by napisać całą rozprawę o przechowywanym przez nich atawistycznym kulcie lasu. „Pomniki nasze! ileż co rok was pożera / Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!” — pisał Mickiewicz i nie od rzeczy będzie przypomnieć jeszcze jeden powód wrogości wobec Żydów: otóż sprzedanie lasu na wyrąb uchodziło za czyn zasadniczo hańbiący, wybaczalny w razie rozpaczliwej sytuacji majątku, który tak tylko można było uratować, ale jednak nieładny. A kupcami drewnymi byli Żydzi, oni mieli potrzebną gotówkę, oni kierowali wyrębem i znajdowali nabywców na belki, deski, klepki itd. Tak że *Dewajtis*, gdzie las dębowy (nie bez odwołania się do świętych gajów Litwy pogańskiej) występuje jako *sacrum* pogwałcone przez kupca, nieźle trafia w uczucia czytelników mickiewiczowskiego hymnu na chwałę litewskich lasów.

To, co dzieje się w ludzkich głowach jest też rzeczywistością, tyle że różne rzeczywistości istnieją obok siebie równocześnie. Ponieważ czytałem *Autobiografię* Salomona Maimona, który urodził się w osiemnastym wieku w Nieświeżu (po czym, wyciągnawszy do Niemiec, stał się znanym filozofem) i dowiedziałem się stamtąd co nieco o ówczesnym życiu w dorzeczu Niemna, w pobliżu Miru i Nowogródka, jestem skłonny uznać szacunek, jakim jest otoczony Jankiel w *Panu Tadeuszu* za szlachetną fikcję, podyktowaną być może wiedzą autora o żydowskim pochodzeniu własnej matki. Wydaje mi się, że Rodziewiczówna jest bliższa tutaj wyobrażeniom powszechnie przyjętym.

W przeciwieństwie do mało typowej Orzeszkowej, Rodziewiczówna nie wykazuje zainteresowania wewnętrznym życiem społeczności żydowskiej i pewnie zdziwiłaby się gdyby ją ktoś do tego zachęcał. A przecie toczyły się tam niezwykle ciekawe religijne spory, dalszy ciąg osiemnastowiecznego konfliktu pomiędzy chasydami Ukrainy i rabinacką ortodoksją Wilna, robi-

ło postępy Oświecenie Haskali, rozwijało się piśmiennictwo w hebrajskim i w jidysz, zaczynano utrwaląć folklor pieśni i przypowieści. I gdyby szukać społeczeństwa o silnym poczuciu sakralności, tam właśnie należałoby się zwrócić. Było to społeczeństwo przeraźliwie biedne, z ogromnym wewnętrznym zróżnicowaniem na nielicznych względnie zamożnych patrycjuszy i ledwo dyszący ogół. W granicach rosyjskiego imperium znalazło się wskutek rozbiorów największe skupisko Żydów w Europie, zamieszkujące miasteczka Białorusi i Ukrainy. Wprowadzona przez carat granica osiedlenia uniemożliwiała wędrówkę na wschód w poszukiwaniu zarobku, natomiast szereg wymierzonych w tę ludność rozporządzeń zamykało ją w obrębie *sztetłów*, niemal gett, gdzie toczyła się walka wszystkich ze wszystkimi o zarobienie rubla. Jak dowodnie to wykazuje Szymon Dubnow w swojej napisanej po rosyjsku *Historii Żydów w Rosji i w Polsce*, los Żydów pod rządami caratu był ciężki, zarówno wskutek przeludnienia, jak haraczu w formie wieloletniej służby wojskowej, tzw. „kantoni-zacji”: rząd uznał pobór do wojska za dobry sposób wychowania innowierców w prawosławiu, toteż chłopcy żydowscy, nieraz dziesięcio- i jedenastoletni, byli odrywani od rodzin i wysyłani na przymusowe wynarodowienie jako „kantoniści”. Gminy żydowskie musiały dostarczać takich rekrutów i kontrolując je bogaci oczywiście wybierali najbiedniejszych. Polityka ta uległa zmianie w końcu dziewiętnastego wieku i stopniowo rozluźniono zakaz osiedlania się w Rosji, co prawda tylko wobec zamożnych albo tak czy inaczej użytecznych. Jednakże fakt, że Żydów w samej Rosji nie było, a tym samym brakło takich konfliktów jak te, które pojawiają się u Rodziewiczówny, tłumaczy dłaczego obraz Żyda w literaturze rosyjskiej prawie nie istnieje. Zaczyna się rysować dopiero u Dostojewskiego, którego w Ameryce oskarża się stale o antysemityzm, jakkolwiek jego wrogość wobec katolików i zwłaszcza Polaków jest o wiele silniejsza. Rodzina Dostojewskich, z dóbr Dostojewo pod Pińskiem, jest często wspomniana w kronikach kryminalnych W. Księstwa z powodu swego awanturnictwa, a sam Dostojewski był skłonny z niej swoich przodków wywodzić. I kiedy gdzieś mówi, że bojarzy na ruskich ziemiach zdradzili lud, przybierając inną wiarę, ma, jak wolno nam się domyślać, na myśli owych spolszczonych Dostojewskich.

Wbrew prześladowaniom przez carat, gdzieś w ostatnich dziesięcioleciach dziewiętnastego wieku zaczyna się rusyfikacja żydowskiej inteligencji, tej w każdym razie jej części, która nie kultywuje świadomości hebrajskiej i jidysz. Rusyfikacja o tyle zrozumiała, że gimnazja i uniwersytety są rosyjskie, czyli wydostając się z religijnej gminy młodzi są wystawieni na rosyjskie wpływy. Ich garnięcie się do kultury rosyjskiej można jednak też

tłumaczyć jej atrakcyjnością, bo nie ma ona wbudowanego w nią antyżydowskiego stereotypu tak jak polska. Niezależnie więc od polityki odgranej — wkrótce „czarnej sotni”, pogromów, sfabrykowania *Protokołów Mędrców Syjonu* — potencjał intelektualny „Litwaków”, jak nazywano mówiących po rosyjsku Żydów, zaczął pracować w przymierzu z inteligencją rosyjską. Był to potencjał olbrzymi, bo nagromadzony w ciągu tysiącleci, skoro zawsze obowiązywała zasada, że w rodzinie żydowskiej mężczyźni muszą umieć czytać i pisać. Łatwo sobie wyobrazić pogardę owych „Żydków” ze stronic polskich powieści do szlagońskich czy chłopskich prymitywów. Uniwersalne idee rosyjskiej radykalnej inteligencji przyciągały obietnicą ustroju bezklasowego i kosmopolitycznego, toteż ziemie zabrane Rzeczypospolitej miały dostarczyć przywódców Rosyjskiej Rewolucji. Ale także stamtąd pochodzą wybitni rosyjscy poeci i myśliciele dwudziestego wieku, Osip Mandelsztam, Borys Pasternak, Lew Szestow (Lew Schwartzman), Josif Brodski. Kiedy zaczyna się emigracja na zachód, przede wszystkim do Ameryki północnej, *The Russian Jew*, wcale nie z Rosji samej, bo go tam nie było, tylko z Wilna, Mińska, Witebska, Kijowa, będzie pospolitym określeniem niezliczonych amerykańskich uczonych, literatów, muzyków, wydawców i aktorów.

Niewiele chyba jest geograficznych obszarów na naszej planecie tak naznaczonych przez ludzkie cierpienie jak Białoruś i Ukraina. Żydzi zostali wymordowani, dwory zniszczone, ich mieszkańcy, jak i mieszkańcy szlacheckich zaścianków oraz wielu miasteczek i wsi umarli w gułagach czy na posieleniu, albo wyemigrowali do Polski. „Kresy” Rodziewiczówny przestały istnieć, a śmierć jej samej w 1944 roku na uchodźstwie, w majątku jej krewnych Żelazna pod Skierniewicami, jest jak zamknięcie rozdziału. Ogrom tego wydarzenia, masowej emigracji na zachód z rodzinnego kraju, nie przeniknął jeszcze do ogólnej świadomości kiedy to piszę. Będzie jednak powracać u potomnych, u tych, którzy urodzili się we Wrocławiu, w Gdańsku, w Szczecinie, bo jak słyszałem sam od nich w rozmowach, niejednego z nich dręczy niemożność znalezienia swoich korzeni, wahanie pomiędzy „tam” ich rodziców i „tu” ich nowej, przybranej ojczyzny. Czym będzie w dwudziestym pierwszym wieku Polesie, już bez Lachów i Żydów, nie będę próbował zgadnąć. Przeszłości nie da się po prostu przekreślić, a restaurowany pałac Radziwiłłów w Nieświeżu zdaje się zapowiadać nieuniknione zajęcie się całym dziedzictwem, do którego należą pomniki architektury, Statuty Litewskie i inne zabytki pisane w języku białoruskim, literatura w języku polskim, jak i historia rodów szlacheckich Wielkiego Księstwa i później Rzeczypospolitej.

### Żmudź

Dlaczego Sienkiewicz w *Potopie* archetyp gniazda, miejsca do którego tęskni i wreszcie wraca bohater, Kmicic, umieszcza na Żmudzi? Dlaczego nie w Polsce, dlaczego na przykład nie w Sandomierskim albo Miechowskim? Jakie tutaj prądy podziemne pomiędzy literaturą i życiem przepływają, jeżeli Olenka Billewiczówna nosi to samo nazwisko co matka Józefa Piłsudskiego? I czy literatura nie idzie za dość powszechnie przyjętą legendą o Litwie jako matczyniku starożytnych cnót? Tenże Piłsudski będzie szczyścić się swoim pochodzeniem ze starego litewskiego rodu Ginetów (tam gdzie się urodziłem była tuż obok wioska Ginejty) i nawet używać tego nazwiska w korespondencji.

Badacze literatury są skłonni przypuszczać, że *Dewajtis* jest plagiatem z niemieckiej powieści Urszuli Zöge Manteuffel *Mark Albert*. Może i jest, ale ponieważ nie szukam wartości literackich w jej książkach, wyłącznie przekazów pewnego sposobu myślenia, niebyłoby mnie to martwi. *Devas* znaczy po litewsku *Bóg*, słowo spokrewnione z łacińskim *Deus*, greckim *Zeus*. Czyli bożek, święty dąb, nie po polsku nazwany, symbolizuje przetrwanie narodu, wbrew naciskom zaborców. Dlaczego jednak Żmudź a nie Polska, a przynajmniej nie jej rodzinne strony białoruskie? Zgoda, Rodziewiczówna miała pewien swój wzór idealnego gospodarstwa rolnego jako niedużej fermy uprawianej przez rodzinę, ale większej i lepiej prowadzonej niż karłowate gospodarstwa chłopskie, a w dodatku niezależnej od tego wstrząsu, jakim było uwłaszczenie chłopów. Warunek ten spełniały szlacheckie zaścianki, one też były ostoją oporu przeciwko rusyfikacji, co rząd carski doskonale rozumiał, niszcząc je planowo (*Byli i będą*). Praca własnymi rękami na roli jest u Rodziewiczówny otoczona nimbem zgody z przyrodą i czystego sumienia, dość wspomnieć sianokosy w *Lecie leśnych ludzi*. Tak pracujący Marek Czertwan w *Dewajtisie* mógłby jednak robić to samo niekonicznie nad Dubiszą i wybór kraju przez autorkę nie jest przypadkowy, zdaje się świadczyć o sile pewnego mitu, mitu o pochodzeniu.

Od *Kroniki literwskiej* Strykowskiego do Mickiewicza narasta pewna legenda, która dowodzi wyraźnej fascynacji, a zważywszy jak duże znaczenie w kulturze polskiej ma romantyzm i Wilno, jego miasto, nie trudno zrozumieć dlaczego ta legenda się utrwała. Pomaga też tutaj historia. Rządy dynastii Jagiellońskich, a więc Litwinów, były okresem największej potęgi dwóipanstwa, a historycy polscy idealizują Unię Lubelską jako wzór ekspansji pokojowej, z poszanowaniem dla wyznaniowej i językowej swobody. I rzeczywiście ta mozaika wyznań i języków, jaką

były w szesnastym wieku Polska, Litwa i Ruś nie potrzebowała ukazów monarchy, żeby trzymać się razem. Unia nie okazała się jednak w rezultacie dobrym interesem dla Wielkiego Księstwa, które traciło stopniowo swoją odrębność i wreszcie zostało wchłonięte. Być może na ambicje polityczne Radziwiłła z Kiejdan należałoby spojrzeć inaczej niż to zrobił w *Potopie* Sienkiewicz, który połączył pychę magnacką i kalwinizm czyli brak nabożeństwa do Matki Boskiej żeby dać odrażający portret zdrajcy. Rodziewiczówna mieści się w sienkiewiczowskiej konwencji i jej wybór Żmudzi w *Dewajtisie* nie świadczy chyba o skłonnościach separatystycznych. Niewykluczone, że ciągle żywa pamięć powstania 1863 roku skierowała jej uwagę ku północy. Podczas gdy na Polesiu dla ludności chłopskiej było to powstanie Lachów czyli panów, chłopci żmudzcy odnieśli się do niego przychylniej niż inni chłopci, również ci w Królestwie Polskim i niektóre oddziały z nich były złożone. *Dewajtis* (występuje w nim weteran powstania Ragis) jest powieścią o ładzie patriarchalnym i o współpracy pomiędzy dworem i wiejską zagrodą, a o to rzeczywiście było łatwiej na Żmudzi niż gdziekolwiek indziej.

Urodzony w powiecie kiejdańskim, tuż koło sienkiewiczowskiej Laudy, nie mogłem nie przyswoić sobie mitu o pochodzeniu, który wykazuje zadziwiającą trwałość. Nie był on wcale rewizjonistyczny i Janusz Radziwiłł nie tracił swoich cech zdrajcy przechodzącego na stronę Szwedów czyli sienkiewiczziada rozumiała się sama przez się, tym jeszcze podparta, że z górnych okien starego świrna w Szetejniach widziałem daleko za doliną Niewiaży wieże fary w Kiejdanach. Tym niemniej nasze wyprawy z matką konnym wózkim do okolicznych wiosek wnosiły coś szczególnego, konkretnego. Była witana serdecznie, nawet czule, przez swoich dawnych uczniów i uczennice ze szkółki, którą prowadziła była w Szetejniach i te porządne, jak to u nas, wiejskie gospodarstwa, ta litewska gościnność i dwa, przechodzące jeden w drugi, języki, to była jej ukochana ojczyzna, patriarchalna niewątpliwie, a ponieważ jej doświadczyłem, wiem, co mogło pomagać w tworzeniu mitycznego obrazu Żmudzi, aż po najbanalniejsze rekwizyty. Jak dowiadujemy się z pierwszego zdania *Dewajtisa*, rzecz dzieje się „w starym cichym kraju świętych dębów, węży i bursztynu”.

Sienkiewicz, wydaje mi się, nie fałszuje kiedy sławi patriotyzm i bitność szlachty laudańskiej, wiernie służącej królowi w wojnie przeciwko Szwedom, ma też podstawy, żeby jej patriotyzm nazywać polskim. Z całej Litwy w naszym stuleciu najbardziej polskie były zaścianki Laudy. Jeżeli, jak twierdzi znany badacz dziejów Litwy Henryk Łowmiański, Lauda została osadzona przez Wielkiego Księcia Witolda jako załoga dla obrony

zamków na linii Niemna przed Krzyżakami, wiele przemawia za tym, że sprowadził ich gdzieś z pogranicza polsko-ruskiego, więc albo mówili ciągle tym samym językiem gdzieś od końca czternastego wieku, albo polski wcześniej nabyli. Nie stosuje się to do mojej rodziny, nigdy, jak przekazuje tradycja, z Laudą nie łączonej, mimo „Liawdiewskiego dworu” Syrucułów. Tym niemniej dokumenty z czasu panowania Batorego wskazują, że wtedy i w domu moich przodków i w innych dworach kiejdańskiego powiatu mówiono po polsku. Kiedy przestano posługiwać się litewskim, nie wiadomo.

Ale to kiejdańskie, na pograniczu Auksztoty. Natomiast Żmudź właściwa była o wiele bardziej rdzenna, tylko tam przetrwała szlachta mówiąca w domu po litewsku, a także tylko tam, zapewne jeszcze w czasach, kiedy pisała Rodziewiczówna, przechowywano w chatach chłopskich tarcze i miecze, pamiątkę po służbie praocjów w drużynach Wielkiego Księstwa. Trzeba przyznać, że zamiar autorki kiedy wybierała Żmudź nasuwa pewne pytania. Czy chodzi tu o poszukiwanie matecznika starego rycerskiego obyczaju, skoro najwyższym walorem jest wierność? Gaj dębowy, drogi Markowi, nosi resztki ruin, pozostałość po walkach pogan z Krzyżakami. Czy następuje tu podstawienie: Litwa czytaj Polska? Czy też prawdą jest, co pisze o Rodziewiczównie *Lietuwiu Encyklopedija*, że „jej postaci mówią po polsku ale duszę mają litewską”? I rzeczywiście tej Litwy jakoś dużo: nazwy miejscowości, krótkie rozmowy po litewsku (wygląda na to, że jednak znała język), rodzeństwo Nerpalisów, gimnazystów z Kowna, Olechna i Julia, „deklamowało po żmudzku hymn starodawny”, a matka bohatera „kołysała go żmudzka pieśnią o Birucie i Kiejstucie; gdy podrośl, zabawiła go legendami z bajecznych dziejów kraju”.

A czytelników to wszystko nie niepokoiło, nic a nic. Przeciwnie, bardzo się podobało. To przecie jak *Grażyna* czy *Konrad Wallenrod*. No i kolor lokalny, egzotyka. Tak jak francuska powieść z akcją umieszczoną w Bretanii. *Dewajtis* otrzymał w r. 1888 nagrodę na konkursie „Kuriera Warszawskiego”, miał mnóstwo wydań i był tłumaczony na wiele języków, najwcześniej na litewski, zaraz po ukazaniu się w wydaniu książkowym.

Więc Żmudź jako część integralna przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Dobrze, ale powieść *Szary proch*, chronologicznie następną po *Dewajtisie*, jeszcze więcej pytań nasuwa. Tym razem nie zaścianek ale wioska, do zaścianka zresztą podobna, bo złożona ze średnio zamożnych gospodarstw, tyle że językowo jednolita, mówiąca po „żmudzku”. Jest też dwór, jak to zwykle u Rodziewiczówny, z wioską zaprzyjaźnioną. Osią konstrukcyjną jest przeciwstawienie swoje-obce, ściślej, powrót bohatera do rodzinnej wioski i ziemi zza granicy, gdzie się wwnarodowił. Kapitan

Lorenz, pływający na statkach pana Matschke ze Szczecina, zaręczony z córką swego chlebowodawcy, jest trochę podobny do zniemczonego Konrada Wallenroda czy do Wenzla z *Międzyustami i brzegiem pucharu* Rodziewiczówny, który odkrywa swoją polskość. Kapitan Lorenz po latach wraca żeby odwiedzić swoją rodzinę, Karewisów (*Karevis* znaczy żołnierz) i po wielu perypetiach zostaje, poślubiając Rozalkę Jodasów, strzegąc ziemi, wezwany do służby na posterunku przez najlepszych w wiosce, należących do organizacji podziemnej. To podziemie zajmuje się kolportowaniem bibuły, jego przywódca, stary Szwedas, aresztowany przez carskich żandarmów, po wyroku błogosławi młodego Karewisa i mianuje go swoim następcą.

Rodziewiczówna musiała wiele słyszeć o ruchu „nosicieli książek”. Władze carskie zakazały druku litewskich pism i książek czcionką łacińską i ta bibuła, drukowana w Prusach, głównie w Tyłży, była przenoszona na plecach przez gorliwych kolporterów. Zakaz obowiązywał od 1865 do 1904. W samych latach 1869–1886 przenieśli oni przez granicę około czterech milionów druków litewskich. Było to równoznaczne z powołaniem narodu litewskiego na nowo do istnienia i bez przesady można powiedzieć, że naród ten, przegrawszy w historii, narodził się raz jeszcze z filologii. Bo język litewski był zagrożony zniknięciem, jak na przykład gaelicki w Irlandii. Terytoria etnicznie litewskie słowiańszczyły się na południu i wschodzie, niemczyły się na zachodzie, gdzie okolice Królewca jeszcze w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku mówiły po litewsku, natomiast szlachta Wielkiego Księstwa spolonizowała się. Również miasta, jak Kowno, mówiły przeważnie po polsku, nie wspominając już o Wilnie. Litewski na wsi był tak przeładowany zapożyczeniami, że niekiedy wyglądał na polski z litewską deklinacją i koniugacją. Odrodzenie i oczyszczenie języka było zasługą garstki ludzi, którzy zaczęli po litewsku pisać i wydawać pisma oraz książki — jak i mnóstwa anonimowych „nosicieli książek”. Było coś z cudu w tym zrywie w ostatniej chwili przed zagładą, niby nagły powrót do życia plemienia Czerwonoskórych. Bibuła kolportowana przez Szwedasa nie mogła być niczym innym niż tą własną literaturą odzyskiwanej narodowej tożsamości.

Czytelnicy *Szarego prochu* brali to zapewne za dzielne poczynania ludu przeciwko rosyjskiemu zaborcy, a że ten lud, budzący sympatię, mówił jakimś swoim narzeczem, nie miało większego znaczenia. Myśl, że na ten język można by tłumaczyć np. Szekspira wydałaby się śmieszną. Bo litewski był językiem prostaków. Jak odbywało się przewyciężanie wstydu opowiada w swoich wspomnieniach Vincas Kudirka, uważany za twórcę litewskiej publicystyki i krytyki literackiej, autor litewskiego hymnu narodowego, nb. również tłumacz *Szarego prochu* na litewski.

Kudirka, urodzony w 1858, syn chłopski, był uczniem rosyjskiego gimnazjum w Mariampolu na Suwalszczyźnie, gdzie większość uczniów pochodziła z okolicznych dworów i między sobą mówiła po polsku:

„Instykt samozachowawczy doradzał mi nie odzywać się po litewsku i strzec się, aby kto nie zauważył, że mój ojciec nosi siermięgę i tylko po litewsku mówi. Dlatego starałem się mówić, choć źle, po polsku, a od ojca i krewnych, którzy przyjeżdżali mnie odwiedzać, trzymałem się z dala, jeżeli tylko zauważyłem, że ktoś z kolegów czy panów patrzy; gadałem z nimi spokojnie tylko potajemnie albo na zewnątrz. Uważałem się za Polaka a więc pana, nasiąknę polskim duchem”. „Skończyłem szkołę uważając i czując, że być Litwinem jest czymś niestosownym, zwłaszcza, że wszyscy wtedy wyśmiewali się z jakichś litwomianów”. (mój przekład z oryginału)

Nikt nie zajmował się biografią Rodziewiczówny, poza skąpymi danymi, jako że tylko tych wielkich życiorysy starannie się bada. Była jedną z emancypowanych kobiet epoki, żyjących bez męża i zarabiających pisaniem: Orzeszkowa, w separacji; Konopnicka, która urodziła mężowi czworo dzieci zanim uciekła; Selma Lagerlöf, podobnie jak Rodziewiczówna, zwykle w towarzystwie kobiet. Możliwe, że jako młoda dziewczyna panna Rodziewicz spędziła jakiś czas u krewnych na Żmudzi, możliwe też, że romansowała z kimś, kto wtajemniczył ją w sprawy litewskie. W każdym razie wie o nich więcej niż ktokolwiek z jej polskich współczesnych i chyba jest to ten aspekt jej twórczości, który mógłby wskazywać, że nie zawsze powtarzała pojęcia obiegowe, nawet jeżeli nie była dość samodzielna żeby przekroczyć pewną granicę.

„Ziemiaństwo polskie na Litwie”. Już widzę tak zatytułowane prace historyczne. Termin „ziemiaństwo”, choć staroświecki, miałby tutaj pełne zastosowanie, ze względu na pewne cechy odróżniające tamtejsze dwory od dworów w Polsce, choć na czym polegała ta różnica, nie łatwo określić. Ponieważ z tej kasty się wywodzę, czytam chętnie wspominki jej pogrobowców, księdza Waleriana Meysztowicza, którego miałem zaszczyt znać osobiście (*Poszło z dymem*, 1973, *To co trwałe*, 1974), Zygmunta Szczęsnego Brzozowskiego (*Litwa-Wilno 1910-1945*, 1987), Tomasz Zana, prawnuka filareckiego Zana (Wojciech Wiśniewski, *Ostatni z rodu, rozmowy z Tomaszem Zanem*, 1980). Ziemiaństwo to stanowiło jedną wielką rodzinę, wszyscy byli jakoś spokrewnieni ze wszystkimi i trzymali się obyczajów, których patriarchalność szła w parze z niezdolnością do rewizji odziedziczonych pojęć. Walerian Meysztowicz był wspaniałą figurą. Panicz z dóbr Pojoście nad Jostą i Niewiażą, ułan, ksiądz, profesor teologii na Uniwersytecie Stefana Batorego, dyplomata przy Watykanie, był dumny ze swoich przodków i bojarstwo Wielkiego Księcia było dla niego „my”: my zbudowaliśmy, my

zachowywaliśmy, my broniliśmy. Nie nawiedzają go żadne wątpliwości co do jakichś własnych zamierzeń u włościan rządzonych łaskawą pańską ręką i w swoim świadomym obróceniu się ku przeszłości jest aż monumentalny. Oczywiście nie odnosi się przyjaźnie do litwomianów ani do utworzonego przez nich chłopskiego państwa. W tym państwie wychował się następny z moim pamiętnikarzy, Zygmunt Brzozowski, który opowiada o polityce tamtejszego rządu i duchowieństwa, stwierdzając, że „niszczenie żywiołu polskiego — obok marzeń o Wilnie — było podstawową treścią życia niepodległej Litwy”. Przesadza, ale nie tak bardzo. Cudownie odzyskany własny język stał się dla Litwinów przedmiotem kultu i sakralną przestrzenią poza którą przebywają zdrajcy, po tym poznawani, że nie chcą się mowy przodków uczyć. Tak brano odwet za wstyd, który Vincasa Kudirkę zmuszał do uważania się za Polaka. Ale litewski, bogaty i dźwięczny, rzekłbym, za bogaty, jest językiem trudnym, tak że trzeba albo wynieść go z domu, albo przejść przez litewskie szkoły. Można nawet wątpić czy ktoś z zewnątrz potrafi go tak opanować jak np. angielski czy francuski. Z tego też powodu nie stał się językiem urzędowym Wielkiego Księstwa, przegrywając z łatwo dostępnym wszystkim Słowianom starobiałoruskim. Tylko rządzący korzystali z jego plemiennej odrębności. Jagiełło i Wielki Książę Witold rozmawiali ze sobą po litewsku kiedy chcieli, żeby nie rozumiało ich otoczenie. Jedynie nieznaczna część ziemiaństwa na Litwie uznała się za Litwinów i zaczęła posyłać dzieci do litewskich szkół. Większość nazywała ich „renegatami”. Zdaje się, że to wtedy, w latach 1918-1939, następuje faktyczny koniec Unii Lubelskiej i znika utrwalony przez Rodziewiczównę typ Polaka *ale* Litwina. Zygmunt Brzozowski pisze:

„Prześladowanie Polaków na Litwie nabrało cech okrutnych m.in. z tego powodu, że wśród inteligencji litewskiej było dużo renegatów-Polaków, np. siostry Chodakowskie, żony prezydenta Smetony i długoletniego premiera Tubielisa”.

No i macie. Sąsiad uważa sąsiada za renegata, bo ten chce być Polakiem i jest z kolei uważany za renegata, bo chce być Litwinem. Brzozowski, żeby kto czasem nie pomyślał, że jest skazony, o jednym tylko upadłym członku swojej rodziny wspomina:

„...moja rodzona ciotka (siostra ojca), po ukończeniu uniwersytetu w Petersburgu i wyjściu za mąż za Litwina, stała się jeszcze przed I wojną światową tak zajadłą Litwinką, że nie chciała z nami mówić inaczej jak po litewsku, a była przecież rodowitą Polką, której ojciec powstaniec 1863 roku, aż do śmierci nosił w krzyżu kulę, która nie dawała się usunąć w drodze operacyjnej. Ród nasz był polski z dziada pradziada, choć naszym krajem ojczystym było Wielkie Księstwo Litewskie. Na ośmioro rodzeństwa

ojca tylko jedna siostra stała się Litwinką. Twierdziła, że musi odkupić grzechy przodków, którzy polonizowali Litwinów”.

Tomasz Zan, z dworu Poniemón koło Kowna, był uosobieniem cnót rycerskich. Jako młody chłopak walczy u Dowbora Muśnickiego, następnie przeciwko bolszewikom w 1920, przemierza całą Afrykę żyjąc z polowania na grubego zwierzca, gospodarzy w swoim majątku Dukszty, wtedy w granicach Polski, bierze udział w kampanii wrześnieowej, w AK dosługuje się stopnia pułkownika, rozbrojony w 1944 trafia do obozu Akowców w Rosji. Otóż ten potomek promienistego Zana ma poglądy na narodowość dobrze ustalone. Znał litewski. Jednak sam przyznaje się do afrontu wyrządzonego swemu litewskiemu proboszczowi:

„Poszedłem więc tylko do księdza Wojczunasa poprosić o metrykę chrztu potrzebną do wyrobienia litewskiego paszportu. Kiedy wchodziłem do kościoła przypominałem sobie, że ostatni raz byłem tu na mszy niedzielnej jeszcze w sierpniu tego (1939) roku, ale po odczytaniu Ewangelii wyszedłem ostentacyjnie z całą rodziną, bo kazania ksiądz Wojczunasa głosił tylko po litewsku”.

Zan, jako członek Polskiej Organizacji Wojskowej bił się w 1919 roku z Litwinami o Suwałki i Sejny, następnie brał udział w przygotowywanym przez P.O.W. powstaniu w Kownie, które Litwini jednak udaremnili, aresztując cały sztab i wielu żołnierzy. Ta akcja, wymierzona w organizujące się dopiero młode państwo, musiała Litwinów nastroić nieufnie do mniejszości „polskiej”. Mój ojciec, też żołnierz P.O.W., był w nią zamieszany, wskutek czego musiał wyemigrować do Wilna i miał do 1939 roku wstępną na Litwę zamkniętą. Dzisiaj myślę, że nie powinien był występować przeciwko litewskiemu państwu, ale to dzisiaj, wtedy byłem za mały żeby o tym coś myśleć.

Zan, opowiadając w starości swoje przygody, wraca do sporu o Wilno z akcentami jakby żalu:

„Ale czy my sami jesteśmy bez winy? Na nic zdała się odezwa Józefa Piłsudskiego do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, oni chcieli Wilna. Ukochane miasto, ale ile ofiar z drugiej strony. Czy naprawdę warto oddawać życie, umierać za nawet najpiękniejsze, najukochańsze miasto?”.

Stanisław Mackiewicz, niegdyś redaktor wileńskiego *Słowa*, organu „żubrów” czyli dużego ziemiaństwa, pod koniec życia, w książce *Herezje i prawdy*, 1962, zastanawia się czy „rozwód Jadwigi z Jagiełłą”, który nastąpił w końcu dziewiętnastego wieku, był nieunikniony.

„Sądzę — pisze — że szlachtę litewską zawiódł w tym momencie zmysł polityczny. Nie powinna była niechętnie lub wrogo ustosunkować się

do językowego renesansu, nie powinna była współdziałać z czynieniem przeciwieństwa pomiędzy Litwinami i Polakami. Przecież nie było autentyczniejszych Litwinów od Radziwiłłów na górze ówczesnej struktury społecznej, a Mickiewiczów na dole. Ci, którzy na Litwie opowiedzieli się jako Polacy i jako mniejszość narodowa, nie byli jakimiś kolonizatorami, jakimiś Anglikami w Indiach czy Niemcami na Łotwie, byli właśnie elitą narodu litewskiego. Uznanie się za narodową mniejszość w tym kraju było samodegradacją. Natomiast brak zainteresowania do odrodzonego języka narodowego i do wszystkich z tym związanych litewsko-narodowych żądań był wielkim błędem.

Ale dziś jest już za późno, aby odnawiać te spory”.

Tak to Rodziewiczówna zaprowadziła mnie w rozważania historyczne, ale tego rodzaju podejście do literatury też jest ostatecznie dozwolone. Zresztą gdyby nie perspektywa czasu i przestrzeni, tj. moich lat w Kalifornii, pewnie nie zajmowałbym się tą powieściopisarką, bojąc się, żeby korona nie spadła mi z głowy. Teraz wymądrzania się za wszelką cenę, byle wydać kilka nazwisk niekoniecznie na to zasługujących, są mi obojętne i mogę być wobec Rodziewiczówny sprawiedliwszy. I jednak coraz bardziej wracając w myślach do domu, w strony rodzinne, nie mogę tych powieści pominąć.

### Królestwo Polskie

Losy bohaterów Rodziewiczówny ciekawią nas, bo są oni obdarzeni silną wolą i ta wola, zgodnie z dydaktycznym zamiarem autorki, zwrócona jest ku dobremu. Pojawiają się przeszkody, te przeszkody są pokonywane, a zwycięstwa i klęski składają się na główną perypetię. Byłoby trochę ryzykowne twierdzić, że tam gdzie nie ma woli, nigdy nie ma ciekawej narracji, ale człowiek bierny, rozproszkowany na okruchy doznań, jest w dużym stopniu odpowiedzialny za nikłość fabuły w powieści nam współczesnej.

U Rodziewiczówny i u innych polskich powieściopisarzy doby pozytywizmu, wola bohaterów musi być moralnie uzasadniona, jeżeli nie jest, otrzymujemy „czarne charaktery”, np. Rafał w *Kwiecie lotosu*. Tak więc nieprzyzwoitością byłoby opiewać wolę potęgi dla potęgi jak w powieści francuskiej w której pojawia się bohater „cyniczny” — w *Komedii ludzkiej* Balzaka Lucien de Rubempré, w *Czerwonym i czarnym* Stendhala Julien Sorel. Bolesław Prus w *Lalce* uszlachetnia kapitalistyczne ambicje Wokulskiego jego miłością do panny Izabelli Łęckiej. Miłość porusza też czyste dusze u Rodziewiczówny, ale musi to być miłość wzniosła, nie „szał” i pary zamieniają pierwszy pocałunek tuż przed zawarciem małżeństwa. Podobno większość czytelników Rodziewiczówny to kobiety. Sprzyjałoby to tezie, że kobiety wolą czytać o przygodach sentymentalnych niż o brutalnej erotyce i że

dzisiejsze bluzgające sprośnościami feministki dały się i w tym zaidiotyfikować mężczyznom, przejmując ich obyczaje.

Miłość; wierność obowiązkowi; służba sztuce (malarki Rodziewiczówny to jakby sobowtór jej samej, emancypowanej i piszącej); służba ojczyźnie pod różnymi przebraniami narzuconymi przez cenzurę — nie znajdzie się w tych powieściach dążenia do wybicia się, do pieniędzy, chyba u niskich moralnie osobników. A wysokie miejsce zajmuje altruistyczne poświęcenie się opiece nad ubogimi.

W parze przeciwieństw dobro-zło wieś reprezentuje dobro, miasto zło. Tym miastem jest u Rodziewiczówny Warszawa, inne, jak Petersburg, Berlin, Monachium ukazują się tylko epizodycznie albo, jak Kraków w *Jerychonce*, stanowią jedynie tło dla salonowego romansu.

Jednak w powieściach, których akcja toczy się w etnicznej Polsce, wsi zupełnie prawie nie widzimy. Wygląda na to, że autorce ten teren był mało znany. Choć gdyby potrzebowała swojego stałego układu: dwór, zaścianek, wioska, mogłaby go znaleźć na Mazowszu, gdzie było dużo szlachty zagrodowej. Opisywane przez nią zaścianki na Polesiu pochodziły z kolonizacji mazurskiej, może równie starej jak Dobrzyń w *Panu Tadeuszu* czterysta lat liczący, a więc osadzony za Wielkiego Księcia Witolda. „Czysta krew laska, wszyscy mieli czarne włosy, wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy” — mówi o Dobrzyńskich Mickiewicz. Trochę tacy jak Odrowąż z sąsiedniego zaścianka w *Lecie leśnych ludzi*:

„Do izby wszedł olbrzymi chłop. Twarz miał suchą, z orlim nosem, parą siwych bystrych oczu, usta osłonięte przystrzyżonym siwym wąsem — na głowie gęsta, krótka szpakowata czupryna, a w całości swej typ przepyszny — sarmackiej siły i powagi. Miał na sobie burą kapotę, nogi w rzemiennych chodakach — przy jednym boku borsuczą torbę, przy drugim łubiankę-puzderko — na plecach strzelbę pistonówkę — za pasem rzemiennym siekiere”.

W *Klejnocie* obok wioski chłopskiej Dubinki są też Dubinki szlacheckie, rodem z Mazowsza, jak o tym świadczą i nazwiska (Morscy na przykład) i przechowywane polskie pieśni. Żeby było sprawiedliwie, dwór nie ma kłopotu z Dubinkami chłopskimi, natomiast te szlacheckie zajmują się kradzieżą drzewa z dworskich lasów i kłusownictwem.

Ponieważ Rodziewiczówna zawsze szukała swego ideału, wioski złożonej z dworków, względnie zamożnych i samowystarczalnych, należy się domyślać, że w Królestwie natrafiała jedynie na kontrast pomiędzy bogactwem dworu i ubóstwem chłopów. Może zresztą szukała Polski mitycznej, Polski wolnych kmiaci, „przemienionych kołodziejów”, króla Piasta? Tak czy owak jej doskonała znajomość wszelkiego gatunku robót rol-

nych, narzędzi gospodarskich, nasion itd., widoczna np. w *Hrywdzie*, nie znajduje, kiedy pisze o Polsce, zastosowania.

Warszawa ukazuje się jako miasto nieprawości, pustki duchowej na górze, piekła ubogich na dole, w trzech powieściach: *Wrzos*, *Joan VIII*, 1-12, *Ragnarök*. Wyżyny i niziny społeczne trzeba tu brać w sensie dosłownym — żeby dowiedzieć się co dzieje się w norach i ruderach zamieszkałych przez biedotę trzeba zstąpić niemal w lochy podziemia, jak Dante. Co prawda nędza daje znać o sobie na ulicach Warszawy zziębniętą prostytutką pod latarnią czy grasującymi bandami złodziejasków, ale tzw. przyzwoite towarzystwo (w znacznym stopniu złożone z arystokratów) nie udziela temu większej uwagi. Zdobywają się na takie wyprawy osoby tak czy inaczej alienowane, obce powszechnie przyjętym opiniom, co zdaje się być możliwe tylko u „ekscentrycznych” jednostek albo u ludzi różniących się pochodzeniem. We *Wrzosie* Kazia, ze wsi, przyglądająca się wesołej Warszawie ze zgrozą, zupełnie nie przystosowana, znajduje swoje powołanie, służbę ubogim, dzięki Ramszycowej (Angielce) i doktorowi Downarowi rodem z Litwy; w *Ragnarök*, najsmielszej chyba książce Rodziewiczówny, bo atakującej Kościół i instytucję małżeństwa, szlachetny ateista Niemirycz (z Polesia, a jakże) zaopatruje stale w pieniądze księdza Michała, który, gotów oddać ubogim swoją ostatnią koszulę, jest nowym św. Franciszkiem z Asyżu i dlatego jest traktowany przez swoich kościelnych przełożonych jako rodzaj przygłupa. W *Joan VIII*, 1-12 Żmudzin Gedras, pozytywny bohater, jest właśnie jednym z ubogich, na swoją zgubę przybył do Warszawy, a ginie przez swoją prawość i miłość do przybranej córki; jedynie adwokat Stuch zna podłość uprzywilejowanych odpowiedzialnych za jego nieszczęście. Ale Stuch, który skończył studia zarabiając korepetycjami, jest dla uprzywilejowanych człowiekiem „nie z naszej sfery”, sam przeżył nędzę i poniżenia, swoje i swojej siostry, którą uratował od prostytucji i sprowadził do Warszawy z miasta Ryga.

Ponieważ Rodziewiczówna nigdy nie zdradzała sympatii do socjalizmu, wiedza o nizinach może prowadzić u niej jedynie do ofiarnej działalności filantropijnej jednostek. Niezależnie jednak od jej dobrych chęci, trzeba przyznać, że środowisko dołów nie jest u niej przekonywujące. Te różne Ambroziaki i Józefiaki są trochę papierowe, a do gwary, którą przemawiają, najwidoczniej nie ma ucha.

Jako że śledzę u niej mit pochodzenia, nie mogę pominąć pewnych wypowiedzi profesora doktora Downara. Żona podejrzewa go, że ma inne mieszkanie w którym przyjmuje kochankę. I rzeczywiście takie mieszkanie istnieje, rządzi nim stara służąca Litwinka, Barbikie, tam doktor przyjmuje ubogich pacjentów, bez-

płatnie. Mając jędzę za żonę, Downar rozwija swoją teorię o szkodliwości żenienia się z Polkami:

„ — Postawili Mickiewiczowi pomnik. A ja nie dałem grosza. Głupi był! Litwin czysty — i napisał „Trzech Budrysów”. Za to, bodaj mu w piekle Laszki służył!

— Profesor zatem i Jagielly w sercu nie nosi!

— Jagiello odpokutował za życia. Kolega! Zresztą może nie śmieli z niego w oczy drwić koroniarze, kupę Litwy za sobą miał. A że go żona nie cierpiała i lekceważyła, za to ją świętą omal zrobili. Poświęciła się, Litwina posłubiła, żywcem na męki się zdała, nieboraczka. Wiarę mu dała, koronę mu dała, furda przytem szczęście”.

Mało kto chyba spostrzegł, że Downar wcale nie jest *gente Lithuanus, natione Polonus*, że, przeciwnie, jest litwomaniem i wybiera litewski jako swój język.

„Zapalił lampę w salonie, otworzył fortepian, uśmiechnął się sam do siebie i począł przebierać jedną ręką po klawiszach, potem zaśpiewał:

*Lietwininkaj mes esam gime*, jakby był na Smolnej. Mścił w ten sposób Jagiellę i Budrysów”.

Co znaczą te słowa? Jest to pierwsza linijka wiersza drukowanego mniej więcej wtedy w piśmie litewskich patriotów *Aušra* czyli *Jutrenka*. Pojęcie narodowości litewskiej było wtedy tak jeszcze chwiejne, że nie miało nawet nazwy. Dzisiaj Litwin to *Lietuvis*, wtedy jeszcze nazywał się *Lietwininkas*. Zwrotka, którą wers zaczyna tak brzmi:

*Lietwininkai mes esam gime,*

*Lietwininkai mes turim but.*

*Tą garbę gavome užgime,*

*Jai ir neturim leist pražūt!*

A znaczy to: „Litwinami urodziliśmy się / Litwinami być mamy / Ten zaszczyt otrzymaliśmy od urodzenia / Nie pozwólmy, żeby został stracony”. Tak śpiewać mógłby Polak („Nie damy ziemi skąd nasz ród / Nie damy pogrześć mowy”), Czech, Słowak, Ukrainiec, zmieniając jedynie nazwę narodowości, bo przecież jest to nic innego niż narodowościowe wyznanie wiary.

A teraz zapytuję, Doktor Downar budzi sympatię czytelników, jest to szlachetny altruista, darmo leczący ubogich, odporny na towarzyskie głupstwa Warszawki, toteż w swoich komicznych przeprawach z żoną sekutnicą ma czytelników po swojej stronie. Ale gdyby podkreślał swoje pochodzenie, dajmy na to, niemieckie? Żydowskie, śpiewając piosenkę w jidysz? Ukraińskie? A litewskie uchodzi mu na sucho, nawet go upiększa, co należy do tajemnic polskiego stereotypu nawarstwiającego się w przeszłości, tzn. wtedy kiedy litewskość nie uchodziła za coś dostatecznie poważnego, żeby aż prowadzić do pojawienia się odrębnego państwa.

We wspomnieniach Kudirki z jego lat szkolnych język polski jest „lepszy” bo pański — i tu jest wyjaśnienie polonizacji Litwy. Zarazem jednak owi panowie, prawdziwi i przyszywani, uparcie uważali się za „lepszych” od „koroniarzy”, jak o tym można się przekonać czytając *Rodziewiczównę*, co więcej, narzucili to przekonanie innym. Przypuszczalnie łączy się to jakoś (ale jak?) z polską manią rodowodów, herbów, z towarzyskim snobizmem.

Moje przyznawanie się do litewskich korzeni często było uważane za zwyczajny snobizm. I byłoby nim, gdybym uprawiał to niejako abstrakcyjnie, ale w moim wypadku działały różne, nieraz głębokie, przeżycia, jak to bywa kiedy ktoś rośnie w środowisku kilkujęzycznym. I jednak krajobrazy Litwy mnie ukształtowały, jej barwy, jej zapachy, jej niebo, jej telluryczne siły, które zapewne istnieją.

Żeby dać przykład jak trwale są niektóre wzory obyczajowe, wystarczy odwołać się do moich rozmów z Witoldem Gombrowiczem. Bardzo snobował się na swoich półarystokratycznych krewnych i przodków, ale wobec mnie nie roztrzącał tych przepychów, bo dosyć mi było wspomnieć, że przeciw pochodzi z Królestwa, a przepychy wiodły i tylko gorąco protestował, że przeciw jego dziadek Onufry Gombrowicz też nad Niewiażą siedział i że opuścił Litwę dopiero po powstaniu 1863 roku, kiedy jego majątki, Lenogiry, Mingajłów i Wysoki Dwór skonfiskowano. Swoją opowieść *Opętani* Witold drukował pod pseudonimem wziętym od rzeki Niewiaży, Niewieski.

Powieści *Rodziewiczówny* z akcją umieszczoną w Polsce są, z wyjątkiem motywu działalności charytatywnej, salonowymi romansami i pozwalają wyobraźni czytelników przebywać wśród tzw. „wyższych sfer”. Jedną z jej powieści najbardziej salonowych jest *Między ustami i brzegiem pucharu*, który to tytuł, z lekką nieprzyzwoitością, rzeczywiście oznacza to, co podejrzewamy, a więc chwilę przed skonsumowaniem małżeństwa. Panna Jadwiga ma narzeczonego ale odbija mu ją hrabia Croy-Dülmen. Hrabia, Niemiec, najpierw cierpi dlatego, że rasa jego nie jest czysta, bo jego ojciec popełnił mezalians i ożenił się z Polką, następnie polski dwór w Poznańskim i miłość do dumnej Polki całkowicie go zmieniają, dowiaduje się tam, że to jego matka popełniła mezalians wychodząc za Niemca. Ten utwór, należący do patriotyczny według jeszcze jednej odmiany przeciwstawienia swoje-obce, odnawia stare ostrzeżenia przed *Drang nach Osten* („A chociaż Niemiec / Głos ludzki rozumiał”), nawet jednak jak na pannę *Rodziewicz*, zbyt już jest w swojej naiwnej salonowości podobny do *Ordynata Michorowskiego* i *Tędownatej*.

Ani spostrzegłem się, a dużo o *Rodziewiczównie* powiedziałem i okazuje się, że warto było sięgnąć do tych książek, nieraz

o poźółkłych od starości stronicach, bo nie wszystkie są wznawiane. Wolałbym oczywiście za przedmiot moich rozważań obrąć inne, lepsze, powieści tamtej epoki, coż kiedy ich nie ma. Jak już wspomniałem na początku, nie najmniej ważną zaletą pisarza jest zdolność zagarnięcia pewnej rzeczywistości właściwej danym miejscu i czasem, łącznie z tym, jak jest ona przez ludzi odczuwana, a w tym względzie *Rodziewiczówna*, mimo swoich sentymentalności i uprzedzeń, czy właśnie dzięki nim, jest raczej realistyczna, no i nie tak nudna jak *Orzeszkowa*. Sądzę też, że mimo niebezpiecznych przechyleń poza to, co dozwolone, jak antyklerykalizm w *Ragnarök* i przesadna prolitewskość tu i ówdzie (a chyba nie była litewskim Konradem Wallenrodem?) reprezentuje ona w pełni polskie stereotypowe odczucia i poglądy. Spotkałem kiedyś wiele osób, zwłaszcza na Litwie i Białorusi, które były jakby wzięte z jej powieści, ale mnóstwo jest takich samych i dzisiaj, również wśród młodych pokoleń. Nie byłbym też pewny, czy przywiązanie do katolicyzmu u Polaków nie kryje dużej podskórnej niechęci do kleru i czy mityczny obraz Litwy nie zaspokaja jakiejś trudnej do nazwania potrzeby legendarnych początków, skoro lechickie legendy, Gopła, Piasta i Rzepichy, króla Popiela najważniejszej przestały funkcjonować. Gdyby tak było, *Rodziewiczówna* i w swoich dewiacjach mniej odstępowałaby od narodowej ortodoksji niż się zdaje.

Dzisiejsi wielbiciele *Rodziewiczówny* nie muszą podzielać zastrzeżeń swoich bardziej wybrednych inteligenckich współobywateli, ci z kolei nie mają na ogół ochoty tak się w nią wgłębiać jak ja to robię. Na poziomie powszechnego odbioru ukazując się ona całościowo tzn. jej dydaktyczne posłanie nie jest wydzielane, tak że wydaje się czymś naturalnym. Tylko dla kogoś z zewnątrz, a stałem się takim mieszkając długo w Ameryce, jej światopogląd zastanawia swoją mieszaniną zacności, honorności i absurdu. Zalecana jako chrześcijańska lektura dla rodzin, jako że nie ma w niej wybujałej erotyki czyli, jak to ona nazywa, „szalów”, pochwalana za swoje zdrowe poglądy przez Stronictwo Narodowe i jego dalsze wcielenia, jest właściwie pisarką nieszczęśliwego społeczeństwa szlacheckiego, które nie tylko zastygło w swoich obyczajach, ale jeszcze cofnęło się w porównaniu z szybko postępującym gdzie indziej dziewiętnastym wiekiem. Marzenia imperialne trwają w nim jako oczekiwanie Wielkiej Chwili w której Matka powróci do granic z 1772 roku, niosąc swoją misję ludom, niekoniecznie co prawda przekonany, że ich szczęście zależy od istnienia polskich majątków. Romantyczne wizje szczełogólnego powołania, tym mocniejsze, że klęska 1863 roku otoczyła je nimbem bezinteresownej ofiary i cierpienia na Sybirze, karmią się obserwacją mroków i dzikości u rosyjskiego



sąsiada. Opierając się tym mrokom i dzikości, Polska dworu i zaścianka uległa zapeklowaniu żywcem. Założenia książek Rodziewiczówny nie muszą być głośno powtarzane, zresztą być nie mogły, z powodu cenzury, ale ich obecność przemawia do czytelników na zasadzie dobrze wytartego uczuciowego toru. Ze dzieje się tak w końcu dwudziestego wieku dowodzi jedynie, że nie wszystko mogą zmienić wojny i polityczne przewroty.

### Czesław MIŁOSZ

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 12 listopada 1990

Wczoraj (dzień był słoneczny, prawie wiosenny) stałem w tłumie na *Piazza Plebiscito* podczas mszy odprawianej przez Jana Pawła II. Pięciodniowa wizyta pasterska papieża w Neapolu, aż tak długa wizyta w jednym tylko włoskim mieście, jest wydarzeniem bez precedensu. Prawdopodobnie pomyślana była jako ostra kuracja *in extremis*, zastosowana wobec ciężko chorego na raka, z przetrutami na wszystkie niemal organy ciała (gdzie taka jest sytuacja Neapolu). Jakiś ksiądz w roli mistrza ceremonii, przed wjazdem papieża na plac, wykrzykiwał ciągle przez głośnik słowo *speranza*, wzywając nadaremnie tłum do podchwytywania intonowanych pieśni kościelnych. Przyglądałem się stojącym obok mnie ludziom: mieli twarze zmęczone, poszarzałe, bez krzytu odświętności czy ferworu religijnego, twarze do których najmniej pasowała właśnie *speranza*. Ożywiły się nieco w momencie wjazdu papieża na plac w szklanej klatce. Zerwała się i szybko ucichła burza oklasków. Gdy z ust Jana Pawła II zaczęły padać uroczyste słowa — praworządność, godność, odpowiedzialność, odwaga, solidarność, miłość — twarze dokoła mnie znowu przygasły i poszarzały. Nie, nie było w nich śladu „nadziei”. Cud obudzenia Neapolu, wyrwania go z rakowych kleszczy choroby, ten cud, który miał być ozdrowieńczym lekiem wizyty papieskiej w mieście nawykłym od wieków do oczekiwania cudów, wzbіл się do góry, zafurkotał chwilę w powietrzu i pękł jak przekłuty kolorowy balonik. Na tym polega niepowstrzymana w ostatnich latach degradacja Neapolu: przestał wierzyć w cudy. Od pewnego czasu wątpię, czy istnieją zastrzyki zdolne wsączyć mu do żył przynajmniej iluzję powrotu do zdrowia.

13 listopada

Mała antologia Mgły albo Pędu w Nieznane.

Minął *Annus Mirabilis*, 1989. Jakie otworzył perspektywy? Ralf Dahrendorf napisał ładną książeczkę, pożyczając jej tytuł od Edmunda Burke. Burke ogłosił w roku 1790 *Refleksje o rewolucji francuskiej w formie listu do przyjaciela w Paryżu*. Książeczka Dahrendorfa o roku 1989 zawiera „refleksje o rewolucji w Europie w formie listu do przyjaciela w Warszawie”. Wiele rzeczy podoba mi się u Dahrendorfa. Wykpiwa mędrca amerykańsko-japońskiego Francis Fukuyama, który obwieścił po wypadkach 1989 roku „koniec Historii” (z dużej litery). Wielbiciel Hegla (za jakiego się podaje) mógłby ewentualnie proklamować „koniec heglowskiej Historii” (oraz jej rozmaitych „ukąszeń”), bo o historii z małej litery rozsądniej jest powiedzieć za Stempowskim, że dość dawno już urwała się z łańcucha i odtąd pędzi przed siebie z wywieszonym jęczorem. *Annus Mirabilis* dał nam pojęcie o zawrotnej i błogosławionej szybkości jej pędu. Ale teraz rozpostarła się przed nią lawica mgły, historia urwana z łańcucha pędzi w nieznanie; ufajmy, że nie nabawi się po drodze, klucząc i kołując, wściekliczny. Entuzjasta Cudownego Roku w naszej części Europy napomyka ostrożnie o różnych niebezpieczeństwach: o „balkanizacji” spowodowanej zbyt dużym naciskiem na „samostanowienie narodowe”; o zagubieniu prawdziwego sensu „rewolucji”, którym było ocalenie przed niszczącym działaniem komunizmu tak drogocennej wartości jak poczucie swobodnego uczestnictwa w „społeczeństwie obywatelskim”; o stopniowym rozmywaniu w przyszłości wrogości stosunku do *wszelkich* „systemów”. Dahrendorf doskonale pokazuje doktrynalność konstytucyjną (kapitalistyczną naturalnie) Hayeka, doradzając słusznie popperowskie „społeczeństwo otwarte”, w którym jest miejsce i dla kapitalizmu i dla socjaldemokracji. Kto dziś, w atmosferze niewątpliwej śmierci socjalizmu jako „systemu”, ośmieli się powtórzyć spokojnie uwagę Dahrendorfa: „Dalecy od zwalczania państwa w duchu Marksa, który nazywał je ‘radą administracyjną burżuazji’, socjaliści posługiwali się nim dla naprawienia krzywd kapitalizmu. John Maynard Keynes i William Beveridge byli liberałami z afiliacji partyjnej, ale keynesowska polityka gospodarcza i polityka społeczna Beveridge’a stały się znamionami socjalizmu”.

Mój włoski znajomy Sergio Romano, ambasador w Moskwie od 1985 do 1989, nie długo reprezentował swój kraj na dworze Gorbaczowa. Ponieważ odnosił się sceptycznie do szans *pieriestrojki*, i nie ukrywał tego, wykopano go z Moskwy wspólnymi siłami sowiecko-włoskimi. Jego przygoda dyplomatyczna

zasługuje na baczną uwagę, uprzytamnia bowiem rozmiary kultu Gorbaczowa na Zachodzie: na szczeblu państwowym (a w dużym stopniu również w środkach przekazu) skąpy kredyt udzielany ZSSR w wersji liberalnej zalatuje świętokradztwem albo herezją. Zjadłem obiad z ambasadorem (już wówczas ex) wkrótce po jego powrocie do Rzymu. Choć niezmiernie rzadko, bywają i tacy przedstawiciele Zachodu w Moskwie jak Sergio Romano, co zaskoczyłoby pewnie Alain Besançon. Nasza rozmowa odbyła się w kwietniu 1989. Gdyby została utrwalona i wystuchana czy przeczytana dzisiaj, w półtora roku później, przyniosłaby zaszczyt dalekowzroczności i inteligencji mojego rozmówcy.

Ambasador na emeryturze pisze zazwyczaj pamiętniki. Ambasador w pełni sił, na „zesłaniu do domu”, pisze książki polityczne. Tematem książki Sergio Romano jest „zmierzch ZSSR jako mocarstwa światowego”; autor dorzuca w podtytułe „i jego konsekwencje”. Można sobie darować analizę owego „zmierzchu”, jakkolwiek uderza zwięzłością i bystrością dobrych (i nie poufnych już) raportów dyplomatycznych. Ważne są „konsekwencje”, zwłaszcza ta którą rozdział końcowy formułuje jako pytanie: *Pół wieku wojen domowych?* Romano przypomina słynne słowa Goethego po bitwie pod Valmy w roku 1792: „Od obecnej chwili zaczyna się nowa epoka w historii świata”. Pod Valmy, według Goethego, narodziła się „idea wsparta bagnami”. *Annus Mirabilis* 1989 nie był na ogół krwawy, ale w miejsce „idei” pogrzebanej podwojn timer, krachem komunizmu i zmierzchem ZSSR jako mocarstwa światowego, otworzył ogromną próżnię, którą ktoś prędzej czy później będzie chciał lub musiał wypełnić. Jedyną „ideą” posiadającą dane, by ją z powodzeniem niestety wypełnić jest nacjonalizm. Zanim nacjonalizm odstłoni całą swoją ograniczoność i iluzoryczność, oczekuje nas, po półwieczu zimnej wojny, pół wieku wojen domowych?

Zakończę moją małą Antologię Mgły albo Pędu w Nieznane nową książką Michała Hellera o „blaskach i nędzach Gorbaczowa”. Jak zawsze prawie u tego znawcy królestwa „utopii u władzy”, *Siódmy sekretarz* opiera się na solidnej dokumentacji i argumentacji. A konkluzja? „Na pytanie po co Gorbaczow zainicjował *pieriestrojkę* istnieje jedna tylko odpowiedź: aby maksymalnie odroczyć upadek systemu sowieckiego”.

Garton Ash ukuł słowo „refolucja”, łącząc w nim pomysłowo „reformy” i „rewolucję”. Pasowało ono nie najgorzej do Cudownego Roku 1989 i do pierwszej połowy roku następnego. Teraz urwana z łańcucha historia przysiadła zdyszana, usiłuje we mgłę wężem zastąpić białe łuski na ślepiach, wyciera o grzbiet ślinę cieknącą z pyska. Fukuyama jest przekonany, że zdycha, za chwilę zdechnie. Nie, nie, zerwie się niebawem na równe nogi, aby kołować, kołować, kołować...

18 listopada

Za tydzień wybory prezydenckie w Polsce.

Latem 1988 Renata Gorczyńska przeprowadziła ze mną rozmowę dla *Aneksu*. Pod koniec zapytała mnie o opowiadanie *Cud*, napisane w roku 1983. Moja odpowiedź: „*Cud* jest opowiadaniem wiernym historycznie. Bardzo się nad nim napracowałem, zbierając dane o tej historii neapolitańskiej z XVII wieku. Ale jest to opowiadanie, co tylko nieliczni zauważyli, o „Solidarności”. Pisałem o Masaniello, mając trochę przed oczami Wałęsę”. Muszę dziś dodać dwa uzupełnienia. Po pierwsze, dopiero w trakcie pisania, w połowie mniej więcej pracy, uświadomiłem sobie nie bez pewnego zdumienia, że przywódca rewolucji ludowej w Królestwie Neapolu, rybak i sprzedawca ryb Masaniello, u szczytu krótkiej kariery rewolucyjnej „generał ludowy”, który na Hiszpanach wymógł podpisanie dwudziestu trzech „przywilejów obywatelskich” i wzniesienie kolumny ku czci ludu neapolitańskiego, mógł przypominać Wałęsę (świadomość podobieństwa nie wpłynęła w żadnym stopniu na historyczną wierność dalszego ciągu opowiadania). Po drugie, w dniu rozmowy z Renatą Gorczyńską ściśle było stwierdzenie „zauważyli to tylko nieliczni”, natomiast później miałem okazję przekonać się, że w wypadku czytelników w Polsce było tych „nielicznych” bardzo wielu.

*Cud* znajduje się w trzecim tomie mojego dziennika, więc nie ma potrzeby przywoływać go tu szczegółowo. Na tydzień przed wyborami prezydenckimi w Polsce rozmyślałam o fragmencie, w którym mowa o „tragedii nagłego obłędu Masaniella”. W nocy z 14 na 15 lipca Masaniello majaczył, bełkotał nieskładnie jak w gorączce, mówił że „chce dalej rozkazywać i komenderować”. Nie odważono się powściągać go w „ciągle obfitszych i kapryśniejszych zapędach tyrańskich”, ale zaczęto po cichu zadawać sobie trwożne pytanie czy nie oszalał. Ludność była zmęczona, po udanej rewolucji pragnęła spokoju i wytchnienia. Tutaj następuje w opowiadaniu opis spisku uknutego przez towarzyszy Masaniella, jego skrytobójczej śmierci i pośmiertnej apoteozy.

Dzięki Bogu, nie istnieją w historii analogie dokładne, dziejowe epizody z różnych epok, jakby powielane w swoim meritum. Istnieją jedynie mniej lub więcej „spowinowacone” wzory w wielkim historycznym desenie.

(Gregorovius w *Wędrówkach po Włoszech*: „Na Piazza Mercato w Neapolu co tydzień odbywają się jarmarki. Ogromny plac, dla Niemca miejsce żałobne, tu bowiem został stracony ostatni z Hohenstaufów, jest zarazem pamiętny tym, że roze-

grała się na nim historia Masaniella. *Lazzaroni* neoronowali tu i zabili swojego króla. Plac ten jest więc dla ludu neapolitańskiego miejscem historycznym, jego Placem Bastylii”).

22 listopada

Wczoraj całodzienna wizyta Stefana Frankiewicza, redaktora *Więzi* i od niedawna szefa wydziału watykańskiego w MSZ. Długi spacer nad morzem, przerywany postojami, ilekroć rozmowa zbijała się w węzły, wymagające prób rozplątania. Stefan mówił o micie (w znacznym stopniu) polskiej tolerancji, o zaognieniu nacjonalistyczno-szowinistycznym, którego nie należy utożsamiać wyłącznie z rosnącym amokiem antysemityzmu. Choć w mniejszym natężeniu, Polacy „nie trawią” także Ukraińców, Białorusinów, ostatnio Litwinów, nie mówiąc już o Niemcach i Rosjanach. „Nie trawią” jest niezręcznym może, lecz dość ścisłym określeniem. Antysemityzm zawdzięcza swą „uprzywilejowaną pozycję” mechanizmowi błędnego koła. Im więcej wybrków w stylu napisów na murach, plugawych odzywek w miejscach publicznych i norymberskich poszukiwań biskupa Orszulika, tym gwałtowniej polski antysemityzm ciągnie za sobą zachodni (głównie amerykański) antypolonizm; i tym częściej odżywa tępy schemat „polskiej współodpowiedzialności za Zagładę”, wymyślony przez oszalałych i najgłupszych na świecie Żydów amerykańskich (tytułem przykładowo wystarczy powiedzieć, że w miesięczniku *Commentary* — kiedyś bardzo dobrym — mój *Inny świat* uznano za książkę antysemicką, a Marka Edelmana wyszydzono za jego upór w uważaniu się za Polaka), którzy w ten sposób usiłują oczyścić swoje sumienia, zamulone wspomnieniem własnej obojętnej bierności w latach wojny wobec postępów „ostatecznego rozwiązania”. Głupota ludzi, którzy nie potrafią lub nie chcą zrozumieć różnicy pomiędzy postępowaniem hitlerowców na Zachodzie i w krajach Europy wschodniej, jest niekiedy niewiarygodna. Świeżo zwrócił na to ponownie uwagę profesor Istvan Deak w *New York Review of Books*. Ale Deak jest jeden, jak jeden był niegdyś autor znakomitego szkicu *Normalność w nieludzkim świecie*, profesor Israel Shahak z Jerozolimy. No i oczywiście, na zasadzie błędnego koła, amerykańsko-żydowski antypolonizm podsyca polski antysemityzm.

Wprowadziłem do rozmowy wątek, który częściowo chyba znalazł zrozumienie w oczach Stefana, niezwykle uwrażliwionego (pamiętam to z naszych spotkań rzymskich, gdy pracował w polskiej edycji *Osservatore Romano*) na groźby i zasadzki „triumfalizmu” Kościoła polskiego. Świadomie posunąłem mój

wywód do absurdu, jakkolwiek nie zanadto odległego od prawdy. Polacy uważają się za jedyne autentycznych katolików na świecie. Do katolików innych narodowości mają stosunek nacechowany wyższością, w najlepszym razie ironiczną wyrozumiałością. Przeciętny Polak-katolik nie zdziwiłby się wcale, gdyby mu „udowodniono”, że Matka Boska pochodziła spod Łowicza, a Chrystus nauczał nad brzegami Wisły i chrzcił pogan w jej wodach. Opowiadano mi o furii katechety na głębokiej prowincji, gdy mały chłopiec zadał mu na lekcji religii pytanie: „Czy to prawda, proszę księdza, że Pan Jezus był Żydem?”. We Włoszech, od przyjezdnych z Polski ludzi wierzących (tzw. „maluczkich”) słyszałem często taką uwagę o Włochach po wizycie w kościele i udziale w nabożeństwie: „Jacy tam oni katolicy!”. Wybór „polskiego papieża” podbił wysoko to religijne samodurstwo: był jakby dowodem, że Kościół wkracza nareszcie z woli Boga na dobrą (czytaj: polską) drogę.

Otóż przykre, obłudne przejawy polskiego szowinizmu mają, moim zdaniem, źródło — nie jedyne oczywiście — w wynaturzeniach megalomanii, może nawet pychy, religijnej.

#### *Maisons-Laffitte, 25 listopada*

W dzisiejszym *Corriere della Sera* ukazał się mój *Cud*, przedrukowany z tomu *Due racconti*. Redakcja uznała moje opowiadanie za jeden ze sposobów pokwitowania wyborów prezydenckich w Polsce. W przedmowie Francesco Cataluccio pisze, że w roku 1983 polscy czytelnicy w Kraju dostrzegli parantełę Masaniello-Wałęsa. I dodaje: „Z biegiem czasu stało się jasne, że analogie są liczne. Można tylko życzyć elektrykowi-nobliście innego finału”.

#### *30 listopada*

Wyniki wyborów prezydenckich w Polsce wzbudziły „niepokój”. Blade i mdłe słówko! Słowem właściwym jest WSTYD. Tak, głęboki wstyd, że w Polsce podziwianej wszędzie w ciągu minionego dziesięciolecia jedna czwarta elektoratu głosowała na Króla Ubu z Peru (a może Króla Ube, o czym powinien chyba wiedzieć z urzędu minister Kozłowski, lecz okazuje się że nie wie; w ogóle od ministra do członków Komisji Wyborczej egzotyczny kandydat na najwyższy urząd w państwie jest „jakimś Niewiadomskim”, folklorystyczną ozdóbką na choince pierwszych swobodnych wyborów... o czterdziestoprocentowej absencji), który obiecał że w razie wygranej nauczy rodaków jak

się zarabia dolary; który chwali półgębkiem „Solidarność”, natomiast wielbi naprawdę generała Jaruzelskiego; który o stanie wojennym nie potrafi nic powiedzieć, bo miał wtedy zaledwie trzydzieści dwa lata; który sądzi, że strajkujący mają zawsze rację; który jest mistrzem wymijających odpowiedzi na wszelkie pytania; który swej peruwiańskiej żonie wyznaczył rolę Czarnej Madonny, czyli zbawicielki naszej umęczonej ojczyzny w myśl starej przepowiedni.

Istnieje jednak odwrotna strona wstydu. Jest nią nagle odkrycie (nie dla mnie), że polskie elity polityczne wzbily się w stratosferę, naród pozostawiwszy na padole łez. I to właśnie ten płaczący z bezsilnej wściekłości, zgrzytający zębami naród, który od czasów Magdalenki trzymano w niewiedzy, uczył się w dwudziestu trzech procentach ostatniej deski ratunku w postaci zamorskiego milionera, co to „zna się przynajmniej na rzeczy i coś tu może zmienić”. Od dawna już zauważyłem w rozmowach z przyjezdnymi z kraju, że w oczach przeciętnego obywatela *establishment* postkomunistyczny w Polsce uchodzi za „ferajnę”, działającą na zasadzie „kruk krukowi...”. „Na prezydenta — ten motyw pojawiał się najczęściej — wybrali sobie Jaruzelskiego. Jak tu się dziwić, że nikogo nie pociągają do odpowiedzialności za wczoraj i przedwczoraj, że z dzióbeków sobie jedzą z nomenklaturą”. Tacy ludzie — czego należy się wstydić, ale co należy także zrozumieć — głosowali na Tymieńskiego chętniej, niż na Wałęsę i Mazowieckiego.

Cała ta historia, zaczęta lekceważącym wzruszeniem ramion na widok przybysza zza oceanu, kończy się powszechnym trzęsieniem portkami. A nuż wygra w drugiej turze? Peruwiański hochsztapler zamienił naraz obraz nowej, demokratycznej Polski w groteskową karykaturę w stylu południowoamerykańskim. Wszyscy protagoniści stali się śmieszni. Śmieszny jest Wałęsa, który od planowanych „co najmniej osiemdziesięciu procent” przeszedł do płaczącej żebraniny pod adresem swoich adwersarzy: „Pociągnijmy razem ten wózek, koledzy”. Śmieszny i historyczny jest Michnik, który po rejtanowsku obwieszcza, że nawet w drugiej turze nie będzie głosował na ukochanego niegdyś Lecha. Śmieszny jest Geremek, który niegdyś gromił wzrokiem każdego, kto ośmielił się złe słowo powiedzieć o Wałęsie, a teraz boleje nad jego „demagogią” i *en passant* zastanawia się, czy aby „Polacy dojrzeli do demokracji”. Śmieszny jest (niestety) Mazowiecki, który podaje się natychmiast do dymisji, jakby Kraj mógł sobie pozwolić na istnienie bez rządu aż do wyboru nowego prezydenta. Rekordy śmieszności bije Najder, który czym prędzej ogłasza swoją „gotowość do utworzenia nowego rządu”. Śmieszne jest wezwanie episkopatu do księży, by z ambon wzywali do głosowania na Wałęsę, gdy Jan Paweł II

miał w Castelgandolfo aż dwie godziny czasu na zarekomendowanie i podkształcenie przyszłego prezydenta w uroczystym namaszczeniu.

Tyle tylko, że na Zachodzie ten śmiech, po kilku przelotnych chwilach rozbawienia, skłania do ostrożności w inwestycjach i w pomocy; a u nas jest zaprawiony bezsilnym wstydem.

### 3 grudnia

Podobno amerykański student nie może zdać egzaminu z literatury rosyjskiej, jeśli nie zna dobrze jej trzech najważniejszych dzieł. Te trzy podstawowe dzieła to *Wojna i pokój*, *Zbrodnia i kara* oraz *Moskwa-Pietuszki* Jerofiejewa. *Non è vero, ma è ben trovato*.

W dzienniku z roku 1977 napisałem krótką notę o miniopowieści (a raczej, jak ją sam autor nazywa, o „poemacie”) Jerofiejewa, ogłoszonej w Izraelu w almanachu rosyjskim *Ami*, dając jej rangę „małego arcydzieła”. Bez fałszywej skromności powiem, że ze wszystkich znanych mi omówień (a było ich sporo, bo „poemat” zrobił szybko karierę międzynarodową) moje, choć skondensowane na dwóch stronicach dziennika, sięgało najgłębiej. Zmarły niedawno „Wieniczka Jerofiejczyk” napisał jedną z tych rzeczy, które otwierają nowy rozdział w literaturze. W zeszłym stuleciu taką przelomową rolę odegrały *Zapiski iz podpolja* Dostojewskiego, zarówno w literaturze rosyjskiej, jak — co się dopiero później okazało — w literaturze światowej. W *Moskwie-Pietuszkach* widziałem przed trzynastu laty zadatki na analogiczny punkt zwrotny, nic się jednak (przynajmniej dotąd) nie stało. „Poemat” Jerofiejewa wynurzył się z rosyjskiego morza wódki i utonął w nim z etykietką „genialny”, lecz bez potomstwa, jeśli nie liczyć płytkich, wulgarnych naśladowców, którzy „Wieniczkę” usiłovali małpować. Kusi mnie pytanie: dlaczego? Przypuszczalnie dlatego, że nie w pełni zauważono metafizyczny tragizm powieści, celowo przesłonięty z ogromnym talentem pijacką „zgrywą”. Cały Jerofiejew to pozorny, błazeński prawie „zgrywus” *mit tiefer Bedeutung*. Ostatni, przedśmiertny wywiad z Jerofiejewem w paryskim *Kontynencie* kończy się tak:

— Wieniczka, którego z członków rządu bolszewickiego nie udusiłbyś własnymi rękami?

— Chyba Andropowa.

— Pogromcę dysydentów?

— Nie, nie, Andropow był przyzwoitym człowiekiem.

— Nie wydaje ci się dziwne, że w ciągu siedemdziesięciu lat (władzy sowieckiej) jedynym przyzwoitym człowiekiem był szef policji?

— Nic w tym dziwnego. Odwrotnie. Dobry człowiek. Uwierzyłem mu. Obniżył cenę wódki na cztery siedemdziesiąt. Czołgi w Afganistanie...

— Czołgi wprowadził Breżniew.

— Pluń na to kto wprowadził i dokąd. Tego już naród nie pamięta. Ale to, że wódka staniała...

Polecam ten dialog zawodowym „sowieologom”.

### 5 grudnia

Młody Bernard Berenson rodem z Kowna, późniejszy sławny historyk sztuki oraz doradca i rzeczoznawca nabywców dzieł malarskich, jako student uniwersytetu w Harvard spędzał w zeszłym stuleciu co roku wakacje letnie we Włoszech, wędrując na osiołku od kościoła do kościoła na wybrzeżu adriatyckim. Jego genialne już wtedy oko potrafiło dojrzeć pod czarną warstwą brudu (Włosi nazywają ją *la crosta*) arcydzieła malarstwa renesansowego, zaginione obrazy wielkich mistrzów. Berenson kupował je za grosze, każdy wiejski proboszcz żył w ciągłej potrzebie pieniędzy, a to na naprawę dachu czy ściany w kościele lub na plebanii, a to na utrzymanie szkółki przykościelnej. Z tych obrazów powstała po wielu latach wspaniała kolekcja w willi Berensona w Fiesole pod Florencją; подарowana w testamencie przez właściciela uniwersytetowi w Harvard, służy do dziś amerykańskim stypendystom z wydziału historii sztuki.

Nie wiem czy ta historia jest prawdziwa, czy też admirał Tatti w Fiesole taką efektowną legendą. Wspominam ją tutaj, bo pomaga zrozumieć wrażenie, jakie zrobiła na mnie przed wyjazdem z Neapolu opowieść restauratorki starych fresków E.

W małej, zapadłej wiosce w Umbrii odkryto w kościółku cenny fresk, pokryty do tego stopnia czarną „krosta”, że poprzez zasłonę wiekowego brudu prześwitywały tylko mgliste i fragmentaryczne zarysy jakiejś świętej sceny. Urząd restauracyjny w Rzymie wysłał tam E. z dwoma asystentami. Zbudowano rusztowanie i zabrano się do pracy. Wierni podczas nabożeństw przyglądali się jej postępowi jakby z ukosa, niechętnie i nieufnie. Po trzech miesiącach nastąpił wybuch jasności, począł się wyłaniać fresk taki, jaki po namalowaniu go w XVII stuleciu przez nieznanego mistrza umbryjsko-toskańskiego oglądali przodkowie obecnych mieszkańców wsi. E. była dumna z pierwszych wyników restauracji, ale odczuła natychmiast wrogość przychodzących do kościoła, jakby popełniła zbrodnię zafałszowania czegoś od dawna wrośniętego w ich życie. Ta wrogość nie ograniczała się do złych spojrzeń, trójce restauratorów dokuczano z każdym

dnem bardziej i zatruwano życie, nie zważając na zaklęcia proboszcza. Wrócili w końcu do Rzymu, nie dokończywszy zleconej pracy. Gdy po jakimś czasie E. przejeżdżała przez wioskę w drodze do Perugii, nie wpuszczono jej do kościoła. Dowiedziała się od księdza, że fresk został zasłonięty płachtami ciemnej gazy.

Fascynujący temat do opowiadania. Mogłoby się nazywać *Stary fresk*.

8 grudnia

Nie udało mi się przeczytać wywiadu Gawrońskiego z Jaruzelskim w turyńskim dzienniku *La Stampa*, wiem tylko z małej notatki w *Le Monde*, że generał ujawnił tam nareszcie kto w Moskwie ostrzegł go przed inwazją sowiecką: Andropow i Susłow. Prawdopodobnie szepnęli mu to ostrzeżenie na ucho z czystej sympatii do „oddanego nam towarzysza generała”. Takimi rewelacjami karmi Jaruzelski Zachód u schyłku swej kariery na prezydenckim stolcu. Ciekawe, że własnym rodakom każe na nie czekać aż do ukazania się planowanych na zasłużonej emeryturze pamiętników. Michnik też jedynie zachodnim dziennikarzom z upodobaniem opowiadał wielokroć, że zmienił (*in plus*) zdanie o generale; a zachodni dziennikarze z upodobaniem podawali to do wiadomości światu, który na ogół z upodobaniem utwierdzał się w wyrozumiałości (jeżeli nie więcej) dla daty 13 grudnia 1981.

„Zagadką nie lada dla historyków” nazywa Jaruzelskiego Bronisław Łagowski w artykule o „nierozpoznanym generale”. Od lat autor „stanu wojennego” nasuwa swym ziomkom pytania: dobry Polak czy zły Polak? współczesny Konrad Wallenrod czy przeniewierca narodowy? Ostatnio pytających jest coraz więcej, pewnie dlatego, że siedmiu parlamentarzystów z „Solidarności” przyczyniło się do wykonania „prezydenckiej” klauzuli „okrągłego stołu”; i że przyszły nowy prezydent zżyma się na myśl o przejściu berła z dwuznacznych rąk. Pamiętam, że przed laty, wkrótce po ogłoszeniu „stanu wojennego”, doskonały publicysta i obecny ambasador RP w Waszyngtonie Kazimierz Dziewanowski dał mi w Neapolu do przeczytania swój artykuł, w którym pojawiał się bardzo ostrożny zarys owych pytań. Nie zgadzałem się z nim, a cóż tu dopiero mówić o rewaluacji w stylu *Nierozpoznanego generała Łagowskiego!*

Autor interesującej *Filozofii politycznej Maurycego Mochnickiego* usiłuje teraz zgłębić „filozofię polityczną” Jaruzelskiego. Zaczyna obiecująco: „Realność czynów Jaruzelskiego stoi pod znakiem zapytania. Z wyjątkiem stanu wojennego, oczywiście. Ten był realny”. Ale zaraz potem kategorię opinią: „Kto

przekornie twierdzi, że radziecka inwazja wojskowa była wówczas niemożliwa, czy nieprawdopodobna, jest po prostu nudny”. Otóż ja tak „przekornie twierdzę”, ryzykując epitet „nudny”. Twierdzę tak tym bardziej dzisiaj, gdy wiadomo już na jakich nogach stał sowiecki kolos. W zasadzie nie wiąże wielkich nadziei z zawartością archiwów sowieckich, myślę jednak że kiedyś pewne przynajmniej ślady „operacji Polska” z roku 1981 wpadną w ręce dociekliwego archiwisty. Przekonamy się wtedy, że chodziło o wyszantażowanie groźbami od Jaruzelskiego i towarzyszy przecięcia wrozu „Solidarności” polskimi wyłącznie rękami. Trzeba być nie tyle „nudnym” co naiwnym, żeby wierzyć w „radziecką inwazję wojskową”, która musiałaby doprowadzić do powstania Wietnamu w sercu Europy. Jaruzelski był więc z całą pewnością przyciskany do muru i chwytny za gardło, ale wybór miał. Rzecz jasna, wybór wymagający aktu odwagi i minimalnego choćby szacunku dla wolnościowych aspiracji Polaków. Na użytek Łagowskiego warto tu zacytować kilka zdań z ostatniego, przedśmiertnego opracowania generała Adama Uziembły (w świeżych *Zeszytach Historycznych*): „Miarą osłabienia morale wojska polskiego niech będzie to, że interwencja przeciw Czechosłowacji, na czele której stał generał Siwicki, nie spotkała żadnego sprzeciwu, w przeciwieństwie do postawy wojska w roku 1956. Zmiany te, niewątpliwie z błogosławieństwa Gomułki, doprowadziły do tego, że w roku 1970 wojsko strzeżało do robotników, czemu Jaruzelski się nie sprzeciwił. Skorzystał natomiast ze skutków strzelania i razem z Moczarem przyczynił się do usunięcia Gomułki i wprowadzenia Gierka, czyli do całkowitego podporządkowania kraju Rosji. Dalsze dziesięć lat wychowania w nowym duchu doprowadziło do tego, że wojsko bez oporu wyręczyło armię sowiecką, zastępując interwencję wprowadzeniem stanu wojennego w roku 1981”.

Być może, inteligentny i wnikliwy historyk pokaże za ileś tam lat w jakim stopniu obranie prezydentem RP naszego „współczesnego Konrada Wallenroda” dzięki siedmiu nogom stołowym „okrągłego stołu” przygotowało obecną komedię z Wałęsą i Tymińskim w rolach głównych.

(Dopisane 11 grudnia. Zanim — jeśli w ogóle — otworzą się tajne archiwa sowieckie, przemówił nagle rzecznik MSW w Warszawie. Wśród niewielu dokumentów, których nie zdążyli zniszczyć podwładni Kiszczaka, znaleziono dokument dotyczący ogłoszenia „stanu wojennego” 13 grudnia 1981. Według depeszy włoskiej agencji telegraficznej z Warszawy, dokument zawiera dowody, że „stan wojenny” nie został ogłoszony „pod presją Moskwy i innych krajów Paktu Warszawskiego, lecz był ze strony polskich przywódców komunistycznych podjętą *in extremis* próbą uniknięcia rozkładu ich władzy”).

13 grudnia

Liczą się fakty. Faktem jest, że absencja w drugiej turze wynosiła 47%, czyli zaledwie 38% uprawnionych do głosowania oddało swoje głosy na Wałęsę. Z tego faktu wynikają dwa następne: Wałęsa jest prezydentem mniej niż połowy społeczeństwa polskiego, czego nie powinna zamazywać triumfalna cyfra 75%; natomiast 14% uprawnionych do głosowania oddało kartki wyborcze z nazwiskiem peruwiańskiego Zagłoby, obiecującego Polakom królestwo Niderlandów. Nie wróży to najlepiej pierwszemu wybranemu swobodnie prezydentowi RP.

Trudno uwierzyć, że człowiek o inteligencji politycznej Geremka mógł, po pierwszej turze wyborów, nazwać społeczeństwo polskie „niedojrzałym”. Jedyne morale wyborów prezydenckich wskazuje nie tyle na „niedojrzałość” społeczeństwa (niezbyt zaskakującą po czterdziestu pięciu latach rządów komunistycznych), ile na niedojrzałość elit politycznych. Począwszy od „okrąglego stołu”, poprzez czerwcowe wybory do parlamentu, obranie Jaruzelskiego prezydentem i utworzenie rządu Mazowieckiego elity polityczne zrobiły minimalny wysiłek, by społeczeństwo z zamkniętego stało się naprawdę otwartym społeczeństwem, któremu objaśnia się cierpliwie, bez żadnych osłonek i wykrętów, co, dlaczego i jakim kosztem zostaje przedsięwzięte dla wyjścia z komunizmu. Powstało groźne w takich sytuacjach uczucie, że „ci na górze” rządzą i planują, lekce sobie ważąc udutki, ofiary i obawy „tych na dole”, masy rządzonych. Haniebny fenomen Tymińskiego zerował głównie na tym uczuciu z domieszką, wciąż rosnącą, gniewu. Wałęsa, który demagogią „przyspieszenia” usiłował maskować własny udział w polityce uprawianej tak od zarania Magdalenki, zgubił po drodze złoty róg „charyzmy”. I więcej go nie odnajdzie, pomimo wymachiwania „75-procentową wygraną”.

Neapol, 27 grudnia

Włoski „kafkista” Gaspare Giudice przygotował księgę snów swego ukochanego pisarza: *Franz Kafka. Sogni*. Przeczytałem ją z mieszanymi uczuciami. Rzecz w tym, co dla Kafki było prawdziwym snem. Miewał naturalnie sny zwykłe, takie jak wszyscy, powiązane wstecznie lub antycypacyjnie (niekiedy nawet proroczo) z rzeczywistością, i zapisywał je skrupulatnie w dzienniku, albo opisywał w listach do przyjaciół. Te właśnie sny, często błahie lub banalne, zebrał Giudice. Ale nie one odgrywały główną rolę w twórczości Kafki, były pianą spychaną ku brzegom

rzeczywistości przez zagadkowy nurt snu śnionego na jawie. „Śpię, że tak powiem, obok siebie, gdy muszę się szamotać ze snami”. „Nie będę pewnie spał, pozostaje mi śnić”. „Nie mogę spać. Tylko sny, bez spania”. Takie sny — według Kafki — nie mieszają się z rzeczywistością, zachowują swoją „nieskazitelną niepowtarzalność”. Nie można ich przekazać gdyż są nieuchwytna, a przecież „dlatego, z tego dokładnie powodu, domagają się przekazania”. Walter Benjamin pisał, że wyobrażenia (wysnuta ze snów) Kafki przekraczała historię, poprzedzała jakby kulturę i społeczeństwo. Dla Mileny Jesieńskiej, kobiety uroczej i mądrej, Kafka był człowiekiem organicznie pozbawionym wszelkiego schronienia, nie miał się gdzie skryć, robił wrażenie nagiego wśród ubranych. Dodałbym do uwagi Mileny, że jego wrażliwość znamionowała nie człowieka o cienkiej skórze, lecz człowieka odartego ze skóry.

Niewielki więc ma sens wyławianie z dziennika i korespondencji rzeczywistych snów Kafki; sny, z którymi „szamotał się” w bezsenności, przenikały do jego powieści i opowiadań. Zdumiewająca, wspaniała poezja utworów Kafki, wobec której wiersze poetów są sentymentalnymi podrygami, zbudowana jest z materii snów na pograniczu bytu i znaków czy sygnałów, dochodzących z niezbadanego obszaru niebytu.

30 grudnia

Kolejny przyczynek do „Jeleńskiego teorii koincydencji”. W tym wypadku podwójnej.

Wczoraj dostałem list od Andrzeja Stanisława Kowalczyka, kuratora przygotowywanej do druku korespondencji Jerzego Stempowskiego, z jego załączonym listem do mnie z 18 stycznia 1965. „Oryginał — wyjaśnia Kowalczyk — znalazłem w archiwum Hostowca w Bernie, być może więc list ten nie został wysłany”. Po tylu latach jak przez mgłę rozpoznaję niektóre wątki listu, ale brak mi energii by w moich pudłach nieopublikowanej korespondencji sprawdzić czy został jednak wysłany. Kowalczyk nazywa go „małym epistolograficznym arcydziełem”. Odpiszę tu jedynie krótki fragment z myślą o „Jeleńskiego teorii koincydencji”.

„Pańska formuła *Merd-Artu* jest fascynującym pomysłem. Czy to Via Margutta dostarczyła Panu materiału do tego projektu? Słyszałem od Czapskiego, że strach padł na abstrakcjonistów, których galerie więcej się chcą widzieć. Ci, którzy uczyli się kiedyś rysunku, zaprawiają się w tajemnicy do naśladowania wzorów akademickich, wielu jednak nigdy nie umiało rysować i ci są w stanie rozterki. Pański *Merd-Art* przyjdzie więc w naj-

lepszym czasie, ale już nie należy go zbyt odkładać. Najbardziej niebezpieczni będą zapewne krytycy, którzy od pół wieku mówią językiem ezoterycznym, pysznym bełkotem słów nie posiadających żadnego określonego znaczenia. Jednym z twórców tego języka był Malraux. Nie wiem, jak dadzą sobie radę, gdy trzeba będzie powiedzieć coś określonego, mającego sens”.

Fascynujący (według Stempowskiego) pomysł *Merd-Artu* był głównym motywem pisanego wówczas przeze mnie opowiadania *Z biografii Diego Baldassara*, o czym doniosłem zapewne w liście do Berna. Ukazało się ono w *Kulturze* w połowie 1965 roku. I oto teraz właśnie, po ćwierćwieczu, wyłowilem je przed miesiącem ze starych roczników *Kultury*, przygotowując francuski i polski tom opowiadań. Byłem zdumiony, jak dobrze zniosło upływ czasu, zachowując świeżość aktualnej wciąż bufonady.

Druga koincydencja dotyczy Malraux. Przed miesiącem również, w Maisons-Laffitte, czytałem-przeglądałem dwa pięknie w Polsce wydane i ilustrowane tomy jego *opus magnum* o sztuce, cały czas zachodząc w głowę jak mogło zrobić światową karierę słowolejstwo, efektowne włóczenie słów, w którym nie można znaleźć ani jednego sensownego i w miarę precyzyjnego zdania. „Język ezoteryczny”, „pyszny bełkot słów” — Stempowski miał stuprocentową rację. Podczas lektury przypominało mi się zabawne zdarzenie. Przed laty wybrałem się w Paryżu na jakąś ważną wystawę w *Grand Palais* w porze obiadowej, gdy istniała pewna szansa że tłumy widzów odplyną na godzinę-dwie do domów bądź restauracji. Naraz usłyszałem w sąsiedniej sali podniecony męski głos, ni to egzaltowanego profesora, ni rozpedzonego krasomówczo księdza na ambonie. Zajrzałem tam z ciekawości. Malraux, gestykułując obficie i wylewając z siebie potoki słów, objaśniał obraz po obrazie wdowie po premierze Pompidou. Odegrałem rolę prowincjonalnego ignoranta, nie rozpoznającego stołecznych znakomitości, aby przez kilka minut towarzyszyć parze. Zapamiętałem wyraz twarzy pani Pompidou, wyraz twarzy kobiety, którą w pustym polu przytapało gradobicie.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Nielatwa ziemia

— Czy nie panicz? Taki pan podobny do panienki Wandy... — w te słowa odezwała się w jego stronę mieszkanka Kamiennego Dworu, gdzie nieopodal wsi Pietkowo pod Łapami Piłsudcy mieli przed wojną nieduży dworek, sprezentowany — już po śmierci Marszałka — jego rodzinie z okazji Bożego Narodzenia.

— Taki naówczas panował sympatyczny obyczaj — spointuje rzecz Krzysztof Burek, tamtą, w latach siedemdziesiątych, porą archeolog zatrudniony w Muzeum Okręgowym w Białymstoku. — Prowadziłem sobie w najlepsze badania terenowe, gdy naprzeciw mnie wyszła ta staruszka. Wraz z nią zaś objawiła mi się w całej pełni tradycja lat trzydziestych.

Krzysztof jest z rocznika 1946. Wywodzi się z wielkiej zacności rodziny, mającej swe korzenie w Sandomierskiem. Tej spokrewnionej przez matkę, siostrę Stanisława, poety, z Młodożeńcami. Synem jest pisarza nurtu chłopskiego (te etykiety...) Wincentego Burka, rodzonym bratem Tomasza, krytyka literackiego, TKN-owca, sympatyka KOR-u. Wywodzi się z rodziny o przebogaty tradycjach patriotycznych.

Zdarzyło się, iż w roku 1974, po studiach na stołecznej archeologii, Krzysztof zatrudnił się w Muzeum Okręgowym w Białymstoku. Za sobą miał okres działań przełomu lat 50-tych i 60-tych wokół tzw. „ekspedycji jaćwieskiej”, której ze strony polskiej głównym animatorem był doc. Jerzy Antonowicz (zmarły w r. 1970), a w której działali nadto przyszli polscy profesorowie oraz docenci: Jerzy i Łucja Okuliczowie, Marian Kaczyński, Danuta i Jan Jaskanisowie, Wojciech Szymański. Nadto zaś, od przedwojny penetrujący naukowo ten teren, Szwed z Lundu (doktoryzował się z „wód wigierskich i huciańskich”) prof. Knut Olaf Falk w te strony ściągający innych szwedzkich badaczy, dla tych stron biegly w polszczyźnie.



Gdy więc Krzysztof przybył w te strony, było już po owym „jaciwieskim szaleństwie”. W sam raz jednak pora odpowiednia na zajęcie się problematyką osadnictwa epoki wpływów rzymskich na Podlasiu, okresu wczesnośredniowiecza, osadnictwa środkowej i młodszej epoki kamienia. Tym jego zainteresowaniem patronował małżeństwo Jaskanisów, kierujące wówczas działem archeologicznym Muzeum Okręgowego w Białymstoku.

„Wielkie Miasto Białystok”. Tak właśnie nazywał je w tytule swej powieści Sokrat Janowicz, polski Białorusin wielce ważący na życiu intelektualnym tego miasta od dziesiątków już lat. Był, jako się rzekło, rok 1974. Sekretarzem partii na całe województwo był wówczas reprezentant kolejnego wysypu „zdolnych młodych partyjnych sekretarzy” (poprzedni, jak pamiętamy, miał miejsce po polskim Październiku i stanowili o nim Albrecht, Matwin oraz Morawski) Zdzisław Kurowski, w kręgu najbliższych przyjaciół zwany „Zdzichem”. Tutaj, w białostockim terenie, ma się on, członek centralnych partyjnych władz, wykazać inicjatywą służącą nade wszystko uwierzytelnieniu partii w tzw. głębokim terenie.

Poza wszystkim innym stawia on wówczas w centrum miasta — Dom Aktora. Dla Krzysztofa, jako przybysza z zewnątrz, który ma zadanie włączenia się w kulturalno-naukowy krwiobieg miasta, również znajdzie się w nim niespora izdebka. Ów dom środowisk twórczych przyciąga z kraju aktorów, muzyków, dziennikarzy, pracowników naukowych.

Bo ówczesny Białystok zaczyna objawiać wcale spore aspiracje i apetyty. Już „Zdzicha” w tym głowa, ażeby stał się on wcale prężnym ośrodkiem akademickim. Dawny Pałac Branickich mieści więc Akademię Medyczną, rodzi się Politechnika Białostocka, to właśnie wówczas powstaje tutaj filia Uniwersytetu Warszawskiego.

Na zajęcia do Białegostoku dojeżdża ze stolicy eks-marco-wiec z 1968 roku, Jan Kofman, przyszły redaktor podziemnej *Krytyki*.

W owej filii, na historii, pracuje Stefan Meller.

Na wydziale filozofii asystentem jest — studenci go lubią — niejaki Jarosław Lindenberg.

Na wydziale prawa wykładowcą jest prof. Andrzej Stelmachowski.

Na Akademii Medycznej marksizm wyklada Roman Koper. W pewnym momencie, pod wpływem iluminacji zapewne, pasjonować poczyna go... św. Augustyn. Rychło staje się ten niedawny marksista ...działaczem katolickim, wręcz aktywistą KUL-u. W kilka miesięcy później władze uczelni dowiedziały się, w jakimże to opakowaniu marksizm studentom się wyklada...

Na polonistyce wyklada Andrzej K. Kijowski (syn Andrzeja), na prawie Jarosław Kaczyński, także na polonistyce Elżbieta Feliksiak. Towarzystwo zatem wcale doborowe.

— Jednych z Warszawy eksmitowano — opowiada Krzysztof — inni z racji tego, iż byli dla władz „elementem niepewnym”, niesfornym w każdym razie, tam właśnie, w Białymstoku szukali dla siebie zajęcia i próbowali doczekać okoliczności bardziej dla siebie sprzyjających.

W życiu politycznym Białegostoku, tej „wielkiej wsi”, jak ją nie tylko Krzysztof określa, była to epoka „po Łaszewiczu”. Na imię było mu Arkadiusz. Pełnił w B., przed Kurowskim, funkcję pierwszego sekretarza, Białorusin, Krzysztof wytrząsa z pamięci anegdotkę o nim.

„W komitecie wojewódzkim partii, powiada, nazwiska wszystkich Białorusinów kończyły się wówczas na „uk”. Z jednym wyjątkiem na „ski” — towarzysza Skiruka...”

Choć sam szef, jak należało, był na „sicz”. Miał on zwyczaj kilka razy na dzień dzwonić do swego domu, by się wywiedzieć, co też pod jego nieobecność w nim się dzieje. „Towarzystko gosposiu — mówił wówczas na głos do słuchawki — czy pani wróciła z miasta?”

W tym to mieście, pod koniec lat 60-tych, debiutował — „Listami z rabarbaru” — Edward Redliński. Mocą swego reportersko-pisarskiego talentu został zatrudniony w redakcji stołecznej *Kultury*. Trwał w niej, przybywało książek jego autorstwa, w tym i takich *best-sellerów*, jak „Awans” czy „Koniopielka” (obie dziejące się w pobliskich realiach), aż do czasu, gdy powążył się na ów pamflet na osobę I sekretarza pt. „Jakiś”. Z hukiem — po uprzednim obszczeniu go przez Romana Bratnego — został wówczas wylany z redakcji *Kultury*. Białystok również przyszło mu niebawem opuścić dla pracy w podstołecznej gazecie zakładowej.

„My do tow. Radebergeruka — powiadało się tamtą porą strzegącemu przystępu do białego białostockiego domu portierowi, stojącemu na czatach domu, w którego wnętrzu znajdował się, między innymi, bufet obficie zaopatrzone w piwo marki „Radeberger”...

Sam zaś Redliński, piewca podbiałostockich Taplar, twórca Kaziuka, rodzony brat łomżyńskiego wicewojewody, już po stanie wojennym wybierze emigrację do USA, skąd nadeśle nam swoje „Dolorado”.

Tamtą wszelako porą tacy ludzie, jak Redliński właśnie, jak Włodzimierz Pawluczuk, socjolog, stanowili o kolorycie Białegostoku. Drugi z tandemu skryje się na długie lata w Ośrodku Badań Naukowych z siedzibą w tym mieście, napisze wziętego „Wierszalina”, wcale udany literacki reportaż o mniejszościach

narodowych i wyznaniowych płu.-wschodniej Polski. W latach 1980-81 i jego nazwisko znajdzie się pośród założycieli pisma *Meritum*, rychło, bo w stanie wojennym, zawieszono go ze skutkiem natychmiastowym i nieodwołalnym. Wyląduje w Krakowie, gdzie obejmie docenturę na Uniwersytecie Jagiellońskim (katedra religioznawstwa). Coś tam dłubie, publikuje, po rozmaitych naukowych, elitarnych periodykach. Do B. niezbyt go ciągnie...

Za to rozkwita w Białymstoku miesięcznik *Kontrasty*. Po tym, jak założyła go przysłała pani wiceminister kultury Marszałek-Młyńczyk, przejmie go Klemens Krzyżagórski i wówczas stanie się ogólnopolskim pismem reporterów. Tenże sam Krzyżagórski, w pamiętną noc z 13 na 14 grudnia 1981 roku będzie głównym założycielem (do spółki z Jackiem Żemantowskim) SDPRL-u, na 5 piętrze „Interpressu” przy Bagateli 14. Po Krzyżagórskim pismo, na krótko, przejmie Zbigniew Bauer, po nim zaś, już porą stanu wojennego, Dionizy Sidorski. Ten przyjaciel Janinki Jankowskiej, zaproszony przez nią do obozu internowanych w Gołdapii, spłodzi ów sławny reportaż, przedrukowany po wielokroć w stanie wojennym przez całą reżimową prasę. Tenże sam, jak wieść niosła, z parą pistoletów nosił się z dumą po komisarycznie zarządzanym przez siebie gmachu białostockiej prasy. Doprowadzi *Kontrasty* do upadku. Stało się to całkiem niedawno.

W Białymstoku ukazuje się nadto *Hiba*, czyli białoruska *Niwa* oraz *Auśra*, pismo dla okolicznych Litwinów. Swobody narodowościowe bywają tutaj zatem, prasowo przynajmniej, koncesjonowane.

Sokrat Janowicz, ów „pan na polskiej Białorusi”, by wyżyć, utrzymać się jakoś przy życiu, pracuje fizycznie. Jest magazynierem w jednej z białostockich aptek. I przez swych pobratymców, zwłaszcza tych z partyjnego *establishment*u, bywał ostro sekowany za „nacionalistyczne odchylenia”. I to porą, gdy należało być jak najbardziej internacjonalistycznym.

Bowiem tak naprawdę, jako się rzekło, Białystok był wtedy „wielką wsią” (Sokrat użył tytułu sarkastycznie prześmiewczego). Kto się tu dopychał do władzy, ten z miejsca ściągał swojaków z takiego samego, wręcz tego samego co i on sam sioła. I tak rodziły się kolejne bloki, z nich zaś po pewnym czasie powstawały całe dzielnice, będące jawnym odbiciem niedawnych wiejskich struktur.

Do wojny bowiem zamieszkiwała to miasto ludność przeważnie żydowska. Inteligencji nazbyt wiele, jeżeli w ogóle, w nim nie było. To właśnie w tym mieście narodził się — w roku 1920 — ów I Sowiec z Tymczasowym Komitetem Rewolucyjnym Polskim wchodzącym w jego skład (tu nazwiska Feliksów Dzierżyńskiego oraz Kona oraz Juliana Marchlewskiego). W tym

mieście Sowieci dokonali publicznej egzekucji szesnastki swych politycznych przeciwników, rekrutujących się spośród reprezentantów stanu szlacheckiego, bogatych chłopów, Żydów.

Tamci „Polacy” w taborach do Białegostoku wówczas przyjechali — przypomni Krzysztof w rozmowie. — Rażno popędzili stąd w stronę Wyszkowa. Porą egzekucji znajdowali się już zapewne na powrót w Mińsku, krótko po tym, jak dali drapakę z Wyszkowa.

W roku 1981 Krzysztofowi udało się — na łamach *Biuletynu Informacyjnego Solidarność*, ukazującego się pod jego kierownictwem w B. — opublikować opowiadanie Stefana Żeromskiego „Na probostwie w Wyszowie”.

Z licznych fotografii — nie wiedzieć czemu właściwie fotografowali się obficie — znamy podobizny tych panów w pełni swej aktywności. Brodatego Julka, szczupłego Felka, krzątających się wokół uczynienia z Polski siedemnastej republiki Kraju Rad. Przez wiele lat na bramie prowadzącej do Akademii Medycznej w B. wisiała, we wszystkim oficjalna, tablica, głosząca, że tu właśnie znajdowała się siedziba TKRP. Jej poprzedniczką był pomnik wzniesiony w okresie międzywojennym w miejscu sowieckiej kaźni w roku 1920, w pierwszych latach powojennych zrównany z ziemią. 19 sierpnia tego roku, w ramach obchodów 70-lecia wojny polsko-bolszewickiej, odbudowano ponownie i odsłonięto uroczyste tamten pomnik.

Miasto, nadto, Sowietu lat 1939-41...

Miasto, w którym II wojna światowa nie skończyła się wraz ze zdobyciem Berlina przez armie sprzymierzone. Gdzie — w nim oraz w okolicach — partyzantka antysowiecka operowała wręcz do połowy lat 50-tych, kiedy to poddał się ostatni leśny oddział. W tym stronach, w niejednym poszlacheckich, aktywnie działał płk Władysław Liniarski „Mścisław”, dowódca Okręgu Białostockiego AK, postać dziesiątkami lat strącana w anonimowość, obecnie przywracana wspólnej świadomości. Ma już dziś ten długoletni po wojnie mieszkaniec stołecznego Żoliborza, swą ulicę w Białymstoku, piękne epitafium na żoliborskim kościele św. Stanisława Kostki. Tylko oficjalnie był on nieznan, tak naprawdę już za życia był postacią legendarną, pamiętało bowiem o nim setki jego dawnych żołnierzy z tych północno-wschodnich stron Polski.

Ziemia, na której katolicyzm stale jest sąsiedni wobec prawosławia. Miasto, którego siedzibą są aż dwa biskupstwa — jedno katolickie, drugie prawosławne. „Prawosławne zagłębie”, to Hajnówka oraz Bielsk Podlaski, gdzie katolicy są w mniejszości i tylko w tych miastach utrzymują parafie katolickie.

Na przykład dom autora „Konopielki” jest przykładnie katolicki, zaś dom Włodka Pawluczuka — na wskroś białoruski.

Wsie zaś, z których obaj się wywodzą — Pawluczuka nazywa się Ryboły — dzieli odległość zaledwie 15 km.

Stan wojenny. Na pierwszej stronie organu KW PZPR *Gazeta Współczesna* ukazuje się żarliwy apel biskupa prawosławnego Sawy o poparcie przez społeczeństwo decyzji stanu wojennego.

Już i uprzednio — powiada mój rozmówca — „Solidarność” była przy pomocy szeptanki przeciwstawiana prawosławiu jako ruch *stricte* katolicki, narodowy. Teraz te sprawy ujawniły się w pełni pod postacią ostrej kolaboracji z władzą stanu wojennego.

Grabarka. Stolica polskiego prawosławia. Kościół w Grabarce okalają setki pokutnych krzyży. Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność”, którego Krzysztof jest wówczas rzecznikiem prasowym, postanawia umieszczenie krzyża od Zarządu Regionu w tym właśnie miejscu. Próby uzgodnień telefonicznych wobec wręcz niemożliwych w praktyce odwiedzin Kurii Prawosławnej (nie chcą jej reprezentantów w niej widzieć) speszają na niczym. Krzyż jednak został ufundowany, wykonany. Umieszczono na nim napis: „Krzyż wotywny od członków Solidarności Regionu Białostockiego”. Przyjechali wraz z nim na Spas, czyli prawosławne święto Przemienienia Pańskiego, w dn. 19 sierpnia. Sami nieśli ten krzyż. Zakopali go gdzieś z boku, uprzednio wynajmując chłopca z łopata za 500 zł. Uprosilili księdza, by krzyż ten poświęcił. I odjechali w ciszy, jak przyjechali.

Zakończyło się to smutnie — wspomina Krzysztof. — Następnego dnia w Zarządzie Regionu odzywa się telefon. „Po co wy się, katolicy, do nas pchacie? Tego krzyża już nie ma...” „Twoja głowa będzie odcięta i posolona...” — zaintonuje śpiewnie inny głos w słuchawce, najwyraźniej pod adresem Krzysztofa.

Na ile wszystkie te pogroźki były sterowane przez ówczesne władze? — pyta sam siebie w dziewięć lat później. — Chyba w niemałym stopniu — udziela sam sobie odpowiedzi na to pytanie. Białorusini nierzadko przenikali do struktur milicyjno-esbeckich. Szefem, dla przykładu, komórki SB do spraw „Solidarności” był naówczas osobnik o pięknie brzmiącym nazwisku Opaliński. Klasyczny Białorusin spod Bielska Podlaskiego.

Listy proskrypcyjne szykowano w tych instytucjach już tamtą „odnowową” porą...

Ostoją „Solidarności”, tej w pełni legalnej, były — jakże nieliczne — zakłady przemysłowe. Fabryka Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku. Przez wiele lat członkiem podstawowej organizacji partyjnej w tych zakładach był sam tow. gen. Mirosław Milewski. Krzysztofowi przyjdzie się z tą postacią zetknąć raz jeszcze...

Rzecz cała poszła o Lipsk n. Biebrzą, rodzinną miejscowość, w jednej osobie, generała-ministra (spraw wewnętrznych).

Wielce o nią dbały, fundujący jej szkołę-pałac, dom kultury daleko ponad stan i lokalne potrzeby, pomniki utrwalania wiadomej władzy, tablice o treści kubek w kubek podobnej. Zamarzył on sobie ponadto przypisać Lipskowi wielowiekowy, najlepiej tysiącletni, rodowód. Do tego wszelako potrzebny był mu historyk, najlepiej zaś... archeolog.

Krzysztof, delegowany w tej sprawie przez Muzeum Okręgowe, przystąpił do drobiazgowych badań. Wyszło mu z nich niezbitcie iż, owszem, Lipsk posiada rodowód historyczny, przeto jednak sięgający okresu miłościwie w Polsce panującego Stefana Batorego.

„Dziękuję panu, panie magistrze — oznajmił mu wówczas generał-minister, ściskając jego dłoń w krótką chwilę po wygłoszeniu przezeń referatu na temat tradycji historycznych miasta. — My jeszcze do tych badań będziemy musieli powrócić...” Przy czym cała czas ostro świdrował swymi zapijaczonymi oczkami (rzecz była odbywała się w trakcie iście bachusowego, azjatyckiego w swej istocie, bankietu) młodego archeologa.

Po raz ostatni wystąpi Krzysztof w roli archeologa w Gibach, podczas ekshumacji zwłok, jak się okaże, tym razem wbrew obiegowej tendencji, żołnierzy niemieckich, nie zaś ofiar NKWD. Cóż, zawsze starał się być wiernym historycznej prawdzie. Tamte zaś ofiary były na pewno, ale miejsce ich masowego pochowania wciąż pozostaje nieznanie.

Krzysztof wchodzi w skład kolegium białostockiego *Biuletynu Informacyjnego Solidarność*. Wkrótce staje się jego redaktorem naczelnym. A to z chwilą przyjęcia funkcji rzecznika prasowego Regionu. Redaguje go po swojemu. Z mnóstwem poezji Wierzyńskiego, Sebyły, Miłosza, Barańczaka, Wojtyły, poezji strajkowej. Z wieloma odnośnikami historycznymi. Bardziej po literacku, aniżeli po związkowemu. Trudno, by osobowość szefa nie odcisnęła się na kształcie podległego mu pisma...

Sam publikuje nie za wiele. Ot, tyle ile należy. O więźniach sumienia, o „Krzywdzie Pawła Jasienicy”, o rocznicy marca '68, który obaj bardzo mocno przeżyliśmy, o rocznicy wojny polsko-sowieckiej. Przemawia podczas uroczystości poświęcenia sztandaru Regionu. W pracach Regionu, on — jako rzecznik prasowy — odczuwa ów specyficzny klimat, brak wielko-przemysłowych tradycji. No bo Fabryka Przyrządów i Uchwytów oraz Fasty to trochę przymało.

W okresie pierwszej „Solidarności” nadrzędnym uczuciem w Białymstoku było chęć przewyciężenia Wielkiego Strachu — powiada Krzysztof. — Najstarsze żyjące pokolenie pamiętało okupację I Sowietów, „te pokolenia żałobami czarne” z tytułu książki Marii Turlejskiej, traktującej w dużym stopniu o tych ziemiach. Jej autorka publikując ją w latach 80-tych w drugim (i

emigracyjnym) obiegu skryła się pod pseudonimem Łukasz Socha. Wiceprzewodniczącym Regionu został obrońca Grodna z roku 1939, obrońca przed Sowietami, żołnierz AK, Michał Pietkiewicz. To jego wystąpienie na I Zjeździe „Solidarności” w hali „Oliwii” zostało powitane tak entuzjastycznie, gdy upomniał się on o zabytki kultury polskiej na wschodzie. „Solidarność” dla wszystkich tych ludzi stanowiła organizację ułatwiającą przezwyciężenie strachu.

Strajk bydgoski. I w Białymstoku odbił się on potężnym echem. Fabryka Urządzeń i Uchwytów zmienia się w prawdziwy „bastion rewolucji”. Na czele władz Regionu stoi wówczas Feliks Gołębiowski. W czerwcu zmieni go w tej roli Stanisław Marczuk, przewodniczący komisji zakładowej w Fabryce Przyrządów, człowiek, który przeszedł w niej drogę od robotnika do inżyniera. Ominęła go partia. Działal w KIK-u oraz w... PTTK.

Inna ciekawa białostocka postać — Leszka „Kuby” Sławińskiego, mającego dar do zakładania pism i... wypisywania się z nich po wydaniu pierwszych kilkunastu numerów. Po założeniu białostockiego *Biuletynu* popędzi go do Szczecina, gdzie powoła do istnienia *Kwadrat*, potem — w okresie I Zjazdu „Solidarności” — organizował dziennik Regionu Gdańskiego. Tuż po stanie wojennym współpracować będzie z *Mleczarzem Polskim* — Kuby, jak się mawiało, dojną krową.

Seria tajemniczych śmierci przechodzi przez Białostoczną. W niewyjaśnionych dotąd okolicznościach ginie nauczyciel z Choroszczy, aktywista „Solidarności” Zgierski. Wielce tajemnicze jest porwanie oraz podpalenie Zbigniewa Simoniuka, podpalenie działaczy „Solidarności” Feliksa Gołębińskiego oraz Kazimierza Niemołki. Simoniuk, aresztowany w stanie wojennym, osadzony w białostockim więzieniu, miał, jak oficjalnie stwierdzono, popełnić samobójstwo.

Przez wiele lat, odkąd był jeszcze klerykiem, Krzysztof znał ks. Stanisława Suchowolca. Naśladowca ks. Jerzego Popiełuszki. Po święceniach kapłańskich, trzeba trafia, posługuje on w... Suchowoli, rodzinnej miejscowości ks. Jerzego. Za życia ks. Jerzego stykał się z nim wielokrotnie. Postanawia pójść w jego ślady, urządzając w Suchowoli msze za ojczyznę. W kilka lat później i on zginie w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach.

Po latach Krzysztof wspomni przyjaciela w sutannie w artykule „Staszek”...

„Zapamiętałem go z tamtego 81 roku: młody, rozgadany chłopak. Wpadał od czasu do czasu do redakcji naszego *Biuletynu Informacyjnego Solidarność* w czarnej kleryckiej sutannie. Któregoś letniego dnia przyszedł bez sutanny w białym podkoszulku z napisem 'Solidarność'”.

Opowie o przenosinach ks. Stanisława (na wyraźne życzenie

władz wyrażone w pismach do Kurii) do podbiałostockich Dojlid. O pielgrzymce, wespół z grupą ludzi, szlakiem męczeństwa ks. Jerzego. O jawnym, bo podczas comiesięcznej mszy za ojczyznę na Żoliborzu, poświęceniu sztandaru białostockiej „Fadomy”. Podziemne było za to spotkanie z pracownikami „Fadomy” — rodziców chrzestnych sztandaru, w tym jego matki, Basi Sadowskiej, którą Krzysztof specjalnie przywiózł z Warszawy.

Powiedz, kiedy wreszcie przestaną nas zabijać? — zapytał wówczas, nachylając się do Krzysztofa, ks. Stanisław Suchowolec, z uwagą wysłuchujący wierszy pani Barbary o swym zakatowanym przez milicję na śmierć synu Grzegorzu Przemysku.

Był nadto ks. Suchowolec na stołecznych Powązkach w dniu 15 sierpnia 1985 roku u boku ks. Stefana Niedzielaka podczas mszy odprawionej z okazji rocznicy Bitwy Warszawskiej roku 1920. Szli wówczas, jak moment ten Krzysztof zapisze w pośmiertnym wspomnieniu, cmentarnymi alejkami w stronę grobu ks. Ignacego Skorupki.

„Duchowy brat ks. Jerzego”, tak go nazwie Krzysztof w tytule artykułu, jaki ukazał się w tygodniku katolickim *Niedziela* w lutym 1989 roku.

Pytam o Suchowolę ks. Jerzego...

— To dawny powiat Dąbrowa Białostocka, w swej przewadze katolicki.

— Lecz o „białoruskości” ks. Jerzego napisze w wierszu Wiktor Woroszyński — nie ustąpię tak łatwo.

— W domu ks. Jerzego — wtrąci do rozmowy swoje trzy grosze Mirka, żona Krzysztofa, niegdyś pozostająca w kręgu bliskich oddziaływań ks. Jerzego — rozmawiało się na co dzień lokalną gwara, nie zaś po białorusku. Mówiło się w nim „po prostemu”, językiem zbliżonym do białoruskiego. Nie ma w jego stronach tego, co nazywamy „białoruską świadomością”. Ci ludzie są katolikami i czują się Polakami. Śmierć ks. Jerzego jeszcze bardziej to środowisko zintegrowała. Na równi wokół katolicyzmu, jak i wokół „Solidarności” oraz polskości.

Zapytam o siłę „Solidarności” w okolicach uznawanych za „matecznik prawosławia”.

Pierwszy strajk rolników miał miejsce we wsi Dubicze Cerkiewne, w klasycyźnie prawosławnej wsi — odpowiedział Krzysztof. — Więc ta „Solidarność” wśród ludności prawosławnej była silna, nadto, co ważne, rodziła się oddolnie.

Litwini... Głucho o nich było w Białymstoku. Może z racji tego, iż przynależeli do Regionu „Pojezierze” z siedzibą w Suwałkach.

I o cukrownię w Łapach zapytam...

Jest jesień roku 1981. Odbywa się zebranie białostockiego

MKZ-u. Strajk ostrzegawczy. Głos zabiera Michał Pietkiewicz, wiceprzewodniczący Regionu. „Dobrze by było wyłączyć, powiada, ze strajku kolejarzy z ZNTK, gdyż oni podlegają strukturze centralnej...” Na to zrywa się ze swego miejsca w ostatnim rzędzie przewodniczący komisji zakładowej cukrowni w Łapach, taki pistolet, i wali: „Układ Warszawski u nas w Polsce, w Łapach nie obowiązuje!” Dał znak o sobie dawny podział na to, co królewskie (polskie) oraz na to, co cesarskie (rosyjskie)...

Stan wojenny zastaje Krzysztofa, jak należy, w sopockim Grand Hotelu. Obaj z Merczukiem, wobec ogólnie panującego tam bałaganu, ostają się nie aresztowani. Czmychają pod osłoną nocy z hotelu ko rynchlej, z łałem jedynie rozstając się z „regionalnym” samochodem.

Powracają do Białegostoku. Pierwsze odezwy, pierwsze apele. Rodzi się, podziemny tym razem, biuletyn informacyjny. „Przetrwaliśmy dzięki Kościołowi”, ujawni w tytule wywiadu o tamtym czasie, Stanisław Marczuk, na łamach niezależnego białostockiego *Kuriera Porannego*, sygnowanego datą 31 sierpnia 1990 roku.

Wszystko w nim ujawnił — przyznaje bez widocznej rozterki w głosie Krzysztof. Opowie w nim bowiem szef białostockiego Regionu o ukrywaniu się grupy najbardziej aktywnych działaczy na plebanii kościoła św. Rocha.

„Prócz mnie ukrywali się — wyzna — Jerzy Rybnik, Edward Łuczycycki, Krzysztof Rutkowski, Waldemar Rakowicz, a po dwóch dniach dołączył do nas Krzysztof Burek. Ale na Wigilię, kiedy dowiedzieliśmy się, że część internowanych zwolniono, doszliśmy do przekonania, że reżim zelżał. Wówczas Łuczycycki i Rutkowski zdecydowali się wrócić do domów. Potem wspólnie doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, gdy Rakowicz, który miał trójkę dzieci, wyjdzie z ukrycia. Tak więc po Nowym Roku zostało nas trzech, Rybnik, Burek i ja”.

O ich podziemnym biuletynie, jako pierwszym w kraju, opowie Wolna Europa. A to za sprawą kierowców TIR-ów z podarkami przyjeżdżających do białostockiego kościoła. Chyba też jako pierwszy w kraju biuletyn ten zaczął regularnie się ukazywać, z tygodnia na tydzień, od pierwszej dekady stycznia roku 1982 poczynając.

Choć były także, trudno ten fakt ukryć, podziały w łonie podziemnej białostockiej „Solidarności”. I były, wcale liczne, przypadki emigracji miejscowych działaczy. Jakoś nie kwapią się z powrotem. Może nie zauważyli, iż całkowicie ustały okoliczności, dla których podjęli swą decyzję o wyjeździe z kraju...

Wkrótce doszli działacze podziemnego NZS-u. Wypalonych działaczy zastępowało pokolenie o generację, dwie nierządno, młodsze. Białostocka główna ulica — Lipowa — spinająca dwa

kościół, św. Rocha i prokatedralny, wielokrotnie była wówczas widownią demonstracji, rozrzucania ulotek, spacerów porą dziennika TV. A także akcji, jak ta, gdy ulicznym gołębiami przypięli szarfy z napisem „Solidarność”, te zaś, niedobre, miast wznieść się ku górze, jak zamysłano, w dwuszeregu, fruując wysoko nad miastem, opadły po chwili na ulice.

Rodzi się szkolny *Nasz głos*. Nie, Krzysztof nie wie, czy może, jak to jest ostatnio modne, ujawnić nazwisko jego twórcy. Całkiem niezłe zresztą nazwisko...

Dziennikarze miejscowi, ci profesjonalni w każdym calu, stoją z boku „konspiracy”. „Mogliby poznać mnie po stylu” — oświadczył wówczas jeden z nagabywanych w sprawie współpracy z prasą podziemną.

Za Krzysztofem tymczasem posuwają listy gończe. Aresztowany zostaje w styczniu 1983 roku, w Warszawie.

Nie, kpt. Hodysz Białemustokowi się nie przydarzył...

Od czasu do czasu jakiś milicjant podczas rewizji czegoś nie zauważył, ot i tyle.

Przez wszystkie te lata ukazywał się podziemny biuletyn aż do numeru z górą setnego. Gdy więc czytam teraz w organie białostockiego Komitetu Obywatelskiego pt. *Dobro wspólne*, iż jest ono pierwszym niezależnym pismem w tym mieście, krew mnie zalewa. Tym bardziej nagła, że z jednego z mych tekstów redaktor tego „niezależnego” organu wycina słowa o „złtu uosobionym przez komunizm i dobru symbolizowanym przez 'Solidarność'”.

Zaczyna ukazywać się *Tygodnik Białostocki* wraz z dodatkiem — redagowanym przez zakochanego w tej ziemi Bohdana Skaradzińskiego — pt. *Sprawy Pobratymcze*.

Rodzi się — mające swój rodowód w niejednym podziemiu — wydawnictwo „Versus”. Druh Krzysztofa z tamtych czasów, Darek Boguski, został jego szefem. W nim ukazała się „Hańba domowa” Jacka Trznadla, Marka Nowakowskiego „Raport o stanie wojennym”, „Komedianci — rzecz o bojkocie”. W planach są utwory Kazimierza Orłosa, Józefa Hena.

„Białoruś, Białoruś” — pisze w tytule swej najnowszej powieści Sokrat Janowicz, autor książki sprzed wielu lat „Wielkie miasto Białystok”. Edwarda Redlińskiego pośród nich dziś nie ma. Z bardzo daleka patronuje swym rodzinnym stronom. Trochę żal. Brakuje bowiem kolejnych zapisów literackich tej — niełatwej ziemi.

Tymczasem — cerkwie wciąż płoną. Spłonęła ta w Narewce i najwspanialsza w Grabarce. Nastąpiło włamanie do klasztoru w Jabłonce n. Bugiem. Sprawcy pozostają nieznanymi. Wciąż zatem jest to „ziemia niełatwa”...

## Rozważania o filantropii

Kilka dni temu oglądałem szwajcarski dziennik telewizyjny. W pewnej chwili na ekranie ukazały się całe góry kartonowych pudeł, wypełnionych najróżniejszymi produktami spożywczymi przeznaczonymi dla głodującej ludności Związku Sowieckiego. Znajdujące się też w pudełach ciepłe ubrania miały zabezpieczyć obywateli sowieckich od mrozów.

Obrazy ukazujące się na małym ekranie nasunęły mi na myśl szereg refleksji.

Najpierw przypomniało mi się, że marksizm pogardzał filantropią uważając ją za przejaw „zgniłego” kapitalizmu. Komunizm obiecując wszystkim absolutny dostatek wykreślił filantropię ze swego słownictwa. Ponieważ wszyscy mieli otrzymać „według potrzeb”, więc nikt nie potrzebował jałmużny. Dlatego w komunistycznych krajach wschodniej Europy zwalczano istniejące jeszcze tu i ówdzie po wojnie organizacje charytatywne, jak Caritas, oskarżając je o kolaborację z CIA, czy z zachodnioniemiecką Abwehrrą.

Dziś ten sam Związek Sowiecki przyjmuje od kapitalistów wszystko, co tylko zechcą mu zaoferować.

Ale oczywiście akcje filantropijne dotyczą nie tylko Związku Sowieckiego. Bogate kraje północnej półkuli przysyłają narodom Trzeciego Świata za miliony dolarów najróżniejszych dóbr, łagodząc w ten sposób wyrzuty sumienia (moim zdaniem niesłuszne) za bogactwo będące ich udziałem.

W tym punkcie rozmyślań zacząłem się zastanawiać, z czego wynika potrzeba manifestowania „dobroczynności”. Czy jest ona szczerą i czy istnieje we wszystkich typach społeczeństw?

A dalej, czy filantropia jest skuteczna? Czy przekazywane dary naprawdę docierają do potrzebujących?

Czy ten odruch ludzkiej solidarności nie jest czasami wykorzystywany przez różnego rodzaju naciągaczy dla zbijania własnej fortuny?

I wreszcie jeżeli rzeczywiście pojawiają się w akcji filantropijnej nadużycia, to czy można im zapobiec?

Zastanówmy się nad różnymi formami dobroczynności w zależności od religii, od zakorzenionych tradycji i od sposobu myślenia.

Tradycje chrześcijańskie nakłaniają swych wyznawców do dobrych uczynków. Nie jest to absolutnym obowiązkiem, niemniej jednak groźba potępienia, która ciąży na bogatych (ubogim łatwiej o zbawienie) zawsze zmuszała chrześcijan do odruchów dobroczynności i dzielenia się, za pomocą jałmużny czy innych darowizn, z tymi co nie mają.

Inaczej wygląda to u mahometan. Tam Koran określa wysokość obowiązkowej jałmużny. Każdy wierzący musi oddać ubogim jedną dziesiątą swych rocznych dochodów. Obowiązkowa jałmużna to jeden z pięciu przepisów wiary, których każdy muzułmanin musi bardzo ściśle przestrzegać. (Cztery pozostałe to: wiara w Allaha i jego proroka Mahometa, codzienna modlitwa, przestrzeganie postu w czasie Ramadanu i pielgrzymka do Świętych Miejsc).

W społecznościach prymitywnych, jakie miałem możność obserwować, problem dobroczynności jest postawiony inaczej. W Afryce ludność wiejska, żyjąca wciąż jeszcze według starych tradycji (mimo oficjalnego związania z Kościołem katolickim, protestanckim, czy wyznająca muzułmanizm) traktuje pomoc udzielaną potrzebującym jako obowiązek klanowy. Ludzie, którym się nie poszczęściło lub starcy nie mogący się już samodzielnie utrzymać, żyją na koszt wspólnoty. Dotyczy to jednak wyłącznie członków tego samego klanu. Ludzie obcy nie mają do tej pomocy żadnego prawa, poza tradycyjnym zwyczajem gościnności, z której można korzystać, ale której nie należy wykorzystywać.

W krajach bogatych solidarność klanową zastąpiono systemem solidarności społecznej, udzielając zapomóg bezrobotnym, płacąc emerytury ludziom starym, zapewniając wszystkim tanie lub darmowe leczenie.

Nie jest to jednak dobroczynność. Wszystkie te usługi opłacane są przez obywateli poprzez podatki lub składki więcej lub mniej dobrowolne. Obywatele zobowiązują państwo do zarządzania zebranymi funduszami i do sprawiedliwego ich podziału. System ten, na ogół skuteczny, nie ma jednak nic wspólnego z filantropią.

Filantropia to dobrowolne dzielenie się z potrzebującymi. Współczesna filantropia operuje nieraz wielkimi funduszami, rozdziela po całej kuli ziemskiej darowizny wartości milionów dolarów.

By temu sprostać, stworzono potężne organizacje, dysponujące setkami specjalistów, od transportu, od selekcji potrzeb, od

niesienia lekarskiej opieki, od rozdziału darów przeznaczonych dla potrzebujących pomocy pojedynczych ludzi czy całych grup społecznych lub etnicznych.

Czy te darowizny zawsze dochodzą tam, gdzie dojść powinny?

Przez dziesiątki lat pracy w krajach Trzeciego Świata miałem wiele okazji do przekonania się, jak trudną sprawą jest uczciwy podział i należyte wykorzystanie otrzymanych darów. I jak często nie dochodziły one wcale, albo tylko w części do tych, dla których były przeznaczone.

W 1968 roku pracowałem w Dahomeju (obecnie Republika Benin). W sąsiedniej Nigerii wybuchła wówczas okrutna, bratobójcza wojna o Biafrę, która pod przywództwem generała Odzukuw ogłosiła niepodległość i odłączyła się od Nigerii.

W pewnym momencie sumienie całego świata zostało poruszone tragicznym losem białrańskich dzieci. Blokada tego kraju wywołała klęskę głodu, która przede wszystkim dotyczyła tych najmłodszych obywateli Biafry. Prasa, radio i telewizja swymi realistycznymi opisami cierpień tysięcy osób wywołały szlachetny odruch solidarności zamożnych społeczeństw, które wysłały do Biafry tysiące ton żywności.

Ponieważ białrańskie porty były zablokowane, wszystkie te dary zostały zmagazynowane w Cotonou, stolicy Dahomeju. Następnie za pomocą wynajętych dwusilnikowych Douglasów i pod ostrzałem nigeryjskiej artylerii przeciwlotniczej, co noc transportowano kilkanaście ton żywności do izolowanego i głodującego kraju. Należą się tu słowa uznania dla odwagi i bohaterstwa pilotów, ochotników najróżniejszej narodowości, którzy do ostatniej chwili, to znaczy do upadku Biafry, utrzymywali nocną łączność z tym krajem.

Jak dotąd cała ta akcja wydaje się i potrzebna i skuteczna. Jedno wszakże zjawisko było dla mnie nienormalne. A mianowicie to, że Cotonou wypełniło się tłumem różnych ludzi z opaskami czerwonego krzyża czy innymi oznakami w kłapie. Ludzie ci zajęli wszystkie pokoje najlepszych hoteli miasta, przesiadywali całymi dniami na pięknej plaży nad oceanem, w klimatyzowanych barach i restauracjach, wykupywali niezliczone autentyczne i nieautentyczne afrykańskie fetysze i statuetki, które czarni sprzedawcy rozkładali na chodnikach przed hotelami. Żadnej innej aktywności wśród tego tłumu filantropów nie dostrzegłem. A było ich tyle, że udzielono pożyczki (za czyje pieniądze, nie udało się sprawdzić), przedsiębiorcy, który z braku funduszków nie mógł dotąd ukończyć budowy wielkiego, nowoczesnego i luksusowego hotelu. Dzięki filantropijnej akcji niesienia pomocy Biafrze przedsiębiorca ów mógł szybko ukończyć budowę hotelu i wynając (drogo) wszystkie pokoje ludziom, którzy przyjechali

organizować dostawy żywności dla głodującej Biafry.

Później wielokrotnie obserwowałem najazd różnych ludzi, często tych samych, na miejsca, gdzie wydarzyła się katastrofa.

Odnoszę wrażenie, że na świecie istnieje dobrze zainstalowana po różnych instytucjach cała grupa zawodowych filantropów.

W okresie uzyskiwania niepodległości przez Kongo (dziś Zair) okrutne, bratobójcze wojny i całkowity rozkład administracji kolonialnej sprawiły, że całe obszary tego kraju przymierały głodem. Celem zapobieżenia tej klęsce Stany Zjednoczone przesały do Kongo tysiące ton mąki, ryżu, cukru i mleka w proszku. Wszystkie te produkty znalazły się bardzo szybko na rynkach i w sklepach miast i miasteczek, gdzie sprzedawano je, oczywiście, po cenach spekulacyjnych. Było tajemnicą poliszynela, że całe kontenery towarów były przechwytywane między portem wyładunkowym w Matadi a odległym o ponad 300 km Leopoldville przez zorganizowane szajki złodziei. Zresztą nowi władcy Republiki rozdzielali to co pozostało między swoich krewnych i przyjaciół.

W końcu lat siedemdziesiątych pracowałem na północy Zairu, gdzie prowadziłem wielki, kilkusetłóżkowy szpital należący do plantacji palmowców. Któregoś dnia zjawił się w moim biurze Ojciec Jan Bos, przełożony misji katolickiej w tej części kraju. Zapytał mnie, czy nie potrzebuję do mego szpitala mleka w proszku. Odrzekłem, że oczywiście tak, bo leczymy u nas setki niedożywionych dzieci i chociaż mleko w proszku mam, to większy jego zapas zawsze się przyda.

To doskonale — mówi Jan — będę Ci mógł dać 4 tony mleka w proszku!

Ojciec Jan wytłumaczył mi, dlaczego wiele ton mleka, dar jakiejś holenderskiej organizacji katolickiej, przeznaczonych dla dzieci szkolnych w Zairze, ma zamiar dać do rozdziału mnie.

Puszki dotarły do Kisangani, stolicy północno-wschodniej prowincji. Tam miejscowi misjonarze zaczęli, według zalecenia ofiarodawców, przydzielać mleko szkołom. Nazajutrz puszki mleka znalazły się na wszystkich targach i we wszystkich sklepach Kisangani. Żadne z dzieci szkolnych mleka nie dostało!

Ja natomiast dysponowałem organizacją służby zdrowia doskonale kontrolowaną, i dzięki temu mogłem być pewien, że nasze dzieci w szpitalu i w miejscowych szkołach mleko otrzymają.

Korupcja w krajach Trzeciego Świata jest ogromna. Często dorzucają się do korupcji konflikty społeczne i etniczne. Wszystko to wydłuża niepomiarne drogę od ofiarodawcy do wyznaczonego przezeń odbiorcy.

Jednym z całkiem absurdalnych przykładów przechwytywania milionów dolarów przeznaczonych dla głodującej ludności Etiopii była słynna akcja przesiedleńcza zrealizowana przez rząd Mengistu. Napływające z całego świata dolary zostały zużyte w swej ogromnej części na wywiezienie setek tysięcy głodujących ludzi z okręgów objętych wojną domową. Lecz nie kierowano się tu wcale względami humanitarnymi. Po prostu postanowiono usunąć z tego obszaru ludność, która wspierała rebeliantów. Ostatecznie filantropijna pomoc Zachodu stała się dodatkową przyczyną śmierci tysięcy osób, które zginęły z powodu niehumanitarnych warunków podczas transportu, a także po wylądowaniu w nieznanym i niezagospodarowanych obszarach Etiopii.

Zbrodnia ta została zadenuncjowana przez organizację „Lekarze Bez Granic” (*Médecins sans Frontières*), za co zostali wydaleny z Etiopii.

Zdarzają się też sytuacje, w których obiektywna ocena odruchów serca i ich skuteczności jest niezwykle trudna. Można bowiem mieć wątpliwości, czy ofiarodawca popierając, zdawałoby się wzniosłe cele, nie popełnia błędów.

Takim specjalnym problemem jest problem chorych na trąd, chorobę istniejącą na wielkich obszarach Afryki i Azji.

Pod przewodnictwem Światowej Organizacji Zdrowia (OMS-WHO) obchodzi się co roku Międzynarodowy Dzień Trędowatych. Zbiera się na całym świecie datki na rzecz leprozoriów działających w wielu krajach. Międzynarodowy Dzień daje okazję do dyplomatycznych spotkań, w których przedstawiciele rządu i korpus dyplomatyczny odwiedzają z góry na tę wizytę przygotowaną wioskę trędowatych, ofiarując chorym najróżniejsze prezenty. Kończy się to zazwyczaj więcej lub mniej wystawnym dyplomatycznym przyjęciem.

Otóż trąd jest dzisiaj chorobą zaleczalną i każdy trędowaty wcześniej poddany leczeniu może doskonale żyć we własnym środowisku, z własną rodziną, normalnie pracować, nie przedstawiając dla nikogo żadnego niebezpieczeństwa.

Kierowałem przez wiele lat szpitalami plantacji palmowców. Wśród pracowników plantacji znajdowało się wielu trędowatych, którzy byli leczeni ambulatoryjnie. Raz na tydzień zgłaszali się do najbliższego ośrodka zdrowia plantacji, gdzie otrzymywali stosowną dawkę sulfonów, specyficznego lekarstwa na trąd. Leczenie takie trwało wprawdzie latami, ale pozwalało chorym na całkiem normalne życie.

Celowość utrzymywania starych ośrodków, powstałych, gdy nie znano jeszcze skutecznych leków na trąd, i tworzenia nowych, jest dziś bardzo dyskutowana.

W Togo utrzymywani przez katolickie misje, przez różne organizacje charytatywne i oczywiście korzystający także z fun-

duszków budżetowych ministerstwa Zdrowia i manny spadającej z nieba w międzynarodowym ich dniu, trędowaci i ich rodziny (bo w leprozoriach towarzyszyły im ich żony, dzieci i przeróżni krewni) doskonale przyzwyczaili się do życia za darmo. Mieli dach nad głową w domkach na ogół solidniej zbudowanych niż te w rodzinnej wiosce. Byli żywni i mieli zapewnioną opiekę lekarską.

Nic dziwnego więc, że wyleczeni nie chcą opuścić leprozoriów. Uważają się za uprzywilejowanych i w latach 60-tych, gdy pracowałem w tym kraju, trędowaci przedstawiali siłę polityczną, z którą rząd prezydenta Eyadema musiał się liczyć.

Czy wobec tego milionów darowanych leprozoriom nie należałoby raczej zużyć na wczesne wykrywanie choroby, na jej leczenie, ambulatoryjne w większości przypadków, i na pomaganie wyleczonym w przystosowaniu się do życia w ich naturalnym środowisku?

W czasie mej wieloletniej pracy w Afryce napotkałem liczne organizacje, których celem jest niesienie pomocy krajom „na drodze rozwoju”. W słownictwie organizacji międzynarodowych używa się tego terminu, a nie „kraj niedorozwiniętego” z uwagi na częstą drażliwość przedstawicieli Trzeciego Świata. Prezydent Zairu Mobutu proponował określenie: „kraj niewykwipowany” (*sous-équipé*).

Napotkałem w czasie mej afrykańskiej pracy wielu profesorów UNESCO, pracujących w szczególnie trudnych warunkach. Lekarze i pielęgniarki Światowej Organizacji Zdrowia, często narażając życie, nieśli pomoc lekarską ludności w najprymitywniejszych kątach Afryki. Poznałem agronomów OXFAM’u, wprowadzających w sercu czarnego ładu nowe, bardziej rentowne i bardziej ekologiczne sposoby gospodarki rolnej. Europejski Wspólny Rynek pomagał ludności w organizowaniu spółdzielni rolniczych w trudno dostępnych zakątkach równikowej dżungli. Mam w oczach postać młodego belgijskiego weterynarza z FAO, który przez lata, z niesłabnącym entuzjazmem tłumaczył farmerom północnego Beninu, że używając wołów jako siły pociągowej zwiększą produkcję bawełny. Wielu „ochotników postępu”, młodych Francuzów, Niemców, Szwajcarów, Amerykanów z Peace Corps, pracowało z niezwykłym oddaniem, pomagając miejscowej ludności w poszukiwaniu nowych dróg rozwoju.

Istnieją jednak organizacje, które głosząc piękne hasła i odwołując się do serc i kieszeni współziomków nie gwarantują wcale, że przekazane im fundusze dotrą istotnie do tych, dla których są przeznaczone.

Oglądając kiedyś wieczorny program telewizyjny w Quebecu, w pewnej chwili zwróciłem uwagę na przesuwające się po



małym ekranie obraz z Afryki. Ponieważ dużą część życia spędziłem na tym kontynencie, zacząłem uważnie śledzić audycję gloryfikującą zasługi amerykańskiej organizacji Vision Mondiale w niesieniu pomocy dla Mozambiku.

Na tle afrykańskiego krajobrazu piękna, młoda kobieta, ubrana w strój, jaki zwykli nosić aktorzy w filmach o tematyce afrykańskich safari, ale którego to ubioru nikt naprawdę tam żyjący nie nosi, opisywała przy pomocy mozambijskiego lekarza ciężką sytuację tamtejszych dzieci i pomoc, jakiej Vision Mondiale tym dzieciom udziela. Audycja trwała około godziny apelując do kanadyjskich serc, by za 25 dolarów miesięcznie wzięli pod opiekę dziecko w jednym z krajów Trzeciego Świata. Dzięki tym 25 dolarom będzie ono miało zapewnioną szkołę, aż do jej ukończenia, co otworzy mu drogę do pracy i dobrobytu. W zamian za tę opiekę ofiarodawca nabywa prawo do otrzymania raz na miesiąc odręcznego listu i okresowo fotografii podopiecznego.

Oglądając tę audycję odniosłem wrażenie, że formuła takiego sponsorowania jest jednak za prosta. Znałem stosunki afrykańskie i wiedziałem, że droga tych 25 dolarów wiodąca z Kanady do afrykańskiej wioski jest długa i skomplikowana. Że w wielu krajach przepisy nie zezwalają na import dewiz, a w innych należy je wymienić w bankach po oficjalnym kursie. A wtedy z 25 dolarów robi się jeden dolar, albo mniej! Że poczta jest często zdezorganizowana, że giną listy i przekazy pieniężne. Że pieniądze, jeżeli już doszły do miejsca zamieszkania sponsorowanego dziecka, mogą być przechwycone przez rodzinę lub zgola ukradzione. Że wreszcie w wiejskiej społeczności jedno uprzywilejowane dziecko stanie się przedmiotem zazdrości innych i przyczyną niewątpliwych konfliktów. Zresztą kto będzie dokonywał wyboru dziecka i na jakiej zasadzie? Według moich afrykańskich doświadczeń nadeszłe pieniądze znalazłyby się bez żadnych wątpliwości w kieszeni czy skarbczyku tradycyjnego szefa wioski.

Wyobrażam sobie, jakiej potwornej sieci organizacyjnej wymagałoby zrealizowanie takiego przedsięwzięcia. Musiałbym więc w okresie mej pracy w Afryce spotkać wiele setek funkcjonariuszy Vision Mondiale, wyposażonych w specjalne prawa i prerogatywy, rozdzielających po czarnych wioskach pieniądze, zbierających listy i robiących fotografie obdarzonych dzieci (nie dostrzegłem nigdy zakładów fotograficznych w afrykańskich wioskach), by je dostarczyć ich kanadyjskim opiekunom. A tymczasem przez ćwierć wieku przy pracy w różnych krajach Trzeciego Świata nigdy, nigdzie nie natknąłem się na nazwę Vision Mondiale!

Zatelefonowałem więc pod wyskakujący na małym ekranie numer i wkrótce, a była to godzina pierwsza w nocy, odezwał się w słuchawce melodyjny głos przedstawicielki Vision Mondiale.

Oświadczyłem, że na razie nie mam zamiaru wpisywać się na listę ofiarodawców, ale pragnąłbym uzyskać szereg informacji o organizacji pracy Vision.

A mianowicie w jakich krajach Afryki Vision pracuje, jaki jest system przekazywania pieniędzy, w jaki sposób i kto dokonuje selekcji dzieci i na jakich zasadach. Kto sprawdza, że ofiarowane pieniądze docierają do właściwych rąk i zostają wydane zgodnie z przeznaczeniem.

Melodyjny głos oświadczył mi, że jest nową pracowniczką i nie może odpowiedzieć na postawione pytania, ale zaraz poprosi kogoś, kto się na tym wszystkim zna. I rzeczywiście nowy melodyjny głos zapytał mnie grzecznie, jakich życzę sobie wyjaśnień.

Gdy powtórzyłem pytania, nowa pani w telefonie oświadczyła, że Vision pracuje w wielu krajach Afryki, też w Zairze. Znając ten kraj doskonale wiedziałem, że zrealizowanie tam podobnej, miesięcznej zapomogi jest absolutnie niemożliwe.

Moja rozmówczyni powiedziała mi dalej, że nie ma w tej chwili czasu na dalszą ze mną rozmowę, ale że prześle mi dokumentację, w której na pewno znajdę odpowiedź na wszystkie me pytania.

Rzeczywiście już po kilku dniach otrzymałem plik dokumentów dotyczących Vision Mondiale. Materiał o charakterze publikacji reklamowej, drukowany na pięknym papierze, upiękaszony kolorowymi zdjęciami, podkreślającymi użyteczność tego stowarzyszenia działającego we wszystkich zakątkach świata.

Poznałem historię Vision od jej narodzin do chwili obecnej. Dowiedziałem się, że ma ona charakter chrześcijańskiego stowarzyszenia i że jej kwatery główna mieści się w Los Angeles.

Ale na moje pytanie, w jaki sposób zairiańskie dziecko, mieszkające w odległej wiosce prowincji Bandundu, otrzyma miesięcznie 25 dolarów i to przez wiele lat z rzędu, odpowiedzi nie otrzymałem.

Natomiast byłem w dalszym ciągu przekonany, że wydatki na propagandowe filmy telewizyjne (dlaczego właśnie z komunistycznego Mozambiku?) i bogate wydawnictwa reklamowe muszą pochłaniać dobrą porcję tych 25 dolarów.

Widocznie Vision Mondiale miała więcej takich interwencji, jak moja, bo ostatnio oglądałem znowu film w telewizji, w którym tłumaczono, że istotnie rozdzielanie 25 dolarów miesięcznie w Afryce napotkało na trudności. Więc, że Vision zmieniło politykę i obecnie sponsoruje liczne projekty zaopatrzenia w wodę ludności zamieszkałej w cierpiących na chroniczną suszę okęgach Sahelu (kraje na południe od Sahary).

W każdym bądź razie tysiące ludzi, przekonanych, że pomagają biednym dzieciom uzyskać w przyszłości, poprzez szkołę, jakieś lepsze życiowe warunki, nie wiedziało, że ich pienią-

dze wydawane były inaczej. Może z pomyślnymi wynikami, może nie, bo o żadnej obiektywnej ocenie działalności Vision Mondiale nie słyszałem.

Miałem jednak okazję zetknięcia się z przedsięwzięciami, które najbardziej wyciągają od naiwnych ludzi o dobrym sercu sporo pieniędzy.

W latach siedemdziesiątych w telewizji belgijskiej widziało się od czasu do czasu rysunek dwóch skrzyżowanych czarnych dłoni. Pod dłońmi napis: „Pozwólcie tym rękom pracować!” I numer konta, na jakie należy przekazywać pieniężne dary.

Głos towarzyszący obrazowi oświadczał, że w Afryce jest wiele rąk do pracy, ale mało narzędzi i warsztatów. Kupujemy więc narzędzia i warsztaty i wysyłamy je do Afryki. W ten sposób umożliwimy pracę tym „skrzyżowanym dłoniom”.

Wkrótce potem mój syn, studiujący wówczas na uniwersytecie w Lille, w północnej Francji, opowiedział mi następujące wydarzenie.

Do grupy studentów pijących kawę na tarasie kawiarni dołączył młody człowiek, który przed chwilą zaparkował obok nowego Porsche. W czasie rozmowy „człowiek z Porsche” dowiedział się, że syn mój zna Afrykę, a nawet mówi niektórymi jej narzeczaniami. Wówczas zaproponował memu Piotrowi pracę. Oznajmił, że to on jest ten od „skrzyżowanych dłoni”, że filantropia to bardzo intratne zajęcie i że właśnie potrzebuje kogoś, kto zna Afrykę i chciałby po niej popodróżować. Oczywiście za wysokim wynagrodzeniem. Był bardzo zdziwiony stanowczą odmową mojego syna.

W czasie mego następnego pobytu w Brukseli rysunek z dłońmi zniknął definitywnie z belgijskiej telewizji.

Zabawnym przykładem „wymuszania darowizn” było wykorzystanie normalnego zjawiska klimatycznego dla podreperowania stanu kas rządowych w Dahomeyu.

Ujście rzeki Mono tworzy szeroką lagunę, zwaną Grand Popo od małego miasteczka o tej samej nazwie, leżące na jej brzegu. Laguna łączy się wąskim przesmykiem z oceanem. W czasie pory suchej przesmyk ten zamula się stopniowo, zamykając ujście wody do Atlantyku. W porze deszczowej wpływające do laguny masy wód wezbranej rzeki Mono podnoszą jej poziom o wiele metrów. Wystarczyłoby wówczas kilka ruchów łopata, by zamulony przesmyk otworzyć i szybko obniżyć poziom wód w lagunie.

No tak, ale właśnie wtedy, gdy woda jest wysoka, do laguny razem z wodami rzeki Mono wpływają całe masy ryb, a zatem jest to okres najlepszych połowów. Okoliczni mieszkańcy

nie przywiązują więc żadnej wagi do tego, że ich chaty stoją pod wodą przez kilka tygodni. Wszyscy radośnie łowią ryby, a gdy wreszcie zaczyna ich brakować, wielki czarodziej Wudu (w tej okolicy znajduje się kolebka tej sekty) bada konstelacje gwiazd i fazę księżyca i wreszcie daje rozkaz do przekopania kanału łączącego lagunę z oceanem. Co daje zresztą okazję do różnych nocnych tańców na oświetlonej srebrzystym blaskiem księżyca plaży. Proceder ten powtarza się co roku od niepamiętnych czasów.

W końcu lat sześćdziesiątych prezydent Dahomeyu, generał Soglo, postanowił wykorzystać zatopione przybrzeżne wioski Grand Popo do zasilenia pustawych kas państwowych.

Zaproszono więc cały korpus dyplomatyczny do obejrzenia nawiedzonego powodzią okręgu prosząc, by udzielono międzynarodowej pomocy dotkniętym tym kataklizmem rybakom.

W owym czasie często bywałem w Grand Popo, gdyż przeprowadzałem w tej części kraju szereg doświadczeń dotyczących usprawnienia organizacji wiejskiej służby zdrowia. Miałem więc wielu przyjaciół wśród miejscowych rybaków i z uśmiechem słuchałem ich opowiadań o motorówkach, na których było pełno „Yowo” (białych), którzy zaglądali do chat i kiwali głowami, że w domach tyle wody. Rybacy Grand Popo byli bardzo tą wizytą zaniepokojeni, obawiając się, że władze każą im otworzyć ujście laguny teraz, gdy połowy w niej są jeszcze doskonałe.

Ilu dyplomatów dało się wywieść w pole inscenizacją generała Soglo, nie wiem. Wiem tylko, że nigdy potem nikt rybakom z Grand Popo wizyt nie składał.

Ostatnia forma filantropii, która zasługuje na uwagę, to filantropia, którą nazwałbym „polityczną”.

Przeżywamy obecnie pasjonujący okres załamywania się komunizmu na świecie. O ile w niektórych krajach porzucenie tego systemu przeszło szybko i sprawnie (NRD, Czechosłowacja, Węgry), to w Polsce uzyskanie demokratycznych swobód wymagało wielu lat walki i cierpienia. Ale gdyby we wschodniej Europie nie zaistniało zjawisko Wałęsy, to dziś nie byłoby z pewnością *pieriestrojki i głośności*.

Zachód przyjął demokratyzację wschodu z niedowierzaniem, które szybko przekształciło się w bezkrytyczny entuzjazm. Inteligencja i wyjątkowa charyzma Gorbaczowa sprawiły, że wszystkie kraje OTAN-u widziały w nim jedyną gwarancję demokratyzacji Związku Sowieckiego, a przez to samo zakończenie zimnej wojny.

Ale większość zachodnich mass-mediów mało orientowała się w istocie zmian w ZSSR i nie całkiem zdawała sobie sprawę z układu różnych konfliktowych sił politycznych w tej części

świata. By nie zaprzętać sobie głowy trudną analizą zmian zachodzących w tym olbrzymim państwie zadecydowano, że dobry i przyjacielski „Gorby” jest ze wszystkich stron atakowany przez bliżej nieokreślone siły wrogie *pieriestrojce* i jej twórcy.

I głównym hasłem Zachodu stało się już od kilku lat wezwanie do niesienia pomocy Gorbaczowowi. Trzeba mu posyłać żywność, dać pieniądze, dużo pieniędzy, żeby go wrogowie nie utracili, wykorzystując do tego celu sowieckie masy zdestabili-zowane niedostatkami i wciąż narastającymi trudnościami codziennego bytu.

Pędzą więc do Moskwy całe pociągi różnych zachodnich produktów, a przelewy dewizowe zapewniają puste kasy sowieckich banków. Ale czy wszystko to, co Zachód do ZSSR posyła, trafi istotnie do naprawdę potrzebujących, tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy.

Filantropia „polityczna” obliczona jest w ostatecznym wyniku na przyniesienie korzyści ofiarodawcy. Dlatego trudno mi ją zaliczyć do prawdziwych filantropijnych aktów serca. Choć kartony wypełnione odzieżą i żywnością wysyłane ze Szwajcarii, o których wspominałem na początku, są przecież naturalnym odruchem ludzi czułych na nędzę bliźniego.

Ale fakt, że Szwajcarzy wysyłają paczki właśnie do Moskwy, jest na pewno wynikiem zachodnich mediatycznych działań.

Jest jednak w tym odruchu solidarności z cierpiącymi ludźmi coś bardzo ludzkiego i bardzo szlachetnego.

Pod koniec mych rozważań jedno wydaje mi się pewne. Że filantropia przedstawia bardzo różne aspekty i że często obdarowany nic nie dostaje, a korzyść odnosi ofiarodawca sam, albo cały łańcuch nie zawsze uczciwych pośredników.

A jak zrobić, aby filantropia była istotnie skuteczna, by dary nie szły na marne, by obdarowywani czerpali z nich największe korzyści?

Nie wiem, nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Sądzę jednak, że wobec niezwykłego skomplikowania współczesnego życia wszelka filantropijna działalność winna być ściśle kontrolowana i sterowana. Wydaje mi się, że wielką rolę w tej dziedzinie powinny odgrywać tak liczne w świecie środki mediatyczne. Pod warunkiem, że kierować się będą raczej zmysłem krytycznym, niż naiwnym entuzjazmem.

W ten sposób ten szlachetny odruch serca, jakim jest filantropia, przestanie być wykorzystywany przez liczną grupę zawodowych filantropów, jakże często żerujących na ludzkim nieszczęściu.

Jan ORU

## Pamięć

W trzydziestym dziewiątym miałem cztery lata. Niewiele pamiętam. Tylko obrazy z późniejszych lat — dziś coraz bardziej wyblakłe i niewyraźne, jak stare fotografie.

Czerwiec — czterdziesty pierwszy rok. Z ojcem, wujem Jankiem i matką jedziemy nad Wisłę przez warszawskie getto. Tramwaj nie zatrzymuje się — jedzie od muru do muru. Mama twierdzi, że pamięta martwe niemowlęta leżące na chodnikach, przykryte gazetami. Ja tylko jedno nagie dziecko leżące na kuble ze śmieciami. A potem brzeg Wisły — ścieżkę w wiklinach, zapach iłu i rzeki. Słoneczny dzień — pierwszy piknik nad wodą.

Potem Dąbrówki koło Łancuta, gdzie mieszkaliśmy przez dwa lata — ojciec pracował w administracji lasów Potockiego. Ścieżka w lesie. Mama mówi, że wracaliśmy z grzybów. Bliżej domu, oparty o pień sosny, siedział stary Żyd — brodaty, w znoszonym płaszczu i butach z drewnianymi podeszwami. Obok chłopiec w moim wieku. Przeszliśmy szybko a potem mama zaniósł im dwie kromki chleba posmarowane marmeladą z buraków. Być może i ten moment pamiętam — starego człowieka w łachmanach, z brodą, może w czarnym chałacie? Siwa głowa, bez czapki. Rozmawia z matką na ścieżce.

Z Dąbrówek zapamiętałem jeszcze zapach tającego śniegu na wiosnę, świerkowych gałęzi, mokrych i nagrzanym słońcem. Świergot ptaków za oknami drewnianego domu. Konie w stajni i zapach nawozu.

Później znowu Warszawa — powstanie w czterdziestym czwartym. W pierwszych dniach sierpnia idziemy z matką w tłumie pędzonych w kierunku Zieleniaka. Skręcamy z Filtrowej w Górnickiego. Obok wszystkie domy płoną — pamiętam huk ognia i odległą palbę ze śródmieścia. Serie broni maszynowej, pojedyncze strzały, wybuchy, detonacje. Miasto walczy.

Na rogu Górnickiego i Dantyszka leży trup powstańca. Zapewne od kilku dni — ciało spuchło i zbrązowiło w sierpniowym

słońcu. Pamiętam niebieskie muchy na czole i policzkach zabitego. Leży na wznak — na rozrzuconych nogach czarne oficerki.

Potem styczeń czterdziestego piątego w Rawie Mazowieckiej — wejście Rosjan. Kolumna czołgów wśród płonących domów, w nocy. Rano martwy dozorca naszego domu wieziony na taczkach przez syna i synową. Zginął od odłamka w chwili bombardowania miasta przez sowieckie samoloty. I zapach zgłiszcz — może ognisk palonych przez sowieckich żołnierzy? Nieprzerwany pochód zwycięskiej armii na zachód. Bure szynele, prasowana herbata w kostkach, „Wołga, Wołga” wieczorami, za ścianą. Pomarańczowe zachody słońca za miastem. Pola w śniegu.

Matka mówi, że po wojnie najdłużej pamiętała dwoje żydowskich dzieci porzuconych na warszawskiej ulicy. Ktoś z getta mógł je przyprowadzić i zostawić na ławce na murku przed kamienicą licząc, że znajdą opiekuna. Nie pamiętam tych dzieci, chociaż mama mówi, że przeszliśmy obok. Pchała wózek z młodszym bratem, ja trzymałem jej rękę. Szliśmy chyba do ogródka Jordanowskiego przy Wawelskiej.

Gdzie to mogło być, zastanawiam się czasem. Na Filtrowej, na Raszyńskiej? Może na skwerku między Górnickiego a Łęczyczką? Pewno na wiosnę lub latem, w czterdziestym pierwszym. Może była niedziela i tłum ludzi wracał po mszy z kościoła świętego Jakuba?

Pamiętam riksze na jezdniach, tramwaje z tabliczką nad pierwszym pomostem pierwszego wagonu *Nur für Deutsche*. Kwitnące kasztany, łąkę w ogródku Jordanowskim pełną żółtych dmuchawców. Może rankiem padało i jezdnie parowały po deszczu?

Matka mówi, że dziewczynka wyglądała na pięć lat, chłopiec mógł mieć trzy. Zapamiętała buciki bez sznurowadeł na bosych nogach dzieci. Kaszkiet małego, z daszkiem i guzikiem na czubku, naciągnięty na uszy. Było już po dziesiątej lub nawet dwunasta — ludzie ciągle szli obok. Szybko, szybciej — jak my z matką. Patrząc przed siebie.

— Strach był taki wielki. Bałam się niemieckich żandarmów i granatowych policjantów.

Dziewczynka zdaje się miała białą wstążkę we włosach. Chłopiec drzemał przytulony do jej ramienia. Jego mała dłoń, odwrócona garścią do góry, leżała na kolanach siostry.

— Wyglądały jak para nastroszonych wróbbli — mówi moja matka.

Pachniało deszczem, jechały tramwaje. Oddział niemieckich żołnierzy maszerował Filtrową śpiewając „Haj-li, haj-lo”.

1990

Kazimierz ORŁOŚ

Krzyżost LISOWSKI

LIST DO PRZYJACIELA Z ALABAMY

Wiersze

Anna FRAJLICH

## BEZ ADRESU

— Pisarz powinien mieć adres —  
 rzekł Isaac Bashevis Singer  
 który swoją ulicę  
 ulicę Krochmalną w Warszawie  
 jak Atlas przeniósł na barkach  
 przez wszystkie powodzie świata.  
 I ja szukam swojej ulicy  
 jedynej niepowtarzalnej  
 na jawie we śnie i w rozdarciu  
 pomiędzy jawą i snami  
 w magicznym kalejdoskopie  
 mienią się różne ulice  
 ich zapach ich zgiełk mam pod skórą  
 a nocna barwa ich ciszy  
 zawisa nad parapetem  
 jak nitki babiego lata  
 ale zatary się nazwy  
 i cyfry znad bram opadły  
 kto wie  
 co jest moje co obce  
 i który adres  
 to adres.

Anna FRAJLICH

Krzysztof LISOWSKI

## LIST DO PRZYJACIELA Z ALABAMY

Co teraz robię?

Siedzę w fotelu i czytam nowe pisma.

Szczelniej domykam okna, bo wiatr listopada łatwiej sobie radzi z wypaczonymi ramami.

Czasami myślę, że przyjaźń skończyła się na początku tej dekady, potem odnajdywałem ją na innych kontynentach albo na wyspach.

Ale nie tu, nie w tym mieście, nie w tych dziesięciu cyfrach na tarczy telefonu.

Zresztą telefon wyłączam, a niewielkie skrawki wolnego czasu, ścinki materii niezbyt ważnej, dzielę między rodzinę i sen. Między wywiady z umarlými i szczebiot dziecka, które budzi się

zawsze za wcześnie.

Kiedyś wychodziłem na nocne spacery, włóczyłem się we mgle między ogrodami.

Teraz to niebezpieczne. A nie mam broni gazowej ani siły przekonywania, że nie warto mi robić krzywdy.

Poza tym ta epoka wcale nie jest gorsza od innych, choć brak tej euforii, gdy zdobywaliśmy kartkowe papierosy

czy tańszy proszek do prania wysiłku dni poprzednich, albo przeklejaliśmy ulotki w brudnych windach.

Teraz często zbieramy się w pracy, projektujemy lepszą przyszłość, i wygląda to jak próby „Ziemi obiecanej” (ja nie mam nic,

ty nie masz nic — założymy fabrykę!).

Niedawno legionieści ogłosili głódówkę w Oleandrach, zastrajkowali tramwajarze, Wałęsa

(bohater nieudanego wiersza Czesława Miłosza) obrasta tłuszczem i wygląda na zmęczonego.

Nie wiem, czy zdziwiłoby to naszego ulubionego Marka Aureliusza,

bo już zdarzały się kiedyś podobne przypadki.

## Archiwum polityczne

### List z Londynu (21)

Po czterdziestu siedmiu latach (wtedy był to transport z Oświęcimia w głąb Niemiec) byłem w kraju, objechałem wiele miast, miałem wiele wykładów, spotkań, dyskusji, wywiadów telewizyjnych i prasowych, byłem w teatrach, muzeach, zamkach, na wystawach, rozmawiałem z setkami osób. Czy możliwa jest jakaś synteza wzburzonej fali tych wrażeń?

Po powrocie do Londynu dorwałem się do *Dzienników* Marii Dąbrowskiej, które nareszcie tu na mnie czekały.

Pod datą 21 lipca 1921 roku a więc w okresie budowania własnego państwa, po rozbiorach, po latach walk, Dąbrowska pisze:

„U nas nikt nie liczy i nikt nie przewiduje. Żyjemy nie ryzykiem, bo ryzyko to jest właśnie próba, czy nie zawiodą nas przewidywane obliczenia, żyjemy na oślep po prostu. W dobie, gdy wszystko z niepomiarą szybkością obraca się na przeraźliwie dokładnym rachunku. W ogóle zbyt dużo najzłośliwszych bajek La Fontaine'a i Kryłowa może mieć do nas zastosowanie. Jesteśmy narodem nie z baśni, tylko z bajki, żywy temat do satyry, i to jest miejsce, z którego może się zacząć szerzyć śmierć na cały organizm. Naród tragicomiczny, groteskowy i patetyczny, naród bez prostoty”.

Teraz jest prawie dosłownie tak samo, a jednak wtedy zbudowano prawdziwe państwo, bez którego dziś nie byłoby żadnej Polski.

Czy zbudujemy je i teraz? Nieprędko doczekamy się nowej szansy.

Polityka jest chyba jedynym fachem na świecie, w którym można nagle zostać kimś i uzyskać olbrzymią władzę, nie mając żadnego formalnego wykształcenia i nie będąc nawet na drodze do

wielkich zaszczytów. Jednocześnie żadne zasługi nie chronią od nagłego upadku, połączonego często z upokorzeniem, degradacją, a czasem nawet i śmiercią.

W systemach totalnych środkiem działania jest policja, więzienie, nawet egzekucja, w demokracji konieczność wygrania wyborów. Temu celowi podporządkowane jest wszystko: uczciwość, wdzięczność, uznanie zasług, nawet przyjaźń.

Bardzo jaskrawo zaznaczyło się to w formie, w jakiej konserwatyści pozbyli się tutaj pani Thatcher. Osiągnęła niebawym rekord, wygrała trzy kolejne wybory, złamała arogancką siłę związków zawodowych, które w istocie rządziły krajem, obniżyła o połowę bezrobocie, zdenacjonalizowała wiele deficytowych przedsiębiorstw, wygrała wojnę o Falklandy a także, co jest ważne, podniosła samoświadczenie społeczeństwa. Osiągnęła to przez zachęcenie do prywatnej inicjatywy i pomaganie odważnym. Ciekawe są cyfry. W roku 1979 było tu 1,9 miliona ludzi w wolnych zawodach, a w roku 1989 już ponad 3 miliony. Pomędzy 1983 i 1987 ilość posiadaczy akcji podniosła się o 100%, w ciągu dekady sprzedano lokatorom ponad 1,2 miliona domów, które wynajmowali od lokalnych władz. Co czwarty wyborca posiada dom lub akcje.

Jednak, mimo tych osiągnięć, Partia Pracy wysunęła się przed konserwatystów we wszystkich ankietach i z zajadłością poczęła atakować Margaret Thatcher, bo personalne ataki są zawsze najłatwiejsze. Zarzucono jej upór, niesłuchanie odmiennego zdania, dyktatorstwo, choć przecież wszystkie wybitne indywidualności są takie. Przyczepiono się do jej poglądów na jednoczącą się Europę, mimo że po cichu większość Brytyjczyków myśli tak jak ona. Stworzono atmosferę nagonki w nadziei, że część konserwatystów do niej dołączy.

I tak się stało. W corocznym wyborze na przywódcę partii, który przez lata był formalnością, stanął do walki Michael Heseltine, ogólnie uważany za przyszłego konserwatywnego premiera, były członek rządu pani Thatcher i jej przeciwnik. Nie wygrał, ale wytworzyła się sytuacja, w której przywódczyni wolała ustąpić. Ale w jaki sposób! Trzeba ją było widzieć na ekranie telewizyjnym, gdy w Izbie Gmin wystąpiła po raz ostatni jako premier. Ile okazała godności, opanowania, precyzji w odpowiedziach, swobody w geście, w uśmiechu.

Heseltine nie został jednak przywódcą partii i premierem, przegrał z niespełna czterdziestoletnim Johnem Majorem, który niedawno, zupełnie niespodziewanie, został kanclerzem skarbu.

Przywódcy sprawdzają się w kryzysie, więc choć udział Wielkiej Brytanii w wojnie na Bliskim Wschodzie został wcześniej zdecydowany, nowy premier ma okazję do pokazania, kim jest. Jak dotychczas trzyma się przyjętej linii postępowania i nie ma z tym

wielkich trudności, bo w sprawie Iraku partie opozycyjne i prasa popierają rząd.

Piszę te słowa pod koniec stycznia, wojna trwa, jest oczywiste, że Amerykanie i ich sojusznicy zwyciężą, ale co się stanie później? Druga wojna światowa zakończyła się dziwnie, bo zwycięskie demokracje zachodnie w swym najważniejszym sojuszniku znalazły później wroga, który przez 45 lat prowadził z nimi „zimną wojnę”, a dwóch fanatycznych przeciwników, Niemcy Hitlera i Japonię, zamieniły w przyjaciół.

Jest oczywiste, że chodzi o pokonanie irackiego dyktatora i zniszczenie jego armii przy jak najmniejszych własnych i arabskich stratach, by utrzymać w swym obozie arabskich sojuszników i nie osłabić Izraela. Czy można to osiągnąć, czy uda się po zwycięstwie wycofać swoje wojska i pozostawić Arabom sprawę bezpieczeństwa w tym rejonie, oczywiście pod kopułą Narodów Zjednoczonych? Każdy tydzień przedłużającego się konfliktu to wzmaganie się możliwości „świętej” mużulmańskiej wojny, która nie wiadomo dokąd świat doprowadzi.

Niewiele dni przed zaprzysiężeniem Lecha Wałęsy na Zamku w Warszawie do Ryszarda Kaczorowskiego, który wówczas reprezentował symbol naszej suwerenności, przyszło ze stolicy zaproszenie. Szczegóły tej sprawy nadal są poufne, wiadomo jednak, że Wałęsa zaprosił Prezydenta z rodziną i otoczeniem i że obiecał przysłać samolot, który będzie mógł zabrać 60 osób.

Wałęsa mógł wysłać takie pismo, bo już nieraz pokazał że Polskę traktuje jak własne gospodarstwo, ale reakcja Prezydenta Kaczorowskiego nie mogła być taka, jaka była. Reprezentował przecież najwyższy państwowy urząd, musiał mieć świadomość, że będzie uczestniczył w akcie historycznym, że będzie to końcowy akord emigracji politycznej, która zaczęła się prawie pół wieku temu i miała wiele wybitnych osiągnięć na wielu polach.

Samolot przyleciał i zabrał zgłoszone osoby, od tego dnia minęło szereg tygodni i nadal nie wiadomo, kto i dlaczego poleciał. Podobno było tam 10 osób z rodziny Prezydenta Kaczorowskiego, nawet wnuki, kilku członków rządu, kombatancki (tylko niektórzy), prezesi kilku instytucji, czyjeś żony, jakieś inne osoby.

Emigracja polityczna po Powstaniu Listopadowym otrzymała od potomnych zaszczytny tytuł Wielkiej, ksiądz Adam Czartoryski przetrwał naszych współczesnych o kilka głów, ale to nie on wywalczył to miano i nie jego urzędniczo-kombatanckie otoczenie. Wielka Emigracja to Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Chopin, Lelewel. Każdy Polak posiadający jakieś takie wykształcenie potrafi ich wymienić, kto zna nazwiska prezesów jakichś ówczesnych związków kombatanckich czy organizacji społecznych?

Koniec emigracji politycznej to jednak nie tylko rodzinna wy-

cieczka do Warszawy, to także problem finansowy. Co stanie się z pieniędzmi i nieruchomościami, które po niej pozostaną?

Oddanie tego majątku Warszawie nie odegra tam prawie żadnej roli, jak nie odegrał Fundusz Mazowieckiego, tu natomiast może zabezpieczyć przyszłość kilku ważnych instytucji. Myślę o dwóch bibliotekach, paryskiej i londyńskiej, myślę o Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego, a także o Instytucie Józefa Piłsudskiego. Przyszłość dopiero się krystalizuje, powinny pozostać na Zachodzie, będą tu znakomicie reprezentować naszą kulturę, będą z nich korzystać naukowcy i studenci wielu nacji.

Wiele lat temu, gdy trwała jeszcze wojna, powstało w Londynie Zrzeszenie Studentów, które wtedy mogło się wyłącznie rekrutować z polskiej młodzieży urodzonej w kraju. Minęły lata, urodziło się tu i dorosło pokolenie dzieci żołnierzy, Brytyjczycy nie robili między nimi i swoimi żadnej różnicy, było bardzo wiele uniwersyteckich stypendiów i po kilku latach okazało się, że nie ma chyba na świecie innej polskiej zbiorowości, która posiadałaby tylu młodych ludzi z wyższym wykształceniem.

Znowu minęły lata, niedawni studenci pozakładali własne rodziny, ci, którzy zrobili to najwcześniej, już mieli własne dzieci prawie w uniwersyteckim wieku i oto mieliśmy już drugie pokolenie inteligencji urodzonej na obcej ziemi.

Mogłoby się wydawać, że proces wchłaniania tych pokoleń przez wolne i zamożne brytyjskie społeczeństwo będzie szybki, że zaniknie polski język i polska tradycja, że ze Zrzeszenia Studentów nic nie pozostanie. A jednak nie.

Kilka tygodni temu jego prezes zatelefonował do mnie i poprosił o wykład na wybrany przeze mnie temat na ich towarzyskim zlocie poza Londynem. Zapytałem w jakim języku. Obruszył się — oczywiście, że w polskim.

Po namyśle zdecydowałem, że powtórzę mój wykład, który w języku angielskim miał zawsze wielkie powodzenie na bardzo wielu uniwersytetach i w szkołach zachodniego świata, od Stanów Zjednoczonych i Kanady poprzez Wielką Brytanię, Skandynawię, Francję i Szwajcarię aż do Izraela: „Retrospektywne spojrzenie na oświęcimski obóz”.

Sluchacze zawsze spodziewają się opisu okrucieństw, zwyrodnienia, sadyzmu i zbrodni, ale ja, po krótkim wprowadzeniu, mówię o sekrecie przeżycia, o ruchu podziemnym, bo trzeba walczyć nawet w najtrudniejszych warunkach, o dyscyplinie wewnętrznej, o potęgę wiary, przyjaźni, miłości.

Dawno nie miałem tak żywej reakcji kilkudziesięciu słuchaczy. Część z nich to jeszcze studenci, część już po studiach i na stanowiskach, ale nadal w Zrzeszeniu, bo stanowi wspólną więź. Zadano mi wiele pytań, wywiązała się ciekawa dyskusja, dowiedziałem się,

że jeżdżą do kraju z różnymi zadaniami. Mój pogląd o konieczności walki w każdych okolicznościach bardzo im odpowiada, z tym hasłem podejmą rozmowy z polską młodzieżą, która w kraju stanowi najoporniejszy, najbardziej niechętny i nieufny element.

To jedno z najważniejszych obecnych zadań. Wierzę, że właśnie oni, synowie i wnukowie polskich żołnierzy, dadzą sobie z tym radę.

Londyn, 1 lutego 1991 r.

Józef GARLIŃSKI

PS. Zawiadamiam wszystkich zainteresowanych, że po przeszło półrocznych próbach pomożenia tym, którzy starali się doprowadzić stosunki w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie do poziomu wyższej uczelni, zrezygnowałem z członkostwa tej instytucji.

## LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii  
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00  
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept  
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

## TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,  
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

## Kraj

### Polaryzacje

1. Adresowane do Komisji Krajowej NSZZ Solidarność: „(...) Powoli tracimy poparcie ludzi, często jesteśmy bezradni wobec grupowych zwolnień, coraz mniejsze mamy możliwości załatwić większe zarobki. Spada produkcja. Wbrew naszym chęciom i zabiegom ludzie są pozbawiani zdobyczy socjalnych. Coraz trudniej nam, działaczom na dole, cokolwiek im wytłumaczyć, coraz bardziej wątpimy, czy droga, po której idziemy, jest słuszna. Pytamy więc, co na to Związek i Krajówka, Regiony? Zajmujecie się polityką, gonicie za urzędami, a cele Związku są inne. Pozwalamy sobie je wam przypomnieć.

NSZZ Solidarność od chwili powstania stawia sobie za cel obronę interesów ludzi pracy, a zatem walkę o godziwą płacę, opiekę socjalną, walkę o godność ludzką oraz lepsze życie. A zatem, Panowie Koledzy, należy tym się zająć i to jak najskuteczniej i jak najszybciej. W przeciwnym wypadku Komisje Zakładowe przestaną Was popierać. Ludzie przestaną nam i Wam wierzyć.

Za Komisję Zakładową  
NSZZ Solidarność Pracowników  
Huty im. M. Buczka  
przewodniczący  
Z. Kapaściński”.

(Gazeta Wyborcza, 30.01.91, drugi odpis w Tygodniku Solidarność)

Takie były mniej więcej nastroje załóg i komórek związkowych na miesiąc przed Zjazdem Solidarności. Wprawdzie mnogość kandydatów na stanowisko po Wałęsie, jawnych lub jeszcze nieujawnionych — Borusewicz, Lech Kaczyński, Jurczak, Słowik, Rulewski, a to tylko pierwszy rzut — ułatwia prezydentowi kolejną manipulację kadrową, ale w istocie nie było większych szans, by Wałęsa, czy ktokolwiek inny, mógł opanować żywiołowy

bunt związkowców, chyba że za cenę uśmiercenia reszty samego Związku. Węzeł, w który zasupłała się Solidarność, czeka na swego Aleksandra.

Na pierwszy rzut oka sprzeczność była oczywista: Solidarność miała poprawić codzienny byt ludzi pracy, a zajęła się zmianą ustroju. Inna sfera działań, inna skala czasu i nawet inna skala wartości. Nowy ustrój ma być wprawdzie sprawniejszy, zatem i ludzie pracy najmniej na tym skorzystają, ale to już raczej skutek uboczny i fakultatywny... i kiedyż to on nastąpi! Tymczasem zaś oni właśnie płacą za zmianę. Płacili za komunizm, płacą za kapitalizm, biednemu wiatr zawsze w oczy... W miarę jak Solidarność, niegdyś strona w walce, przesuwają się w samo centrum sceny narodowej, zdobywając po kolei wszystkie ośrodki decyzji aż po prezydenturę — jej twórcy, robotnicy, pracownicy najemni, inteligenci, intelektualści są, całkiem przeciwnie, spychani ku obrzeżom. Robotnicy wielkoprzemysłowi nie tylko nie są już solą dziejów, ale nawet nie wiadomo, czy istnieją jako klasa, intelektualści dyskutują w telewizji, czy są jeszcze w ogóle do czegoś potrzebni demokracji. Okazuje się, że tylko tak, jak hydraulicy i inni fachowcy (dyskusja w ośrodku krakowskim TV firmowana przez pismo *Arka*). Pojawiają się za to w znacznych dawkach nowe elity, często sklecone z dawnych towarzyszy i nowych kombatanów. Wielu z tych ludzi można opisać jako nepmanów wyzwolonych od władzy sowieckiej, butnych i nieuległych: wyobraźcie sobie w tym celu bohaterów Erdmana czy Majakowskiego, z których zdjęty zostaje cień czełkisty z naganem i stalinowskiej przyszłości już kotłującej się za progiem. Są bezpieczni, nie są już zatem tragiczni, ich żalostnej kurczliwości nie usprawiedliwia śmiertelne zagrożenie... Tacy właśnie wolni nepmani wypełniają dziś warszawskie salony i kasyna... Unikać wszakże wypada polemicznej szarży: nie tylko oni. Polska przebudowa wyzwoliła również niemało energii pozytywnej, przywołując na proscenium przedsiębiorców, menadżerów, prawników, bankowców, aranżerów życia gospodarczego całkiem niezłe już przygotowanych do przebicia i działania w Europie, wśród otwartych granic... Można nawet zasadnie twierdzić, że takiej kreacji *ex nihilo* — udatnej! — jest niespodziewanie dużo... Klasa średnia, o którą modlą się reformatorzy, powstaje rzeczywiście. Problem jednak stąd, że jak pisałem w *Po prostu* (42/1990) ta „nowa klasa średnia neoliberalistów ani nie mediatyzuje, ani nie integruje: rozwarstwa i polaryzuje materię społeczną i ekonomiczną, przynajmniej w pierwszej fazie, ponieważ szuka dopiero dla siebie miejsca. Najpierw w pustym polu, ale wraz z prywatyzacją i reprivatyzacją, coraz częściej przez demontaż istniejących struktur i przejmowanie własności”.



2. Na bliższe wejrzenie w ową centralną sprzeczność pozwala afera z „popiwkiem”, na którym w lutym 1991 zawisły losy Balcerowicza, rządu, Solidarności i „parasola nad Polską” (Michał Boni, nowy minister pracy i spraw socjalnych). Popiwek to biurokratyczny twór językowy sprzed dwóch lat. Słowo kojarzy się z sytuacją po uczcie, rodzajem kaca: najpierw żeście sobie popili piwka, a teraz za to zapłacie. Skojarzenie z „damy wam popalić” jest równie oczywiste. W sumie bardzo trafne określenie „podatku od ponad normatywnego wzrostu wynagrodzeń”, głównego narzędzia blokady płac. Rząd dziedziczy go po rządzie, Mazowiecki po Rakowskim, Bielecki po Mazowieckim. Od każdej złotówki, wypłacanej z funduszu płac ponad normatyw, zakład płaci pięć złotych dodatkowego podatku. Normatyw zaś określa przede wszystkim, w jakim procencie przedsiębiorstwo może zrekompensować pracownikom wzrost kosztów utrzymania. Za Balcerowicza wskaźnik wahał się od 0,2 do 0,6, raz tylko w lipcu 1990 skoczył do 1,0 i zaraz potem Marek Dąbrowski rzucił z trzaskiem posadę sekretarza stanu w ministerstwie finansów twierdząc, że Balcerowicz zdradza własny program (złośliwcy mówili, że nie program, tylko pierwszego wiceministra). Teraz, kiedy popiwkowa bomba rzeczywiście grozi wybuchem, wszyscy załamują ręce nad tym niechcianym dzieckiem, wręcz potworkiem ekonomicznym, bowiem popiwek spłacza skalę płac, odpycha fachowców, utrudnia prawdziwą restrukturalizację i wzrost wydajności, tam zaś, gdzie dotyka monopolistę — a w Polsce co krok to monopolista — jest po prostu wliczany do cen. W ten sposób popiwek, który blokuje płace — a co za tym idzie popyt na rynku — uruchamia mechanizm inflacji od strony kosztów własnych. I tak można długo, ale nie warto, bo popiwek jest rozwiązaniem, które stwarza alibi dla wielu niemożności wielu decydentów. Dlatego utrzymuje się poprzez granice rządów i reżimów. Dla dyrekcji niezależnych ponoć przedsiębiorstw państwowych i rad pracowniczych popiwek jest osłoną przed żądaniem podwyżek płac, dla centralnych władz gospodarczych jest instrumentem antyinflacyjnym działającym z prostotą młotka. Otóż władze te nie tylko nie lubią interwencji i selektywnej polityki mikroekonomicznej, ale nie dysponują żadnymi stosownymi dla takich działań narzędziami. Innymi słowy, popiwek jako jedna z trzech głównych kotwic antyinflacyjnych, obok stałego kursu walutowego i drogiego kredytu, nie jest zwykłym błędem ani dowolną opcją; wyraża ubóstwo narzędzi. Niestety, również je utrwała. I jest niezwykle znamienne, że do kryzysu doszło właśnie wtedy, gdy zły Balcerowicz chciał się trochę poprawić i w budżecie na 1991 zaprojektował całkowite zwolnienie spod popiwku przedsiębiorstw prywatnych oraz, częściowe, prywatyzowanych. A za-

tem: powtórka z Tocqueville'a o tym, kiedy upadają złe rządy?

Taka interpretacja nie byłaby chyba trafna, chociażby dlatego, że Balcerowicz nigdy się naprawdę nie poprawia, jest najzupełniej niereformowalny i w tym zresztą sekret fascynacji, jaką wywiera. A całkiem serio: wicepremier postanowił wykorzystać łagodzenie popiwku, aby posłużyć się tym potworkiem całkiem po nowemu, nie tylko do blokowania inflacji, ale również do przyspieszenia prywatyzacji. Tak więc, wzbogacenie funkcji, nie zaś redukcja roli popiwku? (!)

Obóz wicepremiera argumentuje, że na właścicieli prywatnych oddziaływanie z przemożną mocą względ na maksymalizację ich zysków, podczas państwowym dyrekcjom oplaca się znacznie bardziej święta zgoda z załogą, wtedy zaś wszyscy razem dążą do jak najwyższych płac. Pierwsi więc sami dbają o to aby płace nie zanadto szły w górę, a drugich trzeba pilnować z zewnątrz. Argumentacja ta wywołuje liczne sprzeczności natury teoretycznej i, powiedzmy, polityczno-moralnej. Przecież, po pierwsze, menadżer wielkiego prywatnego koncernu, na ogół spółki akcyjnej z milionem anonimowych właścicieli, kieruje się motywami raczej takimi, jak dyrektor dużej firmy państwowej niż takimi, jak nasz prywaciarz z firmy rodzinnej lub spółki z udziałami. I przecież, po drugie, nic właściwie nie zrobiono, aby istotnie zrównać warunki działania kierownictw obu rodzajów przedsiębiorstw. Wiadomo zwłaszcza, że przedsiębiorstwa prywatne są wolne od wszelkiej presji związkowej: przedsiębiorca angażuje najlepszych fachowców płacąc na wstępie lepiej niż przemysł państwowy (o 60 do 100%), za to potem robi co chce i w ogóle nie uznaje u siebie „załogi”, ma tylko „ludzi”. Manewr wicepremiera jest teoretycznie bezzasadny i zasadniczo niesprawiedliwy. To wszystko nie zmienia jednak faktu, że kierownictwa obu typów przedsiębiorstw *hic et nunc* rzeczywiście reagują odmiennie (choć nie aż do tego stopnia odmiennie i nie we wszystkim też reakcje prywatnych przedsiębiorstw są korzystniejsze dla gospodarki jako całości\*). Zapewne obóz wicepremiera nie mówi też prawdy, sugerując, że zróżnicowanie popiwku ma zachęcić zakłady do prywatyzacji niejako metodą racjonalnej dyskusji. Nie tyle będzie to pozytywne wsparcie procesów prywatyzacyjnych, ile raczej łamanie siły oporu związków zawodowych i rad pracowniczych, eliminowanie ich z gry o prywatyzację przez wymuszoną racjonalizację zachowania załóg, ściśle w thatcherskim duchu. Niniejsze nie jest bynajmniej próbą osądu takiej strategii; jest to jedynie próba wyjaśnienia dlaczego wywołała ona taki bunt.

\* Dotyczy to na przykład handlu zagranicznego, zwłaszcza eksportu.

Leszek Balcerowicz działa w dużej mierze pod presją konieczności. Inflacja odżywa mu ponownie — 12% w styczniu. Zachód patrzy podejrliwie, ciągle, mimo ponawianych obietnic, nie decyduje się na efektywną redukcję polskiego zadłużenia. Wicepremier musi być uparty i trwać przy swoim kursie. Ale nie musi drażnić i wyzywać oponentów. Otóż historia z popiwkiem zdaje się dowodzić, że chciał ich właśnie wyzywać i zmusić do starcia. Już teraz, w lutym.

Tutaj pora na trzeci aspekt sprawy.

3. Strony konfliktu. Działacze związkowi popychani są przez własne szeregi: i nad kierownictwem OPZZ, i nad Krajówką Solidarności zawisła groźba oddolnej restrukturalizacji ruchu związkowego na rzecz jednolitych lub przynajmniej ściślej ze sobą współdziałających związków branżowych, jak np. górniczy, i cechowych, jak maszyniści kolejowi, którymi centralne i regionalne władze związkowe nie były już w stanie sterować.

Balcerowicz zgodził się uczestniczyć w nowym rządzie pod warunkiem, że będzie on naprawdę kontynuował jego program gospodarczy. Nowy premier i zwłaszcza niektórzy ministrowie z jego ekipy, jak np. szef CUP, Eysymontt, nie wzbudzają zapewne zachwyty żelaznego wicepremiera, ale nie wzbudzają też niepokoju: ich programowy pragmatyzm pozwala się spodziewać, że będą raczej uzupełniać wielką strategię Balcerowicza niż tworzyć własną. Nikłość społecznego i parlamentarnego zaplecza, jakim dysponują, nie pozwoli im przeciwstawić się wicepremierowi, i zresztą nie są to samodzielne osobowości polityczne, lecz tylko prokurenci z nadania prezydenta. Zagrożenie dla programu gospodarczego może natomiast, jak już na to wskazywała kampania wyborcza, wyniknąć z politycznych kalkulacji: wtedy, w toku kampanii, z kalkulacji samego Wałęsy, teraz zaś, przed wyborami parlamentarnymi, z kalkulacji rozmaitych otaczających prezydenta ambitnych polityków i partyjek. Balcerowicz, prowokując kryzys, lub, żeby sformułować ostrożniej, nie czyniąc nic, by jego wybuchowi zapobiec, miał również na widoku postawienie prezydenta wobec konieczności jasnego wyboru. Kontrpartnerami wicepremiera w tej grze byli głównie politycy z Porozumienia Centrum z Jarosławem Kaczyńskim i Janem Olszewskim. PC zyskało w kampanii prezydenckiej najwięcej, choć, jak pokazały perypetie z formowaniem rządu, raczej z pozoru niż w rzeczywistości. Dziś PC podkreśla z naciśkiem, że dwaj ministrowie z tego ugrupowania zasiadają w rządzie tytułem prywatnym i że, tak czy inaczej, wybory muszą się odbyć jeszcze wiosną, „przed przyjazdem papieża” w czerwcu. Do tej chwili PC nie bierze za nic odpowiedzialności: Jarosław Kaczyński rządzi wprawdzie w biurze prezydenta, ale główne

sprawy, MON i MSW, ma w ręku Jacek Merkel, jego konkurent od zarania. Zresztą stosunki PC z prezydentem są nagle dość napięte. Wałęsa wcale nie lubi, żeby mu forsować rękę i narzucać termin wyborów; on sam nie krył, że woli wiosnę 1992 lub najwcześniej październik 1991... W tych warunkach wszczęcie awantury o popiwiek było na rękę również Jarosławowi Kaczyńskiemu: tyle przynajmniej można było uratować na nową kampanię z hasła przyspieszenia. PC nie traci oczywiście nadziei, że prezydent poprze ostatecznie jego kampanię, ale nawet jeśli trzeba się będzie stratać z Wałęsą i z wizją partii prezydenckiej, to może to być strata niewielka w porównaniu z wyborami znacznie opóźnionymi, do których PC stanęła jako wierna gwardia prezydencka, z popiwkiem w tornistrze i Balcerowiczem w intendenturze. I Kaczyński, i Olszewski są dostatecznie giętkimi politykami, by liczyć się na serio z możliwością, że w opóźnionych wyborach prezydenckich Wałęsa będzie lokomotywą mocno poharataną.

Nade wszystko jednak spiesząc się do rozgrywki Porozumienie Centrum reaguje na wyczuwalne przesilenie: w krótkiej polskiej demokracji przyszedł moment, w którym procesy odśrodkowe, efekty odpychania, zaczynają przeważać nad ruchami dośrodkowymi: zamiast ku centrum opinia kieruje się ku biegunom. Dzieje się tak i w skali globalnej, i w każdym z ugrupowań. Kampanię prezydencką przegrali przede wszystkim ci, którzy uwierzyli, że podział na prawicę i lewicę jest w Polsce nieaktualny — i to najzupełniej niezależnie od słuszności jaką mieli głosząc, że podział ten nie rozwiązuje wielu najistotniejszych problemów epoki posttotalitarnej. Teraz w pobitym obozie ma miejsce naturalna reakcja: lewica, w różnych formach, organizuje się, a najbardziej może wymownym przejawem tej tendencji jest odrzucenie przez znaczną część ROAD koncepcji wspólnej partii oraz wspólnego przywództwa z całym obozem byłego premiera. Ta część ROAD przesuwają się w lewo, wykazując „wrażliwość raczej socjaldemokratyczną niż chadecką” (Bujak) i postulując, by „polski kapitalizm miał ludzką twarz” (Kuroń). Jeszcze trochę dalej posuwa się Solidarność Pracy z Bugajem, Modzelewskim i Miłkowskim, choć pozostaje jeszcze w OKP, gdzie jednak jest wyraźnie obcym ciałem. Tak czy inaczej, zjednoczona PPS nie jest już całkiem samotna w swoim kącie politycznej szachownicy. (O skomplikowanych sprawach ekskomunistów — innym razem). O drugim skrzydle, które było zorganizowane już wcześniej w związku ze strategią wojny na górze (stoczonej przeciw z nomenklaturą, kryptolewicą, nie całkiem prawdziwymi Polakami oraz żydomasonerią) można przede wszystkim powiedzieć, że całe przemieszcza się w prawo, a najwyraźniej właśnie Porozumienie Centrum. Świadczy o tym np.

bardzo wymownie rola, jaką odgrywają w obecnym OKP trzej posłowie z ZChN: Jurek, Łopuszański i Niesiołowski (ich trzej koledzy partyjni w senacie są bardziej niemrawi). Oni właśnie, nie zaś bezbarwne prezydium, są autentycznymi przewodnikami stada. Po tym, jak obecni KPUD-owcy (Klub Parlamentarny Unia Demokratyczna) zwinęli manatki, zabierając w nich resztki ideologicznego języka Solidarności, którym jako ostatni umieli się jeszcze posługiwać, bo w wykonaniu obecnego OKP jest to już tylko rodzaj *pidgin English* Zulusów — posłowie ZChN są jedynymi w klubie posiadaczami własnego języka. Warto posłuchać i popatrzeć, ile im to daje ognia i posłuchu, jak błyszczą na tle szarej masy poselskich dukaczy. Nie brak oczywiście złośliwców w kularach („trzej muszkietierowie przeciw macicy”) nie zmienia to jednak zasadniczego wrażenia: ci ludzie wiedzą, czego chcą i rzeczywiście w to wierzą. Otóż owo rozsuwanie się opinii ku biegunom, poszukiwanie stanowisk wyraźniej określonych i bardziej wyrazistych jest właśnie przejawem zwątpienia i zmęczenia zwątpieniem. Jeśli komuś się wydawało, że paralizując i niszcząc ruch Solidarności w imię pluralizmu dorobi się przyzwoitej politycznej krzywej Gaussa, najwyższej w środku, pomylił się wyraźnie.

4. Niepodobna pisać o odśrodkowych tendencjach i pominać przy tym rolę Kościoła. Ale nie chciałbym tym razem koncentrować się na skrobankach, choć to temat efektywny i coraz bardziej aktualny, bowiem lada chwila zacznie się walka o referendum w tej sprawie: zwolennicy ustawy aborcyjnej najpierw zdyskwalifikowali indywidualne sumienie jako właściwą instytucję, teraz dyskwalifikują głosowanie powszechne. Coraz wyraźniej widać, że w ich rozumieniu źródłem prawa winno być nauczanie Kościoła. Wiesław Chrzanowski, prezes ZChN i minister Sprawiedliwości, przyznał już publicznie w telewizyjnych „Interpelacjach”, że marzy mu się powierzenie parafiom funkcji urzędów stanu cywilnego wraz z nadaniem mocy prawnej małżeństwom kościelnym, z czego oczywiście wynikałby zakaz rozwodów (dla katolików).

Uwagę opinii zagranicznej, gdy mowa o sprawach kościelnych w Polsce, przyciągają zazwyczaj objawy ksenofobii i antysemityzmu. Jakoż nie ulega kwestii, że w kampanii prezydenckiej organizacja kościelna zaangażowała się bardzo wyraźnie przeciw Mazowieckiemu i to przy użyciu bardzo podejrzanych argumentów. Oczywiście, łatwo jest dowieść, że episkopat, jako zwierzchnictwo Kościoła w Polsce, zachował ścisłą neutralność (przynajmniej wobec obu kandydatów solidarnościowych), że zalecał neutralność parafiom i że większość kleru dochowała posłuchu instrukcjom. I cóż z tego, jeśli w bez mała każdej parafii

był przynajmniej jeden kaznodzieja, który gardłował o potrzebie prezydentury bez Żydów, z Polakiem z krwi i kości? O tym, co wyprawiały różne partie z Narodem i Kościołem w herbie, lepiej zamilczeć. Ostatecznie, jeśli tak wytrawny polityk jak bp Orszulik do tego stopnia stracił głowę (a to jest optymalna interpretacja), żeby publicznie poświadczać Mazowieckiemu metryki, można sobie wyobrazić, co się naprawdę działo... Styczniowy list episkopatu z bardzo stanowczym odrzuceniem i potępieniem antysemityzmu był w tych warunkach dokumentem niewątpliwie potrzebnym. Ale jego skuteczność będzie zapewne mniejsza od potrzeb: atmosfera zbliżających się bojów politycznych może się okazać jeszcze bardziej zatruta niż w kampanii prezydenckiej, a tak zwana republika proboszczów w Kościele poczyną sobie coraz śmieiej z pouczeniami biskupów. Kler polski jest coraz bardziej rozmiłowany we władzy. Do dziennikarza w Warszawie napływają z wielu stron kraju informacje o formujących się i już działających „trójkach” czy „karetach”, nieodmiennie z udziałem szefa miejscowej Solidarności i księdza proboszcza, które dyskutują poufnie o doborze kadr, nominacjach i listach polecających. Trudno przypuszczać, by w kampaniach wyborczych ośrodki te udzieliły poparcia jakiegokolwiek formacji, która nie poświadczy im swego ideowego podporządkowania. Antysemityzm autentyczny czy domniemany jest wobec tego uwikłania politycznego postawą instrumentalną. To, co wydaje się rzeczywiście niebezpieczne dla młodej demokracji polskiej, to zupełne pomieszanie w poczynaniach Kościoła pojęcia sfery publicznej z pojęciem państwa. Rzecznicy rozmaitych inicjatyw w rodzaju powrotu religii do szkół, zakazu i karalności aborcji, utrudnienia lub zakazu rozwodów (dla katolików), dotacji dla KUL-u itd. powołują się nieodmiennie na argument, że katolicka większość ma niezwykłe prawo publicznego manifestowania swej wiary i kształtowania zgodnie z nią całej publicznej sfery własnego życia. Wiary, powiadają, nie można sprowadzić do roli prywatnej sprawy każdego człowieka z oddzielną. Sądzę, że są to argumenty słuszne. Ponieważ jednak analogiczne przysługują też każdej innej wierze, trzeba się zdecydować, czy chcemy poszatkania naszego życia publicznego na gminy i getta wyznaniowe, czy też tolerancyjnego współżycia. Jeśli tego drugiego, to nieuchronnie potrzebna jest naturalna regulacja i kontrola zgodności działań i zachowań publicznych z prawem, której jedynym wyobraźalnym źródłem może być praworządne państwo. Ono wobec tego musi być wolne od ideologicznych i religijnych zaangażowań. Przypuszczam, że droga nowej Rzeczypospolitej do rozdziału państwa od Kościoła będzie długa i niełatwa. Zarówno od prezydenta RP jak i od papieża Jana Pawła II dowiadujemy się, że Polska ma wnieść, jako swoje

wiano do Europy, odnowę moralną, odnowę religijną i nowy model stosunków między państwem i Kościołem. Nim dowiemy się dokładniej, co to właściwie znaczy, pozwolę sobie wyrazić wątpliwość, czy to, co właśnie kształtuje się w tym względzie w Polsce w ramach wielkiego przesunięcia na prawo i zapaści centrum, będzie zachęcającym przykładem dla Europy zachodniej, traktowanej jako terytorium misyjne i ziemia powtórnego nawrócenia. Obyśmy zamiast modelu nie skonstruowali skansenu.

Warszawa, 5 lutego

Krzysztof WOLICKI

PS. Przy okazji parę uwag pod adresem Leopolda Ungera jako autora „Wypędzania Szatana” z poprzedniego numeru *Kultury*. Jak sam pisze, był zawsze słaby w matematyce. To mu, niestety, pozostało. Na Tymińskiego głosowała nie „jedna czwarta dorosłych obywateli Polski”, lecz niespełna 15%. (24% głosów przy 60% frekwencji). To dużo czy mało? Niestety, mawiał Brecht, jest bardzo złym nauczycielem. Myślę więc, że raczej mało jak na kraj o tak gwałtownie obniżonym poziomie życia, o tylu powywracanych skalach wartości i wzorach zachowań. Raczej mało również ze względu na słabe zróżnicowanie programowe w obozie solidarnościowym. Wyborca Tymińskiego nie był amatorem tej samej demagogii co wyborca Wałęsy, tyle że w większej dawce; przeciwnie, był to amator demagogii całkiem odmiennej, dla którego Wałęsa i Mazowiecki to Pac z pałacem. Nie sądzę też, iżby głosowanie na Tymińskiego pozwalało odsądzać wyborcę od demokratycznej czci i wiary. Jeśli głosuje, to widać wierzy jeszcze w mechanizm demokracji.

I wreszcie: wolno, oczywiście, często nawet trzeba obrażać społeczeństwo. Ale lepiej nie prawić mu kazań. Tych, jak słusznie zauważył Leopold Unger, mamy w Polsce bez liku i bez miary.

K.W.

## Projekt państwa

*Jeśli wierzymy, że zmienimy  
władzę przez objęcie władzy, to  
przeigramy nasze zwycięstwo.*

Wydaje się, że w ciągu minionego roku zabrakło idei państwa, zabrakło projektu innej organizacji administracji Polski odzyskującej suwerenność. Sprawozdanie z działalności rządu Mazowieckiego mówi o przebudowie państwa. Hasło „przebudowy państwa” zawiera w podtekście przekonanie, że PRL przypominała władzę państw cywilizowanych i demokratycznych. Tymczasem władza komunistyczna była tylko imitacją normalnej władzy z nazw i struktur, skrywającą dyktaturę partii komunistycznej, a w potrzebie naga siłę.

Diabelski wynalazek komunizmu polegał na oddzieleniu władzy od odpowiedzialności. System nomenklatury pozwalał partii rządzić i zaślaniać się administracją. Wewnętrzny problemem władzy komunistycznej w Polsce była bezsiła administracji wobec gospodarczych problemów kraju, których siłą rozwiązać nie było można. Spełniła się myśl Grabskiego, że władza ginie przez rozkład władzy. Odziedziczyliśmy po komunistach aparat państwowy w stanie rozkładu.

I oto staje przed nami pytanie, czy można ten zastany aparat przebudować. Jest nam dzisiaj potrzebna budowa niepodległego państwa, budowa jego administracji zorganizowanej w ten sposób, aby mogła być regulatorem życia społecznego nie pretendując zarazem do ingerowania we wszystkie jego przejawy. Państwo suwerenne to takie, którego władza zabezpiecza tylko suwerenność obywateli przed zewnętrznymi i wewnętrznymi zagrożeniami. Reszta jest już uprawnieniami samych obywateli.

W jaki sposób możemy to osiągnąć? Myślę, że pierwszym posunięciem powinno być uchwalenie ustawy dekomunizującej, która wykaże, że żyjemy w luce prawnej, co prawda wypełnionej licznymi ustawami i przepisami, ale nie w państwie prawa. Następnie powinniśmy przyjąć projekt, radykalnie różny od tego, który dotychczas funkcjonował. Od rządu poczynając administracja powinna mieć charakter sztabowy. Zasadą powinno być już dziś projektowanie tylko takich aktów prawnych, które są wykonalne. A jeśli tworzymy nową instytucję egzekutywy, jakąś inną powinniśmy likwidować. Po roku dzwignania się ku wolności widać, że administracja państwowa i terenowa jest profe-

sjonalna tylko w dwóch rzeczach: zaniechaniu działań i mnożeniu obiektywnych trudności. Projekt państwa nie będzie ideałem państwa, lecz schematem ideowym. Projekt zawsze różni się od realizacji, ale budowa państwa bez projektu, poprzez szczegółowe rozwiązania prawne, musi prowadzić do obecnych blokad decyzji i chaosu. Żyjemy w czasach biurokracji, ale inaczej narasta ona funkcjonalnie, organicznie, od dołu, a inaczej gdy jest martwą imitacją zachodnich instytucji i proporcji kadrowych. Tylko radykalnie redukując obecny aparat państwowy i samorządowy do wąskich centrów legistycznych umożliwimy ich sensowny rozwój.

Budżet administracji III Rzeczypospolitej powinien zostać zredukowany przynajmniej o 20%, a jej kadry o 2/3. Dzięki temu zdecydowanie skurczona administracja państwowa otrzymalaby praktycznie trzykrotność dzisiejszych zarobków bez obciążania tym społeczeństwa. W zamian oczekivalibyśmy od urzędników personalnej odpowiedzialności i jednostkowego podejmowania decyzji w ramach ściśle określonych kompetencji. A moglibyśmy tego wymagać, ponieważ płacilibyśmy im za to. Za fachowość, nieprzekupność i sprawność działania. Pokonalibyśmy wreszcie komunistyczny syndrom rozwiązywania ilością problemu jakości.

Wielokrotnie słyszeliśmy w minionym roku, że nie ma ludzi, którzy mogliby stanowić kadre nowej administracji. A przecież są w Polsce młodzi ludzie, którzy przeżyli świadomie rok 1980 i początek rewolucji, towarzysząc starszym w ich drodze do wolności. Ci, którzy mieli wówczas 16 lat, mają dzisiaj 26. Dlaczego przygodą życiową tej generacji nie może być budowa suwerennego państwa? Dzisiaj rekomendacją powinien być brak doświadczeń zawodowych, gdyż te nieuchronnie wiązały się z zakażeniem sowietyzmem. Nowi, wykształceni, inteligentni ludzie nie chcą być zjedzeni przez stare struktury. Przy starej siatce płac, starym systemie kompetencji nie można pozytywnie selekcjonować wartościowych ludzi. Metodą selekcji pozytywnej nie jest przecież wyszukiwanie „kadr” z własnego notosu i notosu paru przyjaciół.

Selekcja negatywna, która miała miejsce w ciągu czterdziestu kilku lat komunizmu, wynikała przecież z tego, że o awansach decydowali mianowacnicy, a nie było konkurencji opartej na obiektywnych kryteriach.

Miniony rok pokazał, że mechanizmy wolnorynkowe nie są w stanie przebić skorupy administracji. Zamiast poprawiać złą ustawę kompetencyjną, lepiej powiedzieć, że interesuje nas radykalnie zdecentralizowane państwo, które poniżej władzy wojewódzkiej odda kompetencje i budżet samorządom lokalnym. Nade wszystko należy unikać krzyżowania się kompetencji. Mo-

że kompetencje samorządu powinny kończyć się na gminach i związkach gmin, ale powinny być to kompetencje wyłączne. Dopiero mając taki obraz roli rządu centralnego i rządów lokalnych można tworzyć rozwiązania prawne. Na przykładzie relacji między rządem i samorządem widać, jak zagrała tu mentalność Kalego. Dopóki państwo było złe, komunistyczne, to nie pozwalało nam na rozwój samorządu. A kiedy nadeszło dobre, nowe, postkomunistyczne, to obcięło budżety samorządu do tego stopnia, że miasta zaczęły bawić się w spekulację nieruchomością albo czynszową, żeby ratować swój budżet. Jeżeli osiągnęliśmy sytuację, w której samorząd musi brać kredyt z banku po to, żeby wypłacić pensje nauczycielom zanim uzyska wpływ z budżetu państwa, to doszliśmy do szczytu absurdu. Samorząd zamiast skupić się na bardziej sensownym, zdecentralizowanym wydawaniu pieniędzy z budżetu państwa, musi koncentrować się na działaniach ekonomicznych zmierzających do tego, żeby w ogóle związać koniec z końcem i próbuje się ratować grając rolę lokalnego superprzedsiębiorstwa. Sprzyja to niebezpiecznym praktykom monopolistycznym.

W naszym projekcie państwa musimy jasno określić związki polityki i biznesu. Decyzja o podjęciu działalności publicznej, gdy posiada się jakieś własne zaplecze finansowe, ma charakter dużo mniej koniunkturalny. Tym bardziej nie mogą mieć miejsca sytuacje, w których piastowanie urzędów publicznych staje się pretekstem do czerpania z nich korzyści prywatnych. Minister nie może we własnym ministerstwie prowadzić spółki consultingowej, a radny nie może prowadzić interesów w sferze, która podlega jego decyzjom. Urzędnicy państwowi i samorządowi nie mogą działać w sytuacji konfliktu interesów. Ale trzeba to dopiero obwarować prawnie, bo państwo komunistyczne nie знаło kategorii konfliktu interesów, poza ujętymi w przedwojennym kodeksie handlowym, którego nie zdołano urzędniczym zastąpić. Zarówno zwolnienie jak i nabór każdego urzędnika na stanowisko powinny mieć charakter publiczny. Konkurencję pozytywną wzmacnia presja negatywna. Urzędnik, który działa metodą koneksji czy łapówek, musi być publicznie napiętnowany i usunięty natychmiast ze stanowiska. Ukrywanie afer powinno być bardziej groźne dla każdego urzędnika niż ich odkrycie. W tej chwili płaca w Polsce jest nadal w inny — chciałoby się powiedzieć złośliwie mniej skuteczny niż poprzednio — sposób skorumpowana. Blokada decyzji zawsze owocuje korupcją. Nie darmo mówiło się, że łapówka to ostatni ludzki odruch na drodze do komunizmu.

Idea „państwa minimum” jest niezbędna, aby rozpocząć budowę normalnego państwa prawa. Bez opracowania projektu administracji takiego państwa, a więc bez określenia jak powinna

wyglądać obliczalna i sprawna egzekutywa, nie można mówić o legislatywie. W przeciwnym wypadku budujemy teorię nie posiadając żadnej metody zamiany słów w rzeczywistość. Potrzebne są: projekt struktury administracji rządowej i samorządowej, określenie podziału ich kompetencji, związku budżetów lokalnych z centralnym w powiązaniu z systemem podatkowym, zdefiniowanie procedury podejmowania decyzji. Warunkiem jest usunięcie sztywnych podziałów w budżecie, zgodnie z którymi wydać więcej mogło znaczyć wydać mniej.

Zarówno przy poprawce parlamentarzysty do ustawy jak i pozwoleniu na budowę musi widnieć jedno nazwisko. Osoba publiczna czy urzędowa musi ponosić wreszcie imienną odpowiedzialność za to, co mówi i robi. Daleki jestem od wiary w ekspertów odziedziczonych po epoce rządu ignorantów. Z pewnością nie potrzebujemy kilkuset instytutów naukowych, które zbudowały na tyle naukową rzeczywistość, jaką widzimy teraz za oknem. Są jeszcze instytuty resortowe ministerstw, które dawno już nie istnieją.

Co jest zatem rolą państwa? Jakiego typu projekt państwa musimy skonstruować?

Otóż rolą państwa jest tworzenie ram działania obywateli. Takich ram, które pozwolą zminimalizować konflikty i kolizje między nimi oraz je cywilizować. Można więc powiedzieć inaczej, że rolą państwa jest budowanie infrastruktury społecznej, technicznej i finansowej dla działalności obywateli.

We wszystkich innych sferach poza budową tej między-ludzkiej infrastruktury, państwo jest mniej skuteczne niż obywatele i ich instytucje. Więcej, państwo jest nieskuteczne nawet wtedy, kiedy samo podejmuje się w praktyce budowy tej infrastruktury. Państwo musi wyłącznie regulować sposób jej budowy.

Państwo jest mniej skuteczne, gdy samo buduje drogi. Państwo jest niezbędne, by określić któredy one biegną.

Warszawa, 11 stycznia 1991

Maciej POLESKI

## Koleiny i manowce prywatyzacji

Dobrze się stało, że artykuł Roberta Kaczmarka „Międzynarodowe czynniki rozwoju gospodarczego” ukazał się na czołowym miejscu grudniowej *Kultury* (12/519). Stanowi on rzadki przykład syntezy mechanizmów działania współczesnego świata, trudnych do uchwycenia nie tylko dla przeciętnego śmiertelnika, ale — co gorsza — dla wielu polityków i przywódców.

Artykuł Kaczmarka wysuwa i omawia dwie podstawowe tezy:

1. współczesny świat charakteryzuje wielki — i stale wzrastający — stopień współzależności gospodarczej
2. w tych warunkach ocena świata i jego problemów w tradycyjnych (historycznych) kategoriach jest nietrafna, prowadzi do wykrzywienia obrazu i błędnych wniosków.

Współzależność świata ma dla zrozumienia rozgrywających się na naszych oczach wypadków kapitalne znaczenie. Nie ogranicza się ona bowiem do spraw gospodarczych. Rozszerzają i umacniają ją dwie inne dziedziny: (A) posiadanie przez człowieka broni nuklearnej i strach przed jej użyciem, oraz (B) widoczna coraz bardziej globalna współzależność ekologiczna. Jeśli spojrzymy na rzeczywistość przez pryzmat takiej wielostronnej globalnej współzależności, bardziej zrozumiała staje się na przykład jedność wobec Saddama Husseina, kiedy po tej samej stronie znajdują się USA i ZSSR, a Syria czy Arabia Saudyjska i Izrael — odwieczni wrogowie — występują jako *de facto* sojusznicy\*.

Tendencja do widzenia bieżących zdarzeń i problemów współczesnego świata w kategoriach historycznych jest psychologicznie zrozumiała. Człowiek z natury rzeczy ocenia sprawy w świetle swego doświadczenia. A więc przeszłości. Przytłoczony wypadkami, które są mu bliskie w czasie i przestrzeni, a więc bardziej lokalne i bieżące, ma on w ogóle duże trudności rozumowania w makro-skali. Jeśli na to nałożymy fakt, iż współczesny świat charakteryzuje znacznie większy wymiar i tempo wszelkich zmian — nie trudno zrozumieć dłuższego sposób spojrzenia i perspektywa Kaczmarka należą do rzadkości.

\* Artykuł ten pisany jest przed 15.1.91 — terminem postawionym Irakowi przez Radę Bezpieczeństwa do wycofania się z Kuweitu. Wypadki, jakie potem nastąpią mogą wprowadzić zmiany w powstałej koalicji. Nie zmienia to jednak faktu światowej współzależności.

To twierdzenie będzie prawdziwe w ogóle i odnosi się do ludzi na całym świecie, a więc również do Polski. Ze względu jednak na niezwykle trudne zadanie „dogonienia świata”, właściwe spojrzenie ma w wypadku Polski i krajów w podobnej sytuacji — ogromne znaczenie.

To właściwe spojrzenie niezbędne jest w wypadku Polski na dwóch poziomach: ze strony przywódców i polityków oraz u tzw. szarego człowieka. A więc w kategoriach demokracji — u przeciętnego wyborcy. Doświadczenia kilkunastu miesięcy „rządów Mazowieckiego” oraz przebieg kampanii wyborczej wykazują brak tego zrozumienia. Tak „na górze”, jak „na dole”. Bez niego zaś wprowadzenie prywatyzacji na właściwie koleiny i uniknięcie manowców nie jest możliwe. Spróbujmy więc spojrzeć na polską sytuację na konkretnych przykładach.

Sektor państwowy obejmował w Polsce blisko 90% przemysłu i handlu. Jakie postępy poczyniła więc prywatyzacja w r. 1990?

#### *Handel uliczny*

Najbardziej widocznym jej przejawem jest eksplozja handlu ulicznego w dużych miastach. „Warszawa wygląda jak Istambuł” — wołają ludzie, dla których względy estetyczne przeważają nad widocznymi, praktycznymi korzyściami, jakie się z tym wiąże. Nie mówiąc już o zaspokajaniu konkretnych, bieżących potrzeb ludności, rzucenie się do ulicznego (lecz wolnego) handlu przez tysiące ludzi jest zdecydowanie pozytywne. Oto rodzi się i w trudnych warunkach powoli powstaje polska drobna burżuazja. Na ulicznym poligonie uczy się ona zasad działania wolnej konkurencji i otrzymuje natychmiastową odtrutkę na lata sowytyzacji. Co więcej: powstaje grupa ludności, która szybko zaczyna się dorabiać i bogacić. Będzie to się wiązało nie tylko ze stopniowym przejściem od obskurnych stoisk do nowoczesnych, ładnych — mniejszych i większych — sklepów. Ta nowa klasa społeczna da początek konsumeryzmowi, a ten z kolei będzie stanowił bodziec dla przyszłej eksplozji małego przemysłu. A więc wytwórczości. Obecnie wiele towarów będących przedmiotem ulicznego handlu pochodzi z importu. Stopniowo jednak mali przedsiębiorcy, z pomocą kilku nowoczesnych maszyn (najczęściej sprowadzanych z zagranicy) uruchamiać będą lokalną produkcję tych samych przedmiotów, tej samej jakości.

Jakkolwiek więc handel uliczny (jak i handel w ogóle) nie

tworzy bezpośrednio nowych dóbr, przyczynia się on i jest pomostem do ich wytwórczości. Tysiące straganów w polskich miastach nie powinny oczywiście pozostać głównym symbolem prywatyzacji, ale spełniają one określoną i pozytywną rolę.

#### *Sklepy i usługi*

W dziedzinie sieci handlu i usług prywatyzacja mało jest jeszcze widoczna. Dominują nadal sklepy i punkty usługowe zaryglowane w godzinach, w jakich powinny być otwarte. Te „anty-usługi” otwierają się np. o 11-ej rano, a zamykają o 6-tej wieczorem, tj. wtedy, kiedy w innych krajach ludzie jeszcze są w pracy lub dopiero z niej wracają. W tzw. uspołecznionych jeszcze sklepach nadal dużo towarów-bubli, z pewnością produkowanych przez niesprywatyzowany jeszcze przemysł. Są to towary, które na normalnym wolnym rynku nie mają racji bytu — nie wytrzymałyby konkurencji.

Ale zmiany w handlu zaczynają być widoczne lub wiszą w powietrzu. Nie tylko coraz więcej jest sklepów prywatnych, co zwykle widać po lepszej obsłudze. Istotne, że w poszczególnych miastach państwowe sklepy wystawiane są na licytacje. Pracownicy wielu z nich aspirują do ich przejęcia w ramach prywatyzacji. Obawiają się jednak, że na licytacji nie będą mogli zaofertować dostatecznie wysokiej ceny. Wobec tego stawiają opór wobec proponowanych zmian. W dalszej perspektywie nie ma on jednak szans, miastom zależy bowiem na uzyskaniu wysokich cen. A takie będzie mógł zapłacić tylko lepiej sytuowany indywidualny przedsiębiorca, niejednokrotnie mający dostęp do niewielkiego nawet kapitału zagranicznego.

Tak więc w niedalekiej przyszłości prywatyzacja sieci handlowej i usługowej powinna, bez specjalnych przeszkód, stać się faktem dokonanym.

#### *Mały i średni przemysł*

Tu prywatyzacja posuwa się bardzo powoli. Powstawanie nowych zakładów z potencjalnym udziałem kapitału zagranicznego hamowane jest brakiem lub niejasnością przepisów prawnych mających ułatwić ich zakładanie i prowadzenie. Dodatkową przeszkodą jest brak potrzebnej infrastruktury w dziedzinie telekomunikacji i transportu oraz sprawnego systemu bankowego.

1 października 6 pierwszych, wybranych, dobrze prosperujących zakładów państwowych przekształcono na spółki akcyjne. Do 10 listopada liczba ta wzrosła do 20-tu. W listopadzie i w grud-

niu akcje tych przedsiębiorstw wystawiono do publicznej sprzedaży z tym, że do 20% przeznaczonych jest dla pracowników i zaferowanych im po cenach o połowę niższych od cen rynkowych.

Ta forma prywatyzacji pomyślana jest jako model dla szeregu dalszych fabryk. Za wcześnie jest na ocenę w jakim stopniu pozwoli to na zdobycie kapitału potrzebnego dla prowadzenia i rozwoju tych przedsiębiorstw. Mimo wszystkich przeszkód można chyba oczekiwać, że w wypadku małych i średnich zakładów prywatyzacja powinna posuwać się coraz szybciej. W końcu, przy całym chaosie i powolności pracy ustawodawczej, właściwe przepisy ułatwiające rozwój produkcji i zachęcające kapitał zagraniczny do inwestycji w Polsce ujrzą chyba światło dzienne. Powstanie także jakieś minimum infrastruktury.

### Wielki przemysł

Prawdziwy problem istnieje właśnie w tej dziedzinie. Nie widać bowiem nie tylko pierwszych rezultatów, ale — co gorsza — właściwie przemyślanej i wypracowanej koncepcji prywatyzacji wielkich zakładów przemysłowych. Penetracja kapitału zagranicznego jest tu dotychczas prawie żadna. A projekty przekształcenia takich zakładów na spółki, których akcje *rozdawane będą* (bezpłatnie) na terenie kraju można tylko określić jako mrzonki. Są one skazane na klęskę i wcześniej czy później muszą doprowadzić do bankructwa. A jednak: 3 grudnia Waldemar Kuczyński zaproponował takie rozwiązanie dla 200-tu (z istniejących 700) wielkich zakładów. 10% akcji otrzymaliby pracownicy, 30% rozdano by wśród ludności, 20% otrzymałyby fundusze emerytalne, 10% banki handlowe, resztę zaś — 30% — przejąłby skarb państwa. Nieprawdopodobne! Aż wierzyć się nie chce, że taka propozycja mogła wyjść od ministra odpowiedzialnego za prywatyzację.

Czy nie jest za mocne określenie tego jako „mrzonki”? Czy i dlatego jest to nierealne? Chodzi o to, że emisja i dystrybucja akcji ułatwia tu w konkretny, formalno-prawny sposób tylko problem własności. Ze względu na wielkość tych przedsiębiorstw nie jest jednak możliwe znalezienie w Polsce potrzebnego do przebudowy i racjonalizacji tego przemysłu *wielkiego kapitału*. Gdyby jednak — co nieprawdopodobne — w takim czy innym wypadku okazało się to możliwe, Polacy nie będą umieli pokierować tymi fabrykami i — rzecz bardzo ważna — wyprowadzić ich również na światowy rynek. Działając w nowych warunkach wolnej konkurencji, nie będą umieli nie dlatego, że są mniej inteligentni czy zdolni, bo tak oczywiście nie

jest. Ale dlatego, że w spuściźnie komunizmu nie otrzymali potrzebnych do tego specjalnych, wysokich kwalifikacji.

Jedynym sensownym rozwiązaniem dla Polski jest więc *wyprzedaż* tych wielkich zakładów kapitałowi zagranicznemu. Najlepiej wielonarodowym koncernom przemysłowym. Ale musi to być *wyprzedaż zdecydowanej większości akcji*, tak, aby zagraniczny nabywca ponosił większość ryzyka i stał się odpowiedzialny za prowadzenie przedsiębiorstwa. Tylko bowiem wielkie koncerny będą w stanie zrationalizować i unowocześnić ten polski przemysł. Udośćnią one potrzebny kapitał, przystosują produkcję do faktycznych potrzeb rynku, wprowadzą nowoczesne metody pracy. Co ważniejsze, otworzą także rynki zbytu, które w dużym stopniu kontrolują. Znaczna część produkcji przeznaczona bowiem będzie na eksport, przynajmniej w okresie początkowym, a to dlatego, że rynek wewnętrzny nie będzie jeszcze przez pewien czas posiadał potrzebnej siły nabywczej.

I tu nie zgadzam się z Kaczmakiem, który twierdzi, że „dla zagranicznych inwestorów interesujący jest tylko taki kraj, gdzie ludzie zarabiają dużo i mogą kupować coraz więcej produktów”. Gdyby tak było w istocie, koncerny międzynarodowe nie inwestowałyby w biednych krajach Trzeciego Świata. Postulat konkurencyjności wymaga przede wszystkim aby produkować *jak najtaniej*. Stąd angażowanie się kapitału w krajach o taniej sile roboczej, z których znaczną część produkcji skierować można na eksport, niejednokrotnie do kraju, z którego pochodzi kapitał. W wypadku Polski ta właśnie tania siła robocza stanowić będzie główną atrakcję dla inwestorów zagranicznych. Ale bynajmniej nie jedyną. Polska bowiem — w odróżnieniu od Trzeciego Świata — dysponuje siłą roboczą nie tylko tanią, ale i technicznie wykształconą — nieczęsto spotykana kombinacja. Pozwoli ona na szybkie uruchomienie intratnego eksportu. A stopniowo — w miarę bogacenia się ludności — otworzy się także rynek wewnętrzny.

Pozostaje do rozwiązania problem ceny, za którą te wielkie fabryki i kopalnie powinny być sprzedane. Kaczmarek przytacza wypowiedź ministra Syryjczyka, iż do sprzedaży takich przedsiębiorstw praktycznie nie dochodzi ponieważ zagraniczni kontrahenci oferują ceny uznane przez stronę polską za zbyt niskie. Powraca także Kaczmarek do znanej sprawy negocjacji Stoczni Gdańskiej z p. Barbarą Johnson, które upadły m.in. z powodu trudności wyceny, odzwierciedlających — jak pisze — wysokie apetyty strony polskiej.

Całkowicie zgadzam się z Kaczmakiem, że pod pewnymi warunkami należało sprzedać stocznię tylko za symbolicznego dolara. Jeśli bowiem idzie o realną wartość majątku trwałego — budynków i maszyn — wystawianych na sprzedaż zakładów, to



nie może być ona ustalona przez jakichś neutralnych ekspertów. Jedynym prawdziwym wyrazem wartości będzie więc cena, jaką w konkretnym wypadku gotowy jest zapłacić kontrahent zagraniczny. A będzie on zawsze płacił „mało”, bo główną wartość przedstawia dlań nie zniszczony czy przestarzały park maszynowy i niekonserwowane najczęściej od lat budynki, ale właśnie istniejący potencjał siły roboczej, o której była mowa\*.

Taka jest więc rzeczywistość. W stosunku do postulatu wyprzedazy wielkich zakładów kapitałowi zagranicznemu nie ma praktycznie alternatywy. Bo jedyną byłoby ich masowe zamykanie, ze wszystkimi związanymi z tym konsekwencjami, gospodarczymi i społecznymi. Jeśli jednak postulowana sprzedaż nie nastąpi dość szybko, stracone zostaną konkretne okazje i przedłużą się tylko agonie tych zakładów. Ich ewentualni nowi, prywatni, lecz polscy właściciele nie będą w stanie utrzymać ich na rynku, co wcześniej czy później doprowadzi do nieuniknionego bankructwa. Odłoży to tym samym na szereg lat renesans polskiego przemysłu.

Pozostaje niebagatelne pytanie jak tę rzeczywistość „sprzedać” polskiemu wyborcy. Ksenofobia i opór wobec „wyprzedazy majątku narodowego” (jak to się populistycznie określa) okazały się bardzo silne nie tylko w czasie ubiegłej kampanii wyborczej; widoczne były już przedtem. We wrześniu np. „Solidarność” w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych opowiedziała się za sprywatyzowaniem fabryki przez rzucenie na rynek akcji pod kontrolą Skarbu Państwa, zamiast oddanie jej w ręce zagranicznego właściciela. Chodziło o to, że robotnicy „czuli się w ten sposób bardziej bezpieczni”, a faktyczne ryzyko prowadzenia zakładu ponosiłoby nadal państwo. W rzeczywistości oczywiście tak wcale nie jest, bowiem prawdziwa racjonalizacja fabryki, czy to prowadzona przez polskiego czy zagranicznego właściciela, tak czy inaczej przyniesie w efekcie zmniejszenie personelu i szereg innych zmian, które pracownicy odbiorą jako „zaostrezenie” czy „utrudnienie” warunków pracy. Tak samo jak nie jest prawdą, jakoby penetracja kapitału zagranicznego groziła interesom Polski i jej ludności. Że jest wprost przeciwnie, że będzie ona tylko gwarantem zintegrowania kraju ze światem — nie trze-

\* Zachodnio-europejski przemysł samochodowy (VOLKSWAGEN, OPEL, FIAT) inwestujący obecnie w krajach Europy Środkowej i Wschodniej ocenia, że w kosztach wyprodukowania samochodu w tym rejonie robocizna wynosi mniej niż 2%. Na Zachodzie cyfra ta sięga 25%. Przewiduje się nota bene, że zapotrzebowanie rynku na samochody na Wschodzie Europy podwoi się w ciągu następnych 10-ciu lat. (TIME, 14.1.91).

ba się rozwodzić. Wystarczy spojrzeć na każdy, pierwszy z brzegu kraj zachodni. Kaczmarek w swoim artykule podaje zresztą szereg przykładów, które mówią same za siebie.

Ogólny schemat jest prosty: kapitał zagraniczny — na ogół duże inwestycje — stwarza bezpośrednio stanowiska pracy i wprowadza najnowszą technologię. Pośrednio przyczynia się on od razu do rozwoju przemysłu kooperacyjnego, który zwykle składa się z mniejszych fabryk opartych o kapitał lokalny. Z obserwacji na terenie Australii mogę stwierdzić, że tak długo jak warunki pracy zagwarantowane są obowiązującymi przepisami (minimum płacy, świadczenia socjalne itp.) robotnikom jest najzupełniej obojętne czy właścicielem fabryki jest indywidualny Australijczyk, miejscowy korporacyjny kapitał, czy też zagraniczny koncern. Przemysł samochodowy, który w tym 17-to milionowym kraju produkuje pół miliona samochodów rocznie jest w całości w rękach kapitału zagranicznego. Podobnie przemysł farmaceutyczny. Sektor chemiczny, spożywczy i szereg innych charakteryzują się znacznym udziałem obcego kapitału.

Warto jeszcze wspomnieć, że sprzedaż dużego zakładu przemysłowego nowemu właścicielowi nie musi oczywiście oznaczać, a tym bardziej gwarantować, utrzymania profilu produkcji czy też w ogóle dotychczasowej działalności. Może ona zostać zmodyfikowana czy całkowicie zmieniona. Tak na przykład fabryka samochodów B.M.C.\* Sydney, produkująca m.in. popularne MINI-MINOR, została w początku lat 1970-tych zamknięta z powodu nieopłacalności (niekonkurencyjności). Nie wiem co się stało z parkiem maszynowym, ale budynki i rozległy teren — w tym wypadku w bardzo dobrym stanie — zakupiła... Australijska Marynarka Wojenna na magazyny zaopatrzeniowe. Nie znam szczegółów tej transakcji, ale jestem przekonany, że w określonych okolicznościach cena sprzedaży była najlepsza jaką można było uzyskać. Przytoczony przypadek jest dość szczególny, ale w warunkach polskich może się na przykład zdarzyć, że zagraniczny nabywca fabryki obrabiarek będzie chciał przekształcić ją w wielką bazę transportową (z zapleczem warsztatów naprawczych itp.). Sam taki fakt nie może przekreślać ewentualnej sprzedaży zakładu.

Jak więc w atmosferze polskiego zacofania, zsowietyzowania, ksenofobii i ciemnoty można przekonać naród o konieczności ułatwienia penetracji gospodarki przez kapitał zagraniczny, o celowości „wyprzedazy majątku narodowego”? Do argu-

\* B.M.C. = British Motor Corporation.

mentów Kaczmarka ilustrujących tę konieczność niewiele można dodać. Główna trudność polega na tym, że — jak dotąd — przekonania do tego brak powszechnie wśród polskiej elity, u przywódców i polityków. Leszek Balcerowicz w przemówieniu w Gdańsku 5.12.1990 raz jeszcze podkreślił trzy warunki zbudowania zdrowej gospodarki: (1) mocna, wymiennalna waluta, (2) przewaga prywatnej własności, oraz (3) otwarcie gospodarki narodowej na świat (m.in. przez stwarzanie dogodnych warunków inwestycyjnych dla kapitału zagranicznego). Ale to są ogólne sformułowania. Jego kolega-minister Kuczyński widać uważa, że wystarczy zmienić tytuł własności, aby prywatyzacja stała się faktem. A o tym *w jakim stopniu* powodzenie reform zależy od napływu kapitału zagranicznego nie ma mowy.

Trzeba więc zacząć od elity. Kiedy wreszcie tam, „na górze” (w rządzie, w parlamencie, wśród polityków i intelektualistów) ugruntuje się zrozumienie międzynarodowych czynników rozwoju gospodarczego, przekonanie o tym narodo, „sprzedaż” *prawdy* wyborcom, okażą się dużo łatwiejsze.

Sydney, styczeń 1991

Jerzy BONIECKI

## „Inicjatywa oddolna” widziana z Brisbane

Do napisania niniejszych rozważań zostałem sprowokowany kilkoma wystąpieniami czołowych osobistości polskiego życia politycznego. Czytelnika przepraszam za tytuł. Niestety termin „inicjatywa oddolna” lub zbliżone wciąż są powszechnie używane w publicystyce krajowej.

Zacznijmy od początku. Po pierwszej turze wyborów prezydenckich Zbigniew Romaszewski w wywiadzie udzielonym Maciejowi Wierzyńskiemu nadanym przez RWE bodaj trzykrotnie powtórzył, że należy zwiększyć aktywność ludzką w terenie. Na pytanie Wierzyńskiego, jak to zrobić, odpowiedział, że władze lokalne same powinny podejmować decyzje dotyczące spraw związanych z ich terenem działania. Odebrałem tę wypowiedź jako powtórzenie starego frazesu.

Lech Wałęsa w orędziu inauguracyjnym powiedział to samo, a przed nim kilku jeszcze polityków. Każdy mówił, że trzeba,

tylko nikt nie mówił jak. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tak naprawdę to nasi politycy nie bardzo wiedzą, jak to osiągnąć. W związku z tym pozwolę sobie przypomnieć kilka oczywistych i prostych posunięć, które powinny przynieść pożądany efekt. Posunięcia te są normalnie praktykowane przez organizacje rządowe wszystkich szczebli na Zachodzie.

### 1. Szybkie odpisywanie na listy

Wiem, że nasi politycy często nie mają sekretarek. Wiem, że są przepracowani. Nie mniej żaden członek parlamentu w Australii nie ośmielił się nie odpisać na list swojego wyborcy. Reguła jest taka, że najpierw wysyłane jest potwierdzenie odbioru listu z adnotacją, że interpelowany sprawą już się zajął, a o wynikach powiadomi w późniejszym terminie. Po upływie kilku miesięcy poseł wysyła następny list, w którym zawiera pełną odpowiedź na postawione pytanie. Polityk w kraju demokratycznym nie może sobie pozwolić na luksus nie odpowiadania na listy pod groźbą przegrania wyborów. Brak odpowiedzi traktowany jest jako oznaka arogancji władzy. Odpowiedź poprawia samopoczucie wyborcy i sprawia, że wyborca czuje się odpowiedzialny za losy kraju. Pytanie bez nagrody: ilu Polaków mieszkających za granicą (też potencjalni wyborcy) dostało wyczerpujące informacje od czynników oficjalnych, jaka pomoc jest najbardziej potrzebna w kraju? Ja dostałem od mojego kuzyna, dyrektora jednego z banków w Londynie, który czasowo pracuje jako doradca w Ministerstwie Finansów. Wniosek: w dalszym ciągu bez kuzyna ani rusz.

### 2. Ujawnienie wszystkich dochodów

W Australii dochody polityków i ich najbliższej rodziny podawane są do publicznej wiadomości. Polityk, który ma akcje w jakimś przedsiębiorstwie musi zrezygnować z uczestniczenia w debacie nad ustawą, która mogłaby wpłynąć na zyski tego przedsiębiorstwa. Tymczasem kandydat na Prezydenta PRL, Lech Wałęsa, oświadczył publicznie podczas kampanii wyborczej, że on nie musi podawać swoich dochodów. Dodał jeszcze, że wydał dwie książki (w domyśle: z tego żyje). Muszę powiedzieć, że ubawiłem się setnie tą wypowiedzią. W Australii po czymś takim polityk zakończyłby karierę. W Polsce „siekiera” i zapewne ta wypowiedź kosztowały go tylko utratę głosów. Tylko dlatego, że media były albo miłosierne, albo niekompetentne. Moim zdaniem, wybory te udowodniły, że u wielu zasłużo-

nych działaczy antykomunistycznych mentalność „onych” zakorzeniona jest trwale w świadomości. Wyborcy to widzą, więc dlaczego mają być aktywni?

### 3. Jawność przy obsadzaniu stanowisk

Bodaj najważniejsze. *Kultura* poruszała ten temat kilka razy bez widocznego skutku, dlatego trzeba powtarzać do znudzenia w nadziei, że ktoś się ocknie. Wszystkie stanowiska do obsadzenia, przynajmniej w służbach publicznych (rządu centralnego, województw, samorządów) *muszą* być ogłaszane w prasie codziennej. Szczegółowy wykaz potrzebnych kwalifikacji, obowiązków, uprawnień, zasadniczych obszarów działania, linii podległości, potrzebnych referencji itp. powinien być dostępny na żądanie w dziale kadr. W Australii wysyłany jest do zainteresowanego pocztą. Opis mojego stanowiska obejmuje cztery strony (średni szczebel zarządzania), opis stanowiska mojego dyrektora już dziesięć. Przyjęcie do pracy następuje po rozmowie z Komisją, składającą się zwykle z trzech osób (bezpośredni przełożony, jeden szczebel wyżej i dwa szczeble wyżej). Przed rozmową referencje są starannie sprawdzane (raz nawet pytano mnie o preferencje seksualne ubiegającego się o pracę).

Promocje powinny być dokonywane poprzez utworzenie nowego stanowiska, które w zamierzeniu będzie obsadzone przez promowaną osobę. Stanowisko to również powinno być ogłoszone w prasie i cała procedura powinna być powtórzona. Oczywiście osoba, dla której tworzy się stanowisko (tzw. *personal upgrading*) ma największe szanse, ale nieraz zdarza się, że przegrywa z kimś z zewnątrz.

Przełożony zasadniczo nie powinien wychodzić z inicjatywą o promocję (np. „Dobrze Pan pracuje panie X. Proszę złożyć podanie o promocję. Załatwimy”). Inicjatywa powinna należeć do zainteresowanego. W Australii zasada ta jest dosyć rygorystycznie przestrzegana. Filozofia jest prosta, skoro sam zainteresowany nie dba o swoje sprawy, to najprawdopodobniej nie czuje się na siłach podołać większym obowiązkowi. Innymi słowy jest to stały sprawdzian na inicjatywę poszczególnych pracowników.

### 4. Odpolitycznienie służb publicznych

Uważam, że pracownicy służb publicznych nie powinni należeć do partii politycznych. Zadaniem tych służb jest dostarczanie wybranym przedstawicielom władzy prawdziwych informacji o wszystkich aspektach społeczno-ekonomicznych państwa,

województwa czy gminy. Tylko w oparciu o prawdziwą informację można podejmować prawidłowe decyzje. To znaczy musi istnieć mechanizm, który zapewni, że pracownik nie zostanie ukarany za dostarczenie „nieprzyjemnej” informacji. Musi również istnieć mechanizm, który spowoduje, że służby publiczne nie będą zmuszane do uzasadnienia błędnych decyzji podjętych na podstawie przesłanek politycznych, a nie np. kalkulacji ekonomicznych.

Groźba upolitycznienia służb publicznych istnieje realnie również w krajach demokratycznych. Tak było w Queensland za rządów Partii Narodowej. Przeciwdziałanie temu nie jest proste. Myślę, że jednym ze sposobów jest utworzenie stanowiska stałego kierownika (i jego zastępców) w każdym resorcie. Kierownik związany byłby kontraktem powiedzmy pięcioletnim z możliwością przedłużenia na dalsze pięć lat. Po tym okresie przedłużenie kontraktu powinno być ustawowo zabronione. Ta sprawa jest jedną z najtrudniejszych i o ile wiem, nigdzie na świecie nie jest rozwiązana w sposób idealny.

Tylko opisany wyżej mechanizm spowoduje zaufanie do ekip rządzących. Ludzie, kiedy zobaczą, że stanowiska są obsadzone w nagrodę za poprzednie zasługi konspiracyjno-opozycyjne, ale przez ludzi najbardziej odpowiednich uwierzą w swoje siły. Tylko w ten sposób możemy przekształcić nasze społeczeństwo w społeczeństwo otwarte. Muszę powiedzieć, że z pewnym zażenowaniem o tym piszę. Dla człowieka pracującego w państwie demokratycznym są to sprawy oczywiste.

Przejdę teraz do pewnej specyficznej dziedziny działalności, którą zajmuję się zawodowo. Mianowicie do ochrony wód przed zanieczyszczeniem. Zacznę od spraw ogólnie znanych. Chronić wody można trzema sposobami. Droga nakazów i ustaw prawnych (o ile są możliwości ich wyegzekwowania). Droga przekonywania, że zanieczyszczenie wód długoterminowo wpłynie ujemnie na efekty ekonomiczne zakładu (np. klienci ogłoszą bojkot produkowanych wyrobów) oraz drogą pośrednią.

W Australii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych (przypuszczam, że w Europie Zachodniej również) droga pierwsza jest bardzo kosztowna i mało skuteczna. Oskarżony zakład ma wystarczającą ilość środków, by się skutecznie bronić. Dobry obrońca jest w stanie podważyć w sądzie wartość materiału dowodowego, choć oczywiście w drastycznych wypadkach zapadają wyroki skazujące. Organizacje stanowe w Australii odpowiedzialne za gospodarowanie zasobami wodnymi, a na pewno Komisja Gospodarki Wodnej w Queensland, gdzie pracuję, wybrała rozwiązanie pośrednie z dużym poparciem dla inicjatywy użytkowników wód. W Queensland od dawna istnieją tak zwane Komitety Wodne, zrzeszające użytkowników zasobów wodnych

w danej ziemi. Komitety te początkowo zajmowały się sprawiedliwym rozdziałem wody do nawodnienia, zaopatrzeniem miast itp. W tym miejscu warto dodać, że działalność ta jest szalenie ważna ze względu na długotrwałe susze, jakie nawiedzają ten stan. W ostatnich latach organizacja nasza zaczęła namawiać komitety do rozszerzania działalności, wyjaśniając przy wielu okazjach, że lepiej będzie, jeżeli użytkownicy sami podejmą działania ograniczające zanieczyszczenie wód. Ze względu na rolniczy charakter gospodarki stanu, głównymi problemami są: erozja gleby, wzrastające zasolenie obszarów nawadniających, wzbogacanie wód pożywkami z nawozów sztucznych (związki azotu i fosforu) oraz pestycydy/herbicydy. Niektóre komitety ostatnio rozszerzyły swą działalność o te zagadnienia, z czego jesteśmy bardzo zadowoleni. Chcę tu podkreślić: instytucje Rządu Stanowego z założenia *nie są członkami* Komitetów Wodnych po to, żeby decyzje były podejmowane niezależnie od intencji rządu. Komisja stara się wspierać Komitety poprzez naukowe studia podejmowane z inicjatywy Komitetów i finansowane częściowo lub w całości przez nie. Komitety nie mogą podejmować decyzji sprzecznych z Prawem Wodnym, a organy rządowe widziane są nie jako ci, co to stawiają wymagania, ale jako ci, co chcą pomóc.

W moim odczuciu Komitety Użytkowników Zlewni, przede wszystkim Górnej Wisły i Górnej Odry, powinny powstać jak najszybciej (może już istnieją?) bowiem te rejony są najbardziej zanieczyszczone i od czystości wód w tych zlewniach zależy możliwość zaopatrzenia w wodę użytkowników na niższych odcinkach tych rzek. Rejony te również są najbardziej zagrożone bezrobociem w miarę zmiany profilu zakładów przemysłowych tam ulokowanych. Nie ma złudzeń, że przy kompletnym zniszczeniu tradycji samorządowych utworzenie i sprawne działanie tych komitetów będzie łatwe. Uważam jednak, że spróbować trzeba. Członkami tych Komitetów powinni być przedstawiciele organów samorządów lokalnych (ale nie województw) przedstawiciele zakładów przemysłowych zarówno państwowych jak i prywatnych oraz organizacji rolniczych. Komitety powinny powołać grupy robocze złożone ze specjalistów (nie więcej niż 5 czy 6 osób), które byłyby odpowiedzialne za poszczególne odcinki działalności (w tym grupa budżetowa — najważniejsza). Plany działalności komitetów powinny być opracowywane w grupach roboczych w oparciu o realne możliwości finansowania działań i zatwierdzane przez komitety. Pomyślna działalność komitetów będzie zależeć tylko i wyłącznie od szacunku, jakim będą się cieszyć jego członkowie w swoim środowisku oraz od stopnia otwartości w ich pracach. Podejmowanie decyzji w „zaczyszu gabinetów” musi zostać zaniechane od zaraz. Tylko w pełni poinformowane społeczeństwo będzie aktywne.

I jeszcze jedno: komitety nie powinny liczyć tylko na pomoc finansową rządu. W Nowej Południowej Walii komitet jednej ze zlewni opodatkował farmerów bawełny w wysokości 0,3 dol. od każdego megalitra wody zużytej na nawadnianie. Kwota uzyskana została przeznaczona na finansowanie pomiarów zanieczyszczeń wód powierzchniowych spowodowanych przez pestycydy. Oczywiście nie mogę gwarantować sukcesu. Niemniej sędzę, że tego typu inicjatywa ma większe szanse powodzenia niż uchwalenie ustaw, których nie będzie można wyegzekwować. Skoro komitety takie dobrze sobie radzą w demokratycznej Australii, to dlaczego nie miałyby zdać egzaminu w demokratycznej Polsce?

Czytelników bardzo proszę o przyjęcie tych uwag, z konieczności napisanych w dużym skrócie, jako uwag człowieka głęboko zainteresowanego sprawami odrodzonej Polski i który zdobył pewne doświadczenie w administracji państwowej, a nie jako uwag typa, który „ustawił” się w Australii i się „wymądrza”.

Brisbane, 24-28 grudnia 1990

Wojciech POPLAWSKI

## Pytanie

„Ministrowie spraw zagranicznych Łotwy i Estonii, którzy chcieli wziąć udział w odbywającej się w Paryżu konferencji KBWE, w charakterze obserwatorów lub gości rządu francuskiego — zostali wyproszeni przez urzędników francuskiego MSZ z miejsca obrad.

Ten banalny i kompromitujący wszystkich uczestników konferencji wypadek zdarzył się akurat w momencie, kiedy prezydent Bush i Gorbaczow zgodnie potępili aneksję Kuwejtu dokonaną przez Irak.

Chciałbym zapytać, dlaczego polski minister spraw zagranicznych, obecny na konferencji, nie zdobył się na kilka choćby słów protestu, wskazując na jaskrawą niekonsekwencję: czym różni się aneksja Kuwejtu, dokonana przez Saddama Husejna w roku 1990, od aneksji Litwy, Łotwy i Estonii, dokonanej przez Związek Sowiecki w roku 1940 na podstawie porozumienia z Hitlerem?”

Niżej była data (Warszawa, 20 listopada 1990 roku) i podpis.

Powyższy tekst chciałem zamieścić w dziale listów do redakcji — *Gazety Wyborczej*, później *Życia Warszawy* — zaraz po zakończeniu konferencji paryskiej. Najpierw zadzwoniłem do *Gazety Wyborczej* i przewidywałem te trzy zdania znajomemu dziennikarzowi z działu zagranicznego. Odniósł się przychylnie do mojego projektu — powiedział, że zrobi wszystko aby tekst ukazał się następnego dnia. Niestety, po kilku godzinach zadzwonił z wiadomością, że nie ma miejsca z powodu nawału materiałów dotyczących wyborów prezydenckich. Jeśli chcę drukować, muszę poczekać do poniedziałku, 26 listopada.

Nie zdecydowałem się i zadzwoniłem do *Życia Warszawy*. Znowu rozmawiałem ze znajomym dziennikarzem zajmującym w nowej redakcji eksponowane stanowisko. Mój kolejny rozmówca nie chciał nawet przepisać tekstu. Tłumaczył, że przecież premier pośrednio protestował, ponieważ — w czasie wygłaszania przemówienia — wspominał o republikach bałtyckich. Mówił tam o konieczności wciągnięcia do współpracy. Usiłowałem replikować: jednak wyraźnie nie powiedział o wyproszeniu, nie zaprotestował wprost. Nie przekonałem rozmówcy.

Moje „pytanie” zostało w szufladzie.

Dziś, w styczniu 1991 roku, po ultimatum Gorbaczowa dla Litwy, można już, jak sądzę, sformułować zarzut jasno: rząd premiera Mazowieckiego nie dostrzegł i nie skorzystał z wielkiej szansy. Nie wykorzystał możliwości uznania przez Polskę, jako przez pierwsze i być może jedyne państwo w Europie, rządów niepodległej Litwy, Łotwy i Estonii. Stworzenia precedensu, przełamania bariery strachu. Uzasadnienie było proste: Polska, jako pierwsza i główna ofiara paktu Ribbentrop-Mołotow, nie może dłużej akceptować skutków tego paktu wobec sąsiadów. Właśnie Polska!

Można darować sobie pytanie, jak należało zachować się w Paryżu, w listopadzie 90 roku, w momencie usuwania bałtyckich delegatów przez Francuzów — może warto było razem wyjść z sali? Ale przede wszystkim trzeba przypomnieć tę szansę straconą znacznie wcześniej. Tej szansy nie da się już odzyskać.

Zadziwiająca jest, swoją drogą, paraliżująca obawa przed reakcją przedstawicieli Związku Sowieckiego. Dawniej i obecnie w Moskwie i w Paryżu. Ten strach paraliżuje nawet dziś, kiedy Związek Sowiecki trzeszczy w szwach i powoli tonie, jak wielka zardzewiała barka. Dlaczego nie potrafiliśmy zdobyć się na gest solidarności wobec Litwinów? Czy naprawdę tak wiele było do stracenia?

W ubiegłym roku, zaraz po ogłoszeniu niepodległości przez Litwę, wystąpiliśmy — kilkanaście osób z kręgu ludzi piszących — z apelem do rządu premiera Mazowieckiego o uznanie tego faktu. Pisaliśmy: „W 1940 roku, na podstawie porozumienia Hitlera i Stalina, Związek Sowiecki anektował niepodległą Litwę i uczynił ją jedną z republik. Po pięćdziesięciu latach swobodnie wybrani przedstawiciele narodu litewskiego ogłosili powrót do niepodległości. Przyjmując ten fakt z największą radością apelujemy do Rządu Rzeczypospolitej Polskiej o jak najszybsze uznanie niepodległości Litwy. Przemawiają za tym nie tylko wspólna historia i więzy, jakie łączą nasze narody, ale również racje moralne, na które w przeszłości — podobnie osamotnieni w obliczu przemocy — zawsze powoływaaliśmy się. Warszawa, 21 marca 1990 r.”

Podobnych oświadczeń i apeli było więcej. Wszystkie pozostały bez echa. Wszystkie zapewne były przyjmowane, jako przejaw nieodpowiedzialności politycznej, braku realizmu itp. I oto jeszcze raz będziemy świadkami tryumfu „politycznego realizmu”. Wobec obojętności sąsiadów ze wschodniej i zachodniej Europy pochód sowieckich czołgów, przez granice trzech małych państw, można było przewidzieć. Można było przewidzieć wywózki, aresztowania, deportacje. A także komunikat o „przywracaniu ładu i porządku”.

Rząd premiera Mazowieckiego nie przewidział takiego scenariusza, zajęty uzyskaniem gwarancji dla zachodniej granicy i konferencją 2 + 4. To wtedy pokazywano nam generała Jaruzelskiego na tle słupów granicznych nad Odrą. Mówiono o konieczności pozostawiania garnizonów sowieckich w Polsce, jako gwaranta równowagi sił. Mówiono oczywiście nonsensy a wszystko przedstawiono później, jako sukces polskiej dyplomacji.

Myślę, że sukces prawdziwy był w zasięgu ręki. Ręki jednak nie wyciągnięto. Dziś, siedząc przed telewizorem, możemy już tylko patrzeć na sowieckie czołgi w Wilnie. I — oczywiście — cieszyć się, kiedy Amerykanie wyrzucą Saddama Husejną z Kuwejtu.

Warszawa, 10 stycznia 1991 r.

Kazimierz ORŁOŚ

niż Polska, Czechosłowacja czy Węgry. Nawet w najlepszym wypadku, moim zdaniem, ten powrót zajmie dziesiątki lat.

R.G.: — *A jak wygląda kwestia swobody wypowiedzi?*

T.V.: — Jest w danej chwili dobrze, istnieje absolutna wolność prasy, o ile mogę sądzić; czytam w tej prasie rzeczy może nie zawsze mądre, ale każdy ma możliwość wypowiedzieć własne zdanie. Absolutnie każdy, nie wyłączając ludzi bardzo prawicowych, a także tej nieznaczącej części ludności, która nadal podtrzymuje poglądy stalinowskie albo neostalinowskie. Ci też mają swoją prasę, chociaż w zasadzie nikt jej nie czyta.

R.G.: — *Gdyby spróbować to ująć procentowo — co pociąga społeczeństwo jako idea, jaka prasa cieszy się największym zainteresowaniem?*

T.V.: — Chyba ponad 90% ludności Litwy, w tym prawie wszyscy Żydzi, część Rosjan i chyba przeważająca część Polaków jest za niepodległością Litwy i wokół tego bardzo prostego postulatu wszystko się obraca. Dopóki niepodległość znajduje się w limbo, wszystko sprowadza się prawie wyłącznie do tego. Prasa prawicowo-niepodległościowego typu — w polskiej terminologii to byłoby coś w rodzaju endecji — ma poparcie może i większe niż prasa liberalna. Ale w danej chwili jest to raczej pół na pół. Moskwa wraca do neostalinizmu albo nawet do starego stalinizmu, a zwrot na prawo na Litwie — w stronę fundamentalizmu narodowego — jest przez to prowokowany. To mi niezbyt odpowiada, jestem człowiekiem poglądów liberalnych. Ale liberałowie mają pełną możliwość wyrażenia swoich poglądów, tyle że atmosfera społeczna im teraz nie sprzyja.

R.G.: — *Właśnie, nacjonalizm ma w pewnych okolicznościach swoje zalety i wady. Jak by Pan mógł najkerócej przedstawić bilans strat i zysków na Litwie w związku z odrodzeniem narodowym?*

T.V.: — Odrodzenie narodowe — wraz z nacjonalizmem — było etapem niezbędnym w całej wschodniej Europie, tyle że teraz to się już robi trochę niebezpieczne, bo wiedzie do kłótni w każdym kraju, co widzimy na przykładzie Czech czy Rumunii, częściowo także w Polsce. Litwa nie jest jednonarodowa jak Polska, choć jest bardziej homogeniczna niż Łotwa albo Estonia. Konflikty są niewątpliwie podtrzymywane i rozdmuchiwane przez

## Wywiady „Kultury”

### Powrót Litwy na orbitę europejską

ROZMOWA Z TOMASEM VENCLOVĄ

RENATA GORCZYŃSKA: — *Wrócił Pan niedawno z kolejnej podróży na Litwę. Jak przedstawia się sprawa powrotu Litwy do Europy?*

TOMAS VENCLOVA: — Byłem na Litwie — w Wilnie i w Kownie — w październiku, teraz mamy grudzień. Od tego czasu sytuacja wyraźnie się pogorszyła, o ile można sądzić znajdując się tutaj w Ameryce. Wygląda na to, że w Rosji odbywa się zdecydowany zwrot na prawo i że Gorbaczow jest albo więźniem sił prawicowych, albo ich przywódcą, albo jednym i drugim, jak powiedział zresztą prezydent Litwy Landsbergis. Sytuacja jest niepewna, nerwowa. W zasadzie dzieje się na Litwie to, co w całej Europie wschodniej lub środkowej, jakiegokolwiek nazwy będziemy używali. Ten proces odbywa się również w Polsce, z tą jednak wyraźną różnicą, że Polska jest krajem niepodległym, Litwa — niezupełnie, to znaczy formalnie jest, faktycznie jeszcze nie jest. Znajduje się tam wciąż armia rosyjska, KGB, które słucha rozkazów Moskwy; istnieje zresztą także tajna policja litewska, ale chyba nie ma większej mocy; w każdej chwili oczekuje się rozwoju wypadków w gorszym kierunku. Niestety, to się na ogół sprawdza, bo pogarsza się sytuacja ekonomiczna i polityczna. Z powodu tej niepewności zaczynają się niesnaski, kłótnie, wzajemne oskarżenia, czyli właściwie to samo co dzieje się w Polsce i w innych krajach Europy wschodniej. Powrót do Europy odbywa się z wielką trudnością i powoli, tym bardziej, że Litwa była pięćdziesiąt lat krajem okupowanym, krajem, który przeszedł dużo ciężkich doświadczeń, więcej

siły trzecie, głównie przez Moskwę, co nie może przynieść korzyści ani Litwinom, ani mniejszościom narodowym na Litwie. Niestety nie każdy to rozumie, mówiąc ogólnie, bo tak naprawdę rozumie to wyraźna mniejszość, która nie ma możliwości narzucenia swoich poglądów większości. W najgorszym razie może to nawet doprowadzić do wrogich działań między państwami Europy środkowej, co by było naprawdę ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy.

R.G.: — *Skoro sytuacja polityczna i gospodarcza tak napierają na życie społeczne na Litwie, jak wobec tego wygląda życie kulturalne? Czy te dwa pierwsze elementy nie odsuwają spraw kulturalnych na daleki plan?*

T.V.: — Niewątpliwie, odsuwają, ale z tym nie jest tak źle. Jest mnóstwo nowych czasopism — miesięczników, tygodników. Niektóre z nich niewątpliwie zbankrutują w przyszłości. W czasopismach tych właśnie pojawia się temat powrotu do Europy — próby poznania, co w ciągu tego czasu zdarzyło się na naszym kontynencie. Litwa różni się od Polski między innymi tym, że stalinizm skończył się tam bardzo niedawno. W Polsce związki z myślą i kulturą europejską, zresztą nie tylko europejską, poprawiły się już po 1956 roku, na Litwie wszystko odbyło się w bardzo krótkim czasie. Nastąpiło jakby ściśnięcie wydarzeń roku 1956, 1968 i 1980 w jeden rok. Dlatego sytuacja w kulturze jest skonfundowana, niepewna. Rzeczą zrozumiałą, choć zarazem zjawiskiem negatywnym jest to, że ludzie głównie interesują się tym, co odbywało się w dwudziestoleciu międzywojennym a to już jest anachronizmem. Znacznie mniej wiedzą o tym, co się dzieje teraz. Przedrukowuje się dziesiątki, setki artykułów, wierszy z tego okresu, co w zasadzie Litwę trochę konserwuje. Litwa zawsze była konserwatywna, tradycjonalistycznie konserwatywna w swoich postawach. Oczywiście Litwa przedwojenna była rajem w porównaniu z tym, co nastąpiło potem, jednak prawdziwym rajem nie była. Niemniej nostalgia za tą Litwą jest bardzo mocna, no i nie ma na to rady. Postaw krytycznych, liberalnych nie powiedziałbym że brakuje, tyle, że znajdują się one na drugim planie.

R.G.: — *A jakie konkretnie wydarzenia kulturalne zwróciły Pana uwagę w trakcie ostatniego pobytu w kraju rodzinnym?*

T.V.: — Byłem na przykład na posiedzeniu litewskiego PEN-Clubu, który został założony niedawno. Tam pisarze uczą się po prostu demokracji, literackiej demokracji, i moim zdaniem dość dobrze to idzie.

R.G.: — *Czy to znaczy, że książki ukazują się teraz na Litwie bez cenzury? Dotyczy to również Pana książek?*

T.V.: — Tak. Moje książki mają być wydane wiosną, no, nie wiadomo jeszcze, co wiosną będzie, ale w każdym razie dwie książki leżą w wydawnictwach i żadnej cenzury nie zauważyłem. Pierwsza książka to wiersze; tom będzie się nazywał tak samo jak edycja w języku polskim: „Rozmowa w zimie”, tyle że będzie to książka kilkakrotnie większa, praktycznie utwory zebrane. „Rozmowa w zimie” — bo to było pisane w czasie zimy, mówiąc alegorycznie. Znajdują się tam także przekłady (znacznie więcej wierszy przetłumaczyłem niż napisałem). Więc żadnej cenzury dotychczas nie zauważyłem. Jedno jest ciekawe: przesałem tę książkę na Litwę drogą pocztową i ona bardzo długo nie trafiała do wydawnictwa, właśnie z tego powodu, że leżała u cenzora, który formalnie musiał coś podpisać. Cenzor podpisuje teraz wszystko — nawet znacznie „gorsze” politycznie utwory niż moje wiersze. Ale najpierw chorował, potem pojechał na kurację do Druskiennik, więc przez parę miesięcy nie podpisał. Wreszcie podpisał i książka znajduje się w druku. Druga książka jest zbiorem esejów, w tym esejów politycznych, i w tym wypadku też nie zauważyłem cenzury.

Jest poważny problem, z którego pisarze, malarze i ludzie teatru dopiero zaczynają zdawać sobie sprawę: mianowicie Litwę oczekują wielkie trudności ekonomiczne — niezależnie od tego, jak się potoczą wypadki, na dobre czy na złe. W czasie komunizmu literatura była oczywiście drugorzędna i w zasadzie kiepska, ale była subsydiowana. Subsydia otrzymywali także pisarze zupełnie porządni. Chodzi nie tylko o pisarzy, może więcej nawet dotyczy to teatru i filmu. Istniało w pewnym momencie bardzo interesujące kino litewskie oraz teatr. Teraz subsydia się kończą i ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę z tego, że w normalnym społeczeństwie kultura jest niestety rzeczą marginalną. Pojawiło się wiele artykułów wyrażających niezadowolenie z tego stanu rzeczy. A jakie są nowe zjawiska w literaturze? Oczywiście ogromna ilość literatury martyrologicznej, tak samo jak w Polsce. To się już trochę kończy w danej chwili, ale jednak istniało i wciąż istnieje, to znaczy księgarnie są tego pełne. Wydaje się wszystkich pisarzy emigracyjnych, a jest ich dużo, w tym pisarze bardzo dobrzy. I te książki są wykupowane na pniu, niezależnie od ceny.

R.G.: — *Czy ceny książek też wzrosły tak znacznie jak w Polsce?*

T.V.: — Trudno powiedzieć, ale biorąc pod uwagę zarobki ludności, ceny książek są wysokie. Może to jest mój błąd optycz-

ny, ale nie zauważyłem, żeby to się zmieniło od czasów przedrewolucyjnych, że tak powiem.

R.G.: — *A radio i telewizja — czy stały się choć trochę bardziej niezawisłe?*

T.V.: — I telewizja i radio są niezależne; właśnie jeden z moich najlepszych, wieloletnich przyjaciół jest teraz szefem telewizji litewskiej, nazywa się Pranas Morkus, zajmuje on stanowisko chyba równoległe do stanowiska Drawicza w Polsce. Znalazłem się w dziwnej sytuacji, bo przynajmniej w trzech krajach wschodnioeuropejskich moi przyjaciele są u władzy, to znaczy w Polsce, na Węgrzech oraz na Litwie. No, na Litwie ta ich władza jest względna, niemniej istnieje w niektórych dziedzinach życia społecznego. Brakuje jeszcze przyjaciół u władzy w Rosji, ale mam nadzieję, że i to nastąpi. Jeszcze Bukowski nie jest głową rządu ani Brodski ministrem kultury, ale kto wie?

R.G.: — *Prawie dwanaście lat temu na łamach Kultury ogłosił Pan wspólnie z Czesławem Miłoszem dialog o Wilnie. Co by Pan powiedział, gdyby Pana teraz poproszono o komentarz do tego dwugłosu? Chodzi mi o dystans, który dzieli Pana ówczesne spojrzenie od obecnej oceny sytuacji.*

T.V.: — Przede wszystkim jest rzeczą przyjemną dla autora widzieć, że to się sprawdziło. Powiedziałem, gdy w to nikt jeszcze nie wierzył, że mną włącznie, że Litwa będzie państwem niepodległym i demokratycznym; teraz to następuje. To zdziwiło nawet mnie samego. Trochę na siłę przyjmowałem postawę optymistyczną, niezbyt w to wierząc. Zawsze myślałem, że w końcu do tego dojdzie, ale że ja tego nie doczekam. Jednakże doczekałem się. To pierwsze, a po drugie, że ten konflikt — myślę o konflikcie litewsko-polskim — okazał się niestety mocniejszy niż oczekiwałem. Ostatnio władze litewskie reagują chyba na ten konflikt bardziej adekwatnie niż w przeszłości. Taka rzecz dla Litwy (a także dla Polaków) raczej niepotrzebna jak autonomia terytorialna polska, spotkała się z dość adekwatną postawą — to znaczy nie było tego, co się zdarzyło w Mołdawii, nie doszło do sytuacji, żeby wojska Moskwy weszły pod pretekstem rozdzielenia Litwinów i Polaków. Do żadnych starć fizycznych w każdym razie nie doszło i nawet starcie — nazwijmy — niefizyczne było słabsze, niż przypuszczano. Z tego jestem zadowolony. Ale niestety, jest to sprawa, która będzie się ciągnąć jeszcze przez wiele lat. Zawsze mówiłem, a także pisałem w prasie litewskiej i polskiej, że uważam to za ogromne głupstwo;

będąc Litwinem sędzę, że Litwini powinni mówić o głupstwach litewskich, chociaż niewątpliwie Polacy też robią głupstwa.

R.G.: — *Silnym elementem ruchów nacjonalistycznych jest na ogół wspólnota językowa. Tymczasem co się dzieje w państwach bałtyckich? Następuje utrata ich lingua franca. Jak Pan sądzi, jaki język będzie służył umocnieniu tej wspólnoty geograficzno-kulturowej?*

T.V.: — Teraz robią wszystko co mogą, żeby *lingua franca* został język angielski. Tyle, że nic jeszcze z tego w danej chwili nie wychodzi. W większości wypadków wspólnym językiem pozostaje rosyjski. Powiem, być może, głupstwo — nic strasznego w tym nie widzę, bo rosyjski jest nie tylko językiem Breżniewa i Gorbaczowa, ale także językiem Sacharowa. Nie wykluczam zresztą powrotu do niemieckiego, jak to było przed wojną w republikach bałtyckich.

R.G.: — *Na koniec pragnę zapytać o Pana najnowszy projekt książkowy. Dowiedziałam się, że przygotowuje Pan po angielsku monografię poświęconą twórczości Aleksandra Wata. Dlaczego wybrał Pan akurat jego osobę na bohatera swojej przyszłej książki?*

T.V.: — Przede wszystkim poradził mi to Stanisław Barańczak. Wat jest ogromnie interesującą postacią i bliską mi, choćby z tego prostego powodu, że przeszedłem przez wiele tych etapów, przez jakie on przeszedł. Byłem kiedyś komsomolcem, wprawdzie w więzieniu nie byłem, ale miałem różne niesnaski z władzami, wyemigrowałem. Uważam Wata za jednego z najlepszych krytyków języka totalitaryzmu. Podchodzi on do tej sprawy w sposób mądry, z punktu widzenia semantyki. W starciu z totalitaryzmem, które jest teraz w stadium końcowym, krytyka języka była może sprawą najbardziej znaczącą. Najważniejsze — jak sądzę — jest to, że przemogliśmy tę nowomowę, że w końcu ocaliliśmy język, w którym słowa znaczą to co znaczą. Wat w tym był i nadal jest bardzo mocny. A ponadto jest on po prostu dobrym poetą, w obu swoich wcieleniach, to znaczy we wcieleniu futurystycznym (moim zdaniem „Mopsożelazny piecyk” jest chyba nie gorszy od Rimbauda) i w emigracyjnym. Na wygnaniu Wat stał się wielkim poetą metafizycznym, porównywalnym z Miłoszem.

Rozmawiała Renata GORCZYŃSKA

Powyższa rozmowa odbyła się po polsku w grudniu 1990 w New Haven, Connecticut, gdzie Tomas Venclova jest wykładowcą na wydziale slawistyki Uniwersytetu Yale.



## Rozmowa z Janem Nowakiem

TERESA TORAŃSKA: — *Przyjechał prezydent Kaczorowski do Polski, oddał insygnia prezydenckie i jak to, to już koniec?*

JAN NOWAK: — Naturalnie, że koniec. Jest to koniec legalnego działania władz na emigracji, bo suwerenną władzą w każdym wolnym państwie jest naród i w chwili, gdy naród w powszechnych demokratycznych wyborach wybrał swego prezydenta, prezydentura na emigracji nie tylko traci podstawy legalne, ale stała się uzurpacją.

T.T.: — *Ale w Polsce jak dotąd wybrany został tylko prezydent.*

J.N.: — Dlatego bardzo słusznie i logicznie ustępuje w tym momencie prezydent na obczyźnie, natomiast Rada Narodowa rozwiąże się dopiero w chwili wyborów do sejmu i senatu.

T.T.: — *Ja jednak odczuwam pewien niedosyt. Wydaje mi się, że została stracona okazja do powiedzenia czegoś o tym rządzie, o jego historii, co działał, a czego nie. Dla mnie wrócił w momencie, gdy do ludzi zaczęło dopiero docierać, że w ogóle istniał.*

J.N.: — Nie zgadzam się z tym zupełnie. Środki masowego przekazu w Polsce po zniesieniu cenzury mówiły już o nim bardzo dużo. Może zabrakło jedynie sprawozdania z 45-letniej działalności, które prezydent Kaczorowski i rząd powinni przedstawić w sejmie przekazując insygnia prezydenckie, ale nie wiem, czy już jest czas na sporządzenie bilansu. Może to zadanie dla historyków? Główne znaczenie i dorobek tego rządu polegały zresztą na tym, że był sztandarem i symbolem. Symboli nie należy lekceważyć. Sztandar pułkowy jest pewnego rodzaju świętością, która ma bardzo realne znaczenie. Jest świadomie i celowo otaczany pewną czcią, pewnym szacunkiem, jest broniony, jest chroniony i taką dokładną rolę a nie inną odgrywał w Londynie prezydent i rząd polski na przestrzeni blisko połowy stulecia.

T.T.: — *Ale do czego był potrzebny taki pośpiech?*

J.N.: — Pośpiech był absolutnie konieczny, każde opóźnienie

byłoby bowiem uzurpacją. Dzięki wyborowi miejsca i momentu podkreślono ciągłość Rzeczypospolitej. Ciągłość między drugą a trzecią Rzeczpospolitą.

T.T.: — *A może chodziło o wyeliminowanie z uroczystości gen. Jaruzelskiego?*

J.N.: — Jedno łączy się z drugim. Uważam że dobrze się stało, że gen. Jaruzelskiego tam nie było, bo jego obecność byłaby naruszeniem tej ciągłości. W tym, co mówię, nie ma żadnego osobistego ataku na gen. Jaruzelskiego. Mówiono mi, że odszedł z godnością i odegrał pomimo bardzo złej przeszłości rolę konstruktywną w ostatnim — powiedzmy półtora roku, niemniej jednak właśnie nie kto inny, a gen. Jaruzelski jest symbolem i uosobieniem tego 45-letniego okresu, nad którym panował fałsz. Fałsz polegał na tym, że rząd, który był narzucony Polsce siłą, który społeczeństwa nie reprezentował i który istniał tylko dzięki temu, że dysponował przemocą, obcą przemocą, był nazywany rządem polskim. Dlatego obecność Jaruzelskiego byłaby zupełną katastrofą dla sensu całej tej uroczystości.

T.T.: — *Ale te 45 lat istniało, ich się nie da wymazać, naprawdę.*

J.N.: — Oczywiście, że nie, tak jak nie można wymazać 123 lat niewoli. Przez ostatnie 45 lat państwo polskie było państwem wasalnym, a Polacy nie rządili się sami i byli w niewoli, byli narodem ujarzmionym, nie waham się użyć tego słowa. Żyli w fałszu, który bardzo głęboko zapadł w niektóre umysły ludzi urodzonych i wychowanych w tym okresie. Okres Polski Ludowej — podkreślam — nie jest okresem Trzeciej Rzeczypospolitej, był formacją wasalną, poddaną obcej przemocą i obcemu państwu. Trzecia Rzeczpospolita urodziła się na Zamku w wielkiej sali zamkowej w dniu 22 grudnia 1990 r.

T.T.: — *Znaczący teraz państwo polskie jest już suwerenne?*

J.N.: — Oczywiście.

T.T.: — *Mimo stacjonowania wojsk sowieckich?*

J.N.: — Niemcy są państwem suwerennym, a jest tam w tej chwili 300 tys. wojsk sowieckich. Samo stacjonowanie obcych oddziałów w niczym nie ogranicza suwerenności pod warunkiem,

że będą one usunięte, kiedy naród polski będzie tego sobie życzył. W tym kierunku idą żądania, bardzo wyraźne żądania ze strony rządu polskiego.

T.T.: — *I mimo obecności KGB, uznanej jako placówka dyplomatyczna?*

J.N.: — To była decyzja, którą można ostro krytykować, ale nie była to decyzja wymuszona, to była decyzja rządu Mazowieckiego. Rząd suwerenny może podejmować wszelkie decyzje. Mnie się ona nie podoba i jestem jej przeciwny, ale nie twierdzę przez to, że była aktem podyktowanym przez Moskwę. To był akt podyktowany przez jakieś racje, np. takie, że lepiej, aby KGB działało jawnie, a nie jak organizacja zakonspirowana.

T.T.: — *Jedno nie wyklucza drugiego.*

J.N.: — Proszę pani, nie mamy teraz sposobów i środków, żeby ich usunąć. Jeżeli mamy, to trzeba usunąć, ale ja w to wątpię. Nie można brać za złe polskiemu rządowi, że dążąc do wyeliminowania sowieckiej obecności w Polsce, stara się to załatwić bez konfrontacji. I załatwia. Przykładem jest choćby sprawa Paktu Warszawskiego, który jest w stanie likwidacji. Podkreślam: nie znam ani jednego aktu rządu, który można byłoby uznać za narzucony przez obce mocarstwo.

T.T.: — *A stosunek do Litwy?*

J.N.: — Było bardzo dobre oświadczenie rządu, bardzo wyraźne i stanowcze, ale dyplomatyczne, i była niesłuchanie ostra uchwała sejmu i senatu. Czy Polska ma robić więcej, niż robią Stany Zjednoczone, Anglia lub Francja? Polska prowadzi politykę unikania konfrontacji ze wszystkimi sąsiadami i w moim przekonaniu jest to słuszne, biorąc pod uwagę, że nasza sytuacja jest w dalszym ciągu krytycznie słaba.

T.T.: — *Więc inaczej. Czy samolikwidacja rządu londyńskiego oznacza koniec emigracji politycznej? Czy emigracja przeistacza się od tego momentu w Polonię?*

J.N.: — Wszystko zależy od definicji.

T.T.: — *Emigracja jest skutkiem niezgody, albo co najmniej nie-*

*zadowolenia z warunków materialnych albo politycznych, istniejących w kraju.*

J.N.: — Nie, proszę pani, to jest definicja opozycji. Gdy emigracja jest rezultatem złych warunków materialnych, jest emigracją zarobkową. Polityczna emigracja walczy z istniejącym w kraju ustrojem despotycznym albo obcym i dąży do obalenia go wszelkimi możliwymi sposobami. Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek odłam polskiej emigracji dążył w tej chwili do obalenia ustroju postkomunistycznego. Natomiast na pewno na emigracji będzie większa czy mniejsza grupa osób, która znajdzie się w opozycji do polskiego rządu. Opozycja to jednak nie emigracja polityczna. Trzeba wyraźnie odróżniać emigrację i opozycję. Powołam się na przykład Izraela. Izrael jest państwem suwerennym i demokratycznym, ale Izrael nie przetrwałby nawet dwóch lat bez istnienia diaspory żydowskiej, organizującej mu przede wszystkim dopływ pomocy, bez której nie mógłby się uzbroić, oraz organizującej mu poparcie polityczne, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Bez istnienia bardzo potężnego lobby żydowskiego w Ameryce Izrael nie powstałby i nie utrzymałby się. To pokazuje, że emigracja, która uznaje rząd istniejący w Polsce jako rząd polski i rząd suwerenny, może mu pomagać i dlatego jestem zdania, że emigracja — już niepolityczna — ma zadania natury politycznej, inne niż emigracja sprzed powstania solidarnościowego rządu, i że ta emigracja ma do spełnienia bardzo ważną rolę, aczkolwiek od razu, ponieważ uczyniłem to porównanie, trzeba powiedzieć, że nie ma ona 1/10 tych wpływów, którymi dysponuje diaspora żydowska, a zwłaszcza lobby żydowskie w Stanach Zjednoczonych.

T.T.: — *Jerzy Giedroyc zapowiedział, że dalej będzie emigrantem, pan też, czyli kim?*

J.N.: — Ja wróciłbym do Polski natychmiast, gdyby nie przeświadczenie, że w moim wieku mogę więcej zrobić dla Polski będąc w Waszyngtonie, przyjeżdżając do kraju od czasu do czasu, nawet często, aniżeli będąc w Warszawie. Jestem przekonany, że z uwagi na mój wiek nie mam już żadnych szans odegrania jakiejś roli w Polsce, nie zostałem też do niej przez nikogo zaproszony, mimo że red. Giedroyc w sposób, który jest dla mnie bardzo ujmujący i wzruszający, wysunął moją kandydaturę na dyrektora telewizji i radia. W Polsce przeszedłbym w stan spoczynku, a tego stanu spoczynku chcę za wszelką cenę uniknąć. W Waszyngtonie w stanie spoczynku nie jestem. Wstaję o szóstej rano, kładę się spać o jedenastej, mam dzień

całkowicie wypełniony oraz uczucie, że jestem tutaj pożyteczny, co wcale nie oznacza, żebym przesadnie oceniał swój wpływ i swoją rolę. Ta rola ma głównie charakter doradczy i chcę w niej pozostać, a więc moje pobudki mają charakter polityczny.

T.T.: — *Raczej osobisty.*

J.N.: — Nie, bo ja pozostaję na Zachodzie z pobudek politycznych, chcę pomagać Polsce w najlepszy sposób.

T.T.: — *Więc jest pan emigrantem, czy nie?*

J.N.: — Ja — podobnie jak pan Jerzy Giedroyc — nigdy Polski nie opuściłem. W moim przekonaniu ani Giedroyc ani ja nigdy więc nie byliśmy emigrantami. Obaj żyliśmy stale w Polsce. Znam dobrze pana Jerzego i wiem, że jego cały aparat nadawczo-odbiorczy od chwili powstania *Kultury* był nastawiony tylko na jedną falę, na Polskę. To samo mogę powiedzieć o sobie. Bez żadnego samochwalstwa. Ani on ani ja nie byliśmy nigdy emigrantami. Na marginesie dodam, że moim zdaniem nie byłoby najmniejszego sensu, aby *Kultura* wracała do Polski. *Kultura* stała się instytucją narodową, ściśle związaną z Maisons Laffitte, z Francją i tam powinna zostać. Istnienie tak wpływowej jak *Kultura* instytucji poza granicami kraju jest potrzebne, jest też związane z pluralizmem.

T.T.: — *Kultura powinna zostać, a kto — według pana — wrócić?*

J.N.: — Ten kto chce, jako zasada. Ale chyba *Zeszyty Literackie*, które są czytane głównie w Polsce, Video Kontakt.

T.T.: — *Powiedział pan, że w Polsce przeszedłby w stan spoczynku, znaczy teraz w Polsce nie potrzebują ludzi znających świat, posiadających międzynarodowe koneksje?*

J.N.: — Moja wiedza jest wykorzystywana, nawet bardzo, ale w formie nieoficjalnej. Moje rady są chętnie wysłuchiwane. Jestem w kontakcie ze wszystkimi właściwie ludźmi, którzy podejmują decyzje, po obu stronach linii podziału. Moja ostatnia rozmowa z Wałęsą trwała półtorej godziny, rozmowa z Mazowieckim też trwała półtorej godziny, rozmawiałem ze Skubiszewskim, z Balcerowiczem, z Kozłowskim, a po drugiej stronie także z panem Jarosławem Kaczyńskim, rozmawiałem z Geremkiem, Kuroniem,

Bujakiem, Wujcem, Celińskim, nie wymienię wszystkich nazwisk, bo rzecz polega na tym, że nikt nie odmówił spotkania, że byłem przez wszystkich prawie natychmiast przyjmowany i nikt nie szczędził mi czasu, ale dlaczego? Dlatego że każdy wie, iż Nowak jest bezinteresowny, Nowak nie bierze udziału w grze i nie rozgrywa żadnej stawki osobistej. Dlatego jego rady mają charakter całkowicie bezinteresowny i warto ich słuchać. A po drugie, bo rady te są udzielane z pozycji człowieka, który zna stosunki międzynarodowe i zna stosunki w Polsce.

T.T.: — *Czy z jakichś skorzystano?*

J.N.: — Nie chciałbym o tym mówić, bo nie chciałbym cokolwiek zapisywać na swój rachunek. Powiem tylko tyle, że jestem stale w Polsce obecny. Dwa razy na miesiąc występuję w telewizji, która ma 20 mln słuchaczy, a moje wystąpienia spotykają się z odzewem, są szeroko słuchane, dostaję mnóstwo kartek i listów, także z wymyślaniami, ale to normalne. W tej chwili ukazał się w Polsce w wydaniu oficjalnym „Kurier z Warszawy”, a przygotowuje się wydanie dwóch innych moich książek: „Wojna w eterze” i „Polska z oddali”. Jeszcze żadne pismo nie odmówiło zamieszczenia mojego artykułu. Niedawno odczytałem w polskiej telewizji rezolucję Kongresu Polonii Amerykańskiej w sprawie Litwinów, bardzo ważną, odczytałem bardzo wzruszający list Kongresu Polonii Amerykańskiej do braci Litwinów w Stanach Zjednoczonych i na Litwie, odczytałem apel, jeszcze raz podkreśliłem w telewizji warszawskiej i w radio warszawskim, apel organizacji pn. Studium Spraw Polskich do Polaków na Litwie, wzywający ich do okazania pełnej solidarności z Litwinami. A równocześnie tutaj, w Waszyngtonie, wziąłem udział i przemawiałem w demonstracji litewskiej przed ambasadą sowiecką. To ilustruje, co mogę tutaj robić. Że mogę być i tu w Waszyngtonie i tam w Warszawie.

T.T.: — *Ale konkretnie, z jakich pana rad skorzystano w Polsce?*

J.N.: — Tego absolutnie głośno nie powiem, nawet gdyby tak było, dlatego że moja skuteczność będzie tym większa, im mniej zasług będę sobie przypisywał. Jest to zasada, która wynika z mojego całego doświadczenia życiowego. Największy wpływ mają tzw. szare eminencje, czyli ludzie, którzy nie zajmują żadnego formalnego stanowiska, nie mają żadnych tytułów, nie reklamują swoich osiągnięć, swoich kontaktów, swoich rozmów. Za dużo już pani powiedziałem.

T.T.: — *Więc inaczej. Co przez te wpływy chce pan osiągnąć? Proszę określić cele.*

J.N.: — One zależą od sytuacji. Na przykład w tej chwili akurat piszę komentarz do stosunku do Litwy, bo uważam, że najważniejsze jest teraz okazanie Litwinom dobrej woli oraz rozładowanie ich obaw i podejrzeń. Poprzednio wygłaszałem komentarze o naszym stosunku do Niemiec, złożony problem, starałem się przedstawić go z perspektywy Waszyngtonu i w kontekście sytuacji nie tylko polskiej, ale ogólnoswiatowej. Kolejny przykład. W tej chwili mam na warsztacie problem telewizji i radia, bo uważam, że największym zaniedbaniem ze strony rządu Mazowieckiego był brak jakiegokolwiek wysiłku mającego na celu oddziaływanie na społeczeństwo, przekonywanie go i wyjaśnianie mu polityki rządowej. Była luka informacyjna i kompletne niezrozumienie, które wynikało moim zdaniem z obciążeń przeszłości. Uważano mianowicie, że każde oddziaływanie rządu jest niepopularne, budzi niewiarę, spotka się z brakiem zaufania, będzie traktowane jako propaganda. Ale jest przecież zasadnicza różnica między sztuką oddziaływania rządu demokratycznego, między sztuką oddziaływania rządu w ustroju demokratycznym, a oddziaływaniem w ustroju, w którym monopol propagandy znajduje się w rękach rządu. Z drugiej strony dziennikarze polscy uważali, że jakakolwiek pozytywna ocena rządu odbiera im wiarygodność. Staram się to zmienić. Uważam też, że telewizja i radio w żadnym wypadku nie mogą znajdować się pod kontrolą rządu, a jeszcze bardziej pod kontrolą parlamentu. Muszą mieć swoją niezależność. Ale co innego jest kontrola, a co innego dostęp. Rząd musi mieć dostęp do masowych środków przekazu, po to by móc wytłumaczyć swoją politykę. Ale i opozycja powinna mieć dostęp. Jest to sprawa równowagi. Moim zdaniem pomieszano w Polsce problem dostępu do środków masowego przekazu z problemem kontroli. Jedyнным człowiekiem, który usiłował wyjaśnić politykę rządu i wyjaśniał dobrze, ale był człowiekiem zupełnie osamotnionym, był Jacek Kuroń. Ja próbowałem w tych swoich wystąpieniach telewizyjnych tłumaczyć, że Churchill — jak powiedział o nim przywódca opozycji Attlee — wygrał wojnę gadaniem, że domową wojnę secesyjną wygrał Lincoln swoją sztuką oratorską. Mówiłem to od samego początku i kiedy spotkałem pana Drwicza, powiedziałem mu: panie, pan może odegrać taką samą rolę jak Churchill. On jednak zrozumiał, że ja jego porównuję z Churchillem. Nic podobnego. Teraz będę w jednym z następnych moich wystąpień telewizyjnych próbować to wyjaśnić.

T.T.: — *To Wolna Europa już niepotrzebna.*

J.N.: — Przez cały czas byłem przekonany, że Radio Wolna Europa powinno się zamknąć dokładnie w dniu zniesienia cenzury. Tak myślałem. I że to zamknięcie powinno mieć też jak gdyby dramatyczny i spektakularny charakter, jakiegoś powrotu do Polski, czegoś symbolicznego. Zupełnie zmieniłem zdanie w czasie moich kilkakrotnych pobytów w Polsce. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że Radio Wolna Europa jest powszechnie słuchane. Przeprowadzone sondaże wykazały, że ma dwa razy więcej słuchaczy niż BBC i co najmniej 3 albo 4 razy więcej niż Głos Ameryki. Według ocen konkurencji, czyli Ośrodka Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radio i Telewizji, prawie 3 mln ludzi słucha systematycznie Radia Wolnej Europy. Sam zresztą siedząc w Nieborowie zorientowałem się, że jeżeli nie słucham Wolnej Europy, to właściwie nie wiem dokładnie co się dzieje w świecie i co się dzieje w Polsce. Wolna Europa bowiem w przeciwieństwie do Polskiego Radia nie musi dostarczać rozrywki i edukować słuchaczy. Koncentruje się wyłącznie na serwisie informacyjnym ze świata i z Polski. Zaś serwis informacyjny z Polski — od chwili kiedy powstało biuro Radia Wolna Europa w Warszawie — jest moim zdaniem lepszy niż serwis informacyjny Polskiego Radia.

T.T.: — *Czyli tych kilku dziennikarzy Wolnej Europy, pracujących w Warszawie, obsługuje informacyjnie Polskę lepiej, niż kilka setek ludzi zatrudnionych w Polskim Radio?*

J.N.: — Nie, ja tego nie mówię w tym sensie. Polska ma znakomitych dziennikarzy i nie chciałbym niczego ujmować Polskemu Radiu. Ale po pierwsze: Wolna Europa ma najlepszą zbiornicę wiadomości z Polski i najlepsze biuro studiów materiałów o Polsce oraz rozporządza takimi ułatwieniami jak linie telefoniczne, dzięki którym może w ciągu minuty porozumieć się ze świadkami i uczestnikami wydarzeń albo przez Warszawę, albo wprost. Po drugie po 35 latach działalności zdobyła sobie u słuchaczy wiarygodność, której Polskie Radio jeszcze nie ma, choćby dlatego, że za dużo występuje w nim ludzi, którzy występowali w okresach poprzednich. Sam się z tym zetknąłem. Człowiek, który mnie osobiście atakował poprzednio w sposób absolutnie ubliżający godności dziennikarskiej, dzisiaj przemawia w charakterze mojego entuzjasty, jest to rzecz, która powoduje mdłości. Przez to także istnieje zwyczaj sprawdzania w Wolnej Europie tego, co mówi Polskie Radio. Trzecim atutem Wolnej Europy jest podawanie wydarzeń w kontekście międzynarodowym, w kontekście ogólnoswiatowym, a nie w kontekście parafialnym, prowincjonalnym. Wolna Europa jest więc dobrą i pozytywną konkurencją dla Polskiego Radia, które moim zdaniem,

podobnie jak Polska Telewizja, zatrudnia przede wszystkim zbyt wielu ludzi. Gdzie pracuje dwa tysiące ludzi, niczego przecież nie można zrobić, powinno być kilkuset, rzeczywiście pracujących. Mając tak olbrzymie zaplecze talentów, radio i telewizja powinny zastosować model, który Anglicy i Amerykanie określają jako *skeleton staff*, czyli posiadać szkieletowy personel, a wypełniać program prawie wyłącznie ludźmi z zewnątrz. Poza tym Wolna Europa może się jeszcze przydać z uwagi na niepewność sytuacji, bo w moim przekonaniu demokracja w Polsce jest wciąż zagrożona, więc gdyby nie daj Boże...

T.T.: — *Wewnętrznie czy zewnętrznie?*

J.N.: — Przede wszystkim wewnętrznie. W wypadku załamania się reformy powstaną w Polsce warunki zupełnie identyczne z tymi, jakie powstały w republice weimarskiej: powrót do galopującej inflacji, olbrzymie bezrobocie, nieprawdopodobna frustracja i beznadziejność, warunki, które doprowadziły do wyboru Hitlera. Trzeba stale pamiętać, że Hitler został wybrany w demokratycznych wyborach przez ogromną większość własnego społeczeństwa, które znajdując się w stanie skrajnej frustracji szukało cudotwórcy, który ich życie odmieni. W Polsce już głosowano na cudotwórcę Tymińskiego, nieznanego człowieka, który się przedstawił jako magik sukcesu. Tymiński na razie przegrał, ale jestem przekonany, że znajdzie się spadkobierca Tymińskiego, który sięgnie po jego głosy i będzie demagogiem trzykrotnie większym, bezwzględnie kłamliwym i wykorzysta np. slogany antysemickie, którymi Tymiński się jednak nie posługiwał. Widzę w tym ogromne niebezpieczeństwo. Już w następnych wyborach. Uważam, że demokracja w Polsce będzie zagrożona, jeżeli załamanie się próba przekształceń gospodarczych i politycznych. Wówczas może nastąpić rozczarowanie do samego systemu demokratycznego, może zrodzić się tęsknota do mocnej ręki i nastąpi powrót autokratów. Albo ze skrajnej lewicy — nie lubię tego słowa — czyli ludzi ze starego *establishment*'u, który jak się okazało jest w dalszym ciągu silny i ma swoje podziemie, nie wątpię w to, albo ze skrajnej prawicy. W kontekście tych zagrożeń Wolna Europa powinna nadal nadawać i powinna zaostrzyć niejako swój program, swoją misję. Powinna toczyć walkę ze wszystkimi tendencjami antydemokratycznymi. Powinna być dzisiaj strażnikiem demokracji, obrońcą demokracji, co bynajmniej nie oznacza wdawania się w wewnętrzne rozgrywki ani opowiadania się po czyjejkolwiek stronie. Powinna pozostać. Czy jednak pozostanie, tego nie wiem. Dlatego że zbliża się debata w Stanach Zjednoczonych na temat przyszłości całej struktury tzw. International Broadcast czyli radiostacji politycz-

nych nadających na zewnątrz. I na pewno, choćby ze względów fiskalnych, ujawnią się tendencje do jakiegoś scalenia Głosu Ameryki i Wolnej Europy. Moje stanowisko, które przedstawię jako doradca rządu amerykańskiego jest takie, że o utrzymaniu lub likwidacji musi zdecydować audytorium w danych krajach, należy zbadać, który model z obecnie funkcjonujących rozgłośni jest najlepszy: Wolnej Europy, Głosu Ameryki czy BBC. Może należy właśnie zostawić model Wolnej Europy, który zdał egzamin także w radio Marti nadającym do Kuby, a zlikwidować Głos Ameryki. Albo — powiem — jeżeli nie chcecie likwidować Głosu Ameryki żeby nie utracić pewnej marki i dostępu rządu amerykańskiego do słuchaczy w Polsce, to zróbcie tak, żeby to była godzina Głosu Ameryki na falach Wolnej Europy, raz czy dwa razy w ciągu dnia. Taki system zastosowało teraz w Polsce BBC i nadaje przez godzinę, od dziesiątej do jedenastej, na falach Polskiego Radia. Dlaczego więc Głos Ameryki nie miałby nadawać na falach Wolnej Europy? W tym kierunku będą szły moje postulaty, bo niestety bardzo wątpię, by na dłuższą metę, mam na myśli trzy albo cztery lata, obecny podział i pewna duplikacja programowa między Głosem Ameryki a Wolną Europą dały się utrzymać.

T.T.: — *A kto właściwie teraz — pana zdaniem — rządzi w Polsce?*

J.N.: — Na razie jest struktura demokratyczna i władza jest podzielona pomiędzy rząd i parlament, który nie jest jeszcze w pełni demokratyczny, ale w którym jest znaczna grupa posłów demokratycznie wybranych.

T.T.: — *A ja widzę Kościół, wszędzie dużo Kościoła.*

J.N.: — Nie, nie. Kościół jest bardzo ważną i znaczącą siłą polityczną, ale nie uczestniczy w rządach i nie wydaje mi się, żeby chciał sięgać po władzę polityczną.

T.T.: — *I nie będzie już wkrótce rządził wspólnie z radą prezydencką?*

J.N.: — Za wcześniej wydawać sądy o radzie prezydenckiej. Ostatecznie prezydent ma prawo dobierać sobie doradców. Pod jednym warunkiem, że nie będą oni mieli żadnych uprawnień decyzyjnych, nie będą mogli podejmować wiążących innych uchwał. Prezydent Stanów Zjednoczonych też utworzył Narodową Radę Bezpieczeństwa, wcale nie pytając o to Kongresu Amerykań-

skiego. Rada Bezpieczeństwa nie może oczywiście robić niczego, co naruszałoby konstytucję. Dlatego samo powołanie rady prezydenckiej nie jest jeszcze żadnym naruszeniem konstytucji. Chyba że stanie się instytucją o prerogatywach nie przewidzianych przez prawo.

T.T.: — *Biurem Politycznym.*

J.N.: — Chyba, że stanie się instytucją, uprawnioną do podejmowania decyzji albo do narzucania swego zdania rządowi. Szczerze mówiąc bardziej niepokoi mnie ogromna liczba ludzi skupionych wokół Wałęsy, którym nadał on tytuły ministrów, dublujących kompetencje ministrów. Tego rodzaju model stanowi w moim przekonaniu źródło tarć i konfliktów kompetencyjnych, które nie są wskazane.

T.T.: — *A może to przyszedł rząd?*

J.N.: — Mam nadzieję, że nie, nie chcę wyprzedzać wypadków. Choć na pewno niepokoi, jeżeli jest minister spraw wewnętrznych i drugi minister przy prezydencie, który ma ten sam zakres kompetencji. Dla mnie to źródło konfliktów, zarówno osobistych jak chyba prawnych.

T.T.: — *Tak było w Biurze Politycznym.*

J.N.: — Ale z drugiej strony trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że w każdym państwie demokratycznym prezydent, nawet bardzo ograniczony w swoich uprawnieniach, ma sztab swoich ludzi, którzy mu podsuwają oceny, proponują decyzje i nigdy nie można takiego człowieka ograniczyć w doborze współpracowników. Każdy prezydent ma prawo dobierania sobie sztabów. Różnica polega tylko na tym, że rzadko się zdarza, by nadawał tym ludziom tytuł ministrów, bo tytuł ministra oznacza prerogatywy wykonawcze. Z ocenami globalnymi trzeba jednak poczekać.

Waszyngton, 22 I 1991

*Rozmawiała Teresa TORAŃSKA*

## Sprawy i troski

### Bezkarne nadużycia

Ogromne nadużycia. Próba zabójstwa. Potem przekupstwa. W końcu zamknięcia w domu wariatów. Sprawa ciągnie się od kilkunastu lat. Należałoby wyjaśnić wszystkie wątpliwości — stwierdza Rzecznik Praw Obywatelskich prof. dr Ewa Łętowska w wystąpieniu do Prezydium Sejmu w 1989 r. Niestety, do dziś brakuje pełnego wyjaśnienia.

Oto fakty i konsekwencje, które nastąpiły po zawiadomieniu władz o ewidentnym złodziejstwie, karalnej niegospodarności i miliardowych szkodach powstałych na budowach eksportowych w Libii, RFN i ZSSR.

Pracując na kontraktowych budowach w Libii w latach 1974-1976 i w roku 1983 oraz jako dyrektor Biura Eksportu Państwowego Przedsiębiorstwa „Pracownie Konserwacji Zabytków” w Warszawie w okresie 1978-1980 — wielokrotnie zwracałem się do naczelnych organów władzy państwowej, politycznej i organów ścigania. W raportach, skargach i petycjach do nich kierowanych informowałem o nadużyciach na sumę ca 160 milionów dolarów USA i 1,149 miliarda złotych. Bezskutecznie! Nadużycia dokonane na budowach eksportowych stały się przedmiotem wielu uchwał i rezolucji. Pierwsi podjęli je studenci z Uniwersytetu Warszawskiego, Rady Uczelnianej SZSP i Ośrodka Pracy Politycznej „Sigma” oraz RU Zrzeszenia Studentów Polskich Uniwersytetu Wrocławskiego. Następnie rady pracownicze wielu fabryk, przedsiębiorstw, zakładów, hut i stoczni, m.in. zakładów „Elwro” i „Polaru” we Wrocławiu, Huty „Warszawa” w Warszawie, Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego w Szczecinie, Zakładów Cegielskiego w Poznaniu i wiele, wiele innych. Uchwały i rezolucje podejmują Ruch Alternatywnego Myślenia, Wielkopolskie Porozumienie Samorządu Załóg, Rada Okręgowa ZSP we Wrocławiu oraz liczne związki zawodowe spod znaku OPZZ i „Solidarności”. A także górnicy Wspólnoty Wąbrzych: KWK „Thorez”, KWK „Victoria”, KWK „Wąbrzych”, KWK „Nowa Ruda” i ZGR „Wąbrzych”. W odezwach kierowa-

nych wówczas do KC PZPR, Sejmu, Rady Państwa, premiera, prokuratora generalnego i uczestników „Okrągłego Stołu” domagano się osądzenia, zgodnie z prawem, osób odpowiedzialnych za straty poniesione przez polską gospodarkę w trakcie realizacji kontraktów zagranicznych oraz zaniechania szykan i represji wobec mojej osoby. Bezskutecznie!

Dnia 27 sierpnia 1988 roku obradująca w Krakowie Międzynarodowa Konferencja Praw Człowieka, której celem „była wzajemna wymiana informacji na temat stanu przestrzegania praw człowieka na świecie” — w podjętej uchwale stwierdza m.in.: „Na uwagę także zasługują represje wobec Zbigniewa Demidowa z Wrocławia, których wyjaśnienia żądamy...”. Bezskutecznie!

Dnia 29 września 1988 roku Amerykański Komitet „Helsinki Watch” w Nowym Jorku zwraca się do Prokuratora Generalnego PRL Józefa Żyto. Pisze on m.in.: „Nasza organizacja jest zainteresowana sprawą dr. Demidowa i uprzejmie prosi o udzielenie informacji na temat jej bieżącego stanu prawnego. (*Our organization is concerned about the case of Demidow and would appreciate receiving information about its current status*). Wystąpienie podpisał p. Jeri Laber, Executive Director. Nie wiem, co odpowiedział Prokurator Generalny, jeśli odpowiedział. Nic jednak się nie zmieniło.

Dnia 10 grudnia 1988 roku na Uniwersytecie Wrocławskim odbywa się II Forum w „sprawie Demidowa”. Obradom przewodniczy prof. dr hab. Andrzej Wiszniewski (obecnie Rektor Politechniki Wrocławskiej). Na tym Forum były rozpatrywane i oceniane pod względem prawnym materiały dotyczące strat i nadużyć na polskich budowach w Libii oraz RFN i ZSSR. W dokumentach II Forum stwierdza się m.in.: „Ogółem ujawnione i udokumentowane przez Demidowa i innych fakty w latach 1974-1976 i 1982-1983 kosztowały gospodarkę narodową 160 mln dol. USA i 1,149 mld złotych. Polegały one m.in. na: złomowaniu nowych części zamiennych, sprzedawaniu stali obywatelom libijskim uzyskując ceny kilkakrotnie niższe od cen zakupu (na transakcje te brak było zapłaty), płaceniu niektórym dostawcom lub obcym przewoźnikom za większe ilości cementu od potwierdzonych przez magazynierów... zakupowaniu spycharek o stopniu zużycia 40-70 % po cenach niekiedy wyższych niż za nowe tego samego typu z gwarancją... używaniu do budowy dróg kruszywa, które zostało zdyskwalifikowane badaniami laboratoryjnymi, a więc nie nadającego się do użycia, skutkiem tego nieodebranie dróg przez inwestora libijskiego, zrywaniu nowej nawierzchni i kładzeniu jej od nowa, a w konsekwencji olbrzymich stratach... Stan faktyczny przedstawiony przez Z. Demidowa wyczerpuje znamiona przestępstw z art. 217 kodeksu karnego oraz w niektórych wypadkach art. 202 § 1, 2 kodeksu karnego...”. Koniec cytatu. Przepis art. 202 kk mówi, że jeżeli sprawca zagarnia mienie znacznej wartości, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze 25 lat pozbawienia wolności. Karalność przestępstwa ustaje, jeżeli od czasu jego popełnienia upłynęło lat 20.

W apelu przesłanym do Sejmu uczestnicy II Forum w „sprawie Demidowa” apelują do posłów i wszystkich obywateli, pisząc m.in.: „Nie POZWÓLMY, aby Polskę bezkarnie okradano, marnowano jej majątek. NIE POZWÓLMY, aby prawi jej obywatele jak np. Zbigniew Demidow stawali się obiektem bezprawnych szykan...” Bezskutecznie!

Styczeń 1980 — czerwiec 1989 roku. W piśmie ministerialnym padają stwierdzenia: „(...) Zaginęło 200-300 przesyłek z Polski do Libii. Sprawa nie była przedmiotem kontroli MHZiGM. — Sprawa ca 20 poważniejszych kradzieży. Temat nie był przedmiotem kontroli MHZiGM...”. Pisze to Główny Specjalista Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej Marian Kwiecień w urzędowym piśmie pt.: „Notatka w sprawie zasadności stwierdzeń Ob. Z. Demidowa w świetle wyników kontroli CHZB „Budimex” w zakresie eksportu budownictwa w Libii” z 25.01.1980 roku. Notatkę przekazano Prokuraturze. Jeszcze większe osłupienie wywołuje oświadczenie prokuratora Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, Janusza Kalwasa, złożone 27 czerwca 1989 r., cytuję: „(...) instytucje, do których się zwrócił o przeprowadzenie kontroli w tej sprawie, odmówiły prowadzenia kontroli...”. Prokurator więc nawet nie sprawdził moich paragrafów i nie mógł (nie chciał, nie umiał?) dopasować żadnego paragrafu do rekinów eksportu. Ale działał! Bezskutecznie!

Lata 1988-1989. Sprawę podejmuje Rzecznik Praw Obywatelskich. Z bogatego materiału dowodowego wynika, że wyniki kontroli ustalające straty przekazywane były wicepremierom oraz ministrowi budownictwa, ale osoby odpowiedzialne nie poniosły konsekwencji. Natomiast „Dr Demidow rzeczywiście podlegał działaniom dyskryminującym i szykanom” — stwierdza prof. Ewa Łętowska. Dość tu podać, że trzykrotnie byłem zwolniony z pracy bezprawnie i bezzasadnie. Trzy razy wydano „Postanowienie” o poddaniu mnie badaniom psychiatrycznym: pierwsze podpisał prokurator mgr Ewa Majka-Sobolewska, drugie — z-ca Prokuratora Rejonowego mgr Wojciech Kubiński, trzecie — asesor Prokuratury Rejonowej mgr Jacek Leszczyński. Wszyscy z Rejonowej Prokuratury Wrocław Krzyki. Ostatnie „Postanowienie” mówiło o przeprowadzeniu badań psychiatrycznych w IV Okręgowym Szpitalu Wojewódzkim, mimo że w wojsku nie służyłem. O zarządzeniu badań psychiatrycznych wiedzieli Prokurator Generalny i Prokurator Wojewódzki we Wrocławiu, do których się odwoływałem. Rzecznik Praw Obywatelskich uznał za, cytuję: „niedopuszczalne zarządzenie badań psychiatrycznych”. Zdaniem Rzecznika Praw Obywatelskich była to szykana, mająca na celu przymuszenie mnie do zaniechania działalności. „A to są działania naruszające prawa i wolności obywatelskie, a także zasady sprawiedliwości społecznej”.

Styczeń 1990 rok. Powołując się na przepisy ustawy z 24 maja 1989 r. o przywróceniu praw pracowniczych osobom pozbawionym zatrudnienia za działalność związkową, samorządową, przekonania

polityczne i religijne (zmienionej ustawą z 7 grudnia 1989 r.) — proszę o przywrócenie mi praw pracowniczych. Albowiem od 1983 r. wciąż jestem bezrobotny (licząc wcześniejsze okresy pozostawania bez pracy już 11 lat łącznie). Przedkładałem wymagane dokumenty. Dyrektor PEBK „Dromex” w Warszawie odmawia. Odwołuję się. Społeczna Komisja Pojednawcza przy Ministrze Pracy i Polityki Socjalnej kieruje błędnie sprawę do rozpoznania przez Sąd Wojewódzki we Wrocławiu. Właściwy do jej rozpoznania Sąd w Warszawie jeszcze nie rozpatrzył sprawy. Teraz mamy styczeń 1991 roku. Sądziłem, że jest to sprawa prosta. Myślałem naiwnie. Czekam. Bezskutecznie!

Dnia 19 lutego 1990 roku Biuro Interwencji Senatu pisze do Ministra Sprawiedliwości Aleksandra Bentkowskiego. W piśmie tym można przeczytać: „Biuro Interwencji Senatu zwraca się do Pana Ministra z prośbą o podjęcie działań w celu zakończenia tzw. 'sprawy Demidowa'... Opinia publiczna jest zbulwersowana następującymi faktami: ludzie odpowiedzialni za nadużycia i marnotrawstwo nie ponieśli odpowiedzialności (niektórzy nawet awansowali); — ludzie odpowiedzialni za zatuszowanie sprawy i powodujący bezkarność winnych nadal zajmują swoje stanowiska w Resorcie Sprawiedliwości; — ludzie, którzy w maju 1975 złożyli 'zawiadomienie o nadużyciach na budowie K-7000 F' czyli dr Zbigniew Demidow i mgr Alfred Tragarz nie tylko nie uzyskali uznania za swą społeczną postawę, ale jeszcze w roku ubiegłym podlegali szykanom.

Liczmy na pilne podjęcie działań i pełne poinformowanie opinii publicznej o wynikach”.

Dnia 19 lipca 1990 r. Rzecznik Praw Obywatelskich pisze do mnie m.in.: „Rzecznik Praw Obywatelskich rezultaty swoich ustaleń przedstawił Prezydium Sejmu i z polecenia Marszałka Sejmu przedstawił je także Ministrowi Sprawiedliwości, Ministrowi Spraw Wewnętrznych i Ministrowi Współpracy Gospodarczej z Zagranicą... Rzecznik Praw Obywatelskich nie może jednakże zastępować organów administracji lub organów prokuratury.

Sprawę 'podwójnych umów' o wynagrodzenie (na budowach eksportowych — ZD) Rzecznik Praw Obywatelskich przekaze według właściwości Prokuraturze”.

Dnia 20 września 1990 r. chwyta się mnie kolejny raz za gardło. Wstrzymuje się wypłatę zasiłku, który mi przyznano — jako osobie bezrobotnej — w wysokości 120 tys. zł miesięcznie. Wstrzymano bezprawnie. Sprawę podjął Rzecznik Praw Obywatelskich. Bezprawność potwierdził dyrektor Wojewódzkiego Biura Pracy mgr Andrzej Flank. Za zaistniałą sytuację przeprasza.

Dnia 12 października 1990 r. Sąd Rejonowy Wrocław Krzyki, rozpatrując sprawę o podwyższenie alimentów, którą wniosła b. żona, postanawia skierować mnie na badania do zakładu Medycyny Sądowej. Dobrowolnie na te badania nie pójde, bo nie mnie są one potrzebne. Wcześniej prokuratorzy kierowali mnie na badania psy-

chiatryczne. Ci, którzy kierowali mnie na nie bezprawnie, zostali zweryfikowani i nadal pracują w Prokuraturze. Z kolei teraz jakieś wygibasy wykonuje sam Wysoki Sąd.

Sprawcy ogromnych nadużyć nie stanęli przed sądem. I nie staną, jeśli z oskarżeniem nie wystąpi prokurator. Albowiem ani obywatel, ani organizacja (społeczna czy urzędowa) nie mają prawa oskarżać kogokolwiek przed sądem o zabór mienia społecznego bądź niegospodarność, więcej — nawet nie mają prawa żądać od organów ścigania wszczęcia śledztwa lub dochodzenia. Wynika to z przepisów znowelizowanego w 1969 roku kodeksu karnego, w którym ustawodawca socjalistyczny przewidział w sprawach o przestępstwa — dwie odmienne zasady ścigania: z urzędu i na wniosek. Gdy chodzi o przestępstwa przeciwko mieniu społecznemu i niegospodarność, to należą one do rzędu tych, których ściganie następuje z urzędu. Nigdy na wniosek. Taka jest logika systemu prawnego ustanowionego w Polsce Ludowej i nadal obowiązującego w Rzeczypospolitej Polskiej.

Zbigniew DEMIDOW

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.



## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Od poprzedniego przeglądu prasy sowieckiej upłynęły dwa miesiące. Przez ten czas sytuacja w Związku Radzieckim nieco się wyjaśniła. Nawet najgorętsi zwolennicy Gorbaczowa muszą przyznać, że *perestrojka*, którą uważali za demokratyzację, liberalizację, przekształcenie państwa sowieckiego w normalny kraj — skończyła się. Nietrudno było to zauważyć i przedtem. Ci, którym marzył się „Gorbaczow o ludzkim obliczu”, muszą wreszcie przetrzeć oczy. Lenin lubił mawiać, że fakty są uparte. Spójrzmy na taki oto fakt. Pod koniec ubiegłego roku przeprowadzono w Moskwie ankietę na temat słownictwa *periestrojki*. Okazało się, że najbardziej zniechęcającym słowem jest sama *periestrojka*. Istnieją jednak i poważniejsze fakty. 20 grudnia na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR minister spraw zagranicznych Edward Szewardnadze ku zaskoczeniu wszystkich podał się do dymisji, tłumacząc tę decyzję niebezpieczeństwem nadchodzącej dyktatury.

Dramatyczne ostrzeżenie byłego bliskiego przyjaciela generalnego sekretarza i prezydenta zrobiło wrażenie, ale pozostawiło wiele pytań bez odpowiedzi. O jakiej dyktaturze mówił Szewardnadze? O dyktaturze Gorbaczowa? Jeśli tak, to dlaczego ocknął się tak późno? Jeszcze w lutym 1990 r. gorąco bronił Gorbaczowa, kiedy Jegor Ligaczow przekonywująco oskarżał go o to, że to on wydał rozkaz, aby „skończyć z manifestacjami w Tyflisie”. Rezultatem tego rozkazu była, jak wiadomo, krwawa rzeź w stolicy Gruzji. Jeśli Szewardnadze miał na myśli „czarnych pułkowników”, tzn. armię i KGB — to dlaczego nie powiedział tego jasno? Niejasne też były powody, dla których wybrał akurat ten moment dla dymisji. Zachód, który pokochał szefa dyplomacji sowieckiej prawie tak namiętnie jak samego Gorbaczowa, zastanawiał się nad powodami jego decyzji, najbardziej prawdopodobnych jednak nie brał pod uwagę. W Moskwie wszyscy wiedzieli, że minister spraw zagranicznych ponad trzy tygodnie bezskutecznie dobijał się o audiencję u generalnego sekretarza. Kiedy zrozumiał, że jego dni na stanowisku

ministra są policzone, postanowił uprzedzić byłego przyjaciela. W ten sposób zniknął ze sceny ostatni z ludzi, z którymi Gorbaczow doszedł do władzy. Co więcej, sukcesy Szewardnadze na arenie międzynarodowej nie mogły być w smak Gorbaczowowi, który nie znosi silnych osobowości. Wśród niezliczonych stanowisk, które piastuje Gorbaczow, dwa mają zasadnicze znaczenie: generalny sekretarz i prezydent. Na zastępców dobrał sobie szaraków — Władimira Iwaszko i Genadija Janajewa. Jako przewodniczący Rady Najwyższej ZSSR na zastępcę wybrał Anatola Łukianowa, osobnika równie szarej maści co poprzedni.

Duchowe cierpienia Szewardnadze nie zasługiwałyby na uwagę kronikarza, gdyby Gorbaczow pod koniec stycznia nie pokazał, że mówiąc o nadchodzącej dyktaturze, Szewardnadze miał na myśli jego. Chodzi mi o wydarzenia w Nadbałtyce — zabicie spokojnych obywateli w Wilnie, a następnie w Rydze. Nie ma potrzeby wracać do tych szczegółowo opisanych w prasie wydarzeń: Moskwa nie miała nic przeciwko temu, aby szczegóły operacji były znane światu. Gorbaczow chciał pokazać, że kiedy trzeba, bez oporów użyje siły. Jednak zgodnie ze swoim obyczajem nie wziął na siebie odpowiedzialności za rozkaz strzelania do tłumu. Równocześnie nie zważał się przed nadaniem wyższego stopnia wojskowego ministrowi spraw wewnętrznych Borysowi Pugo, którego wojska stacjonują w Nadbałtyce: generał-major został generałem-pułkownikiem w nagrodę za morderstwa.

Amerykański dziennikarz Bill Keller, który od czterech lat kieruje biurem *New York Times'a* w Moskwie, napisał w ostatnim reportażu, że *periestrojka* trwała od dzwonka do dzwonka: w lutym 1986 Gorbaczow zadzwonił do Andrieja Sacharowa i tym otworzył nową erę, a 3 stycznia 1991 prezydent Litwy Vytautas Landsbergis zadzwonił do Gorbaczowa, prosząc o wyjaśnienie prowokacyjnych operacji wojskowych w Wilnie. W odpowiedzi usłyszał od sekretarza, że prezydent śpi i polecił, aby go nie budzić.

Koniec *periestrojki* jest oczywisty. Skończyły się dyskusje na temat reformy ekonomicznej. W październiku ubiegłego roku Gorbaczow odrzucił słynny „plan 500 dni”. W rzeczywistości nie istniał żaden plan, a tylko propagandowa sieczka, obliczona na sowiecką mentalność. Jak wyjaśnił w paryskim radio autor planu, Stanisław Szatalin, najważniejsza w nim była liczba „500 dni”. To ona miała stymulować: minęło już 10, 30, 50 dni, dokąś zmierzamy. Zasada była ta sama co przy „pięciolatkach”. Mimo to plan nazwano reformą ekonomiczną. Gorbaczow nie zgodził się nawet na taki produkt zastępczy. Zamiast reformy pod koniec stycznia okradł ludność, usuwając z obrotu banknoty 50-cio i 100-rublowe. Dla przyszłych historyków wypada odnotować, że ostatnie dwie pensje wypłacano tylko w dużych asygnatach i że wymienić wolno było

tylko 1000 rubli. Pozostałe pieniądze przepadały. „Reformę” tę tłumaczono różnie. Najpierw mówiono, że chodzi o uderzenie w mafie i spekulantów. Wszyscy jednak wiedzieli, że to bzdura, bo mafiosi i spekulanci dawno już przestali gromadzić swoje łupy w rublach i przeszli na złoto i dolary. W lutym premier Walentin Pawłow, były minister finansów, zaproponował nowe, znacznie ładniejsze wyjaśnienie. W wywiadzie udzielonym pismu *Trud* (12.2.91) wyznał, że zachodni kapitaliści postanowili obalić Gorbaczowa i zaczęli zalewać ZSSR banknotami o wysokim nominale. Miało to spowodować inflację, chaos, krach, upadek prezydenta i restaurację kapitalizmu. Spisek upadł, ale kapitaliści nie śpią i dalej uprawiają swe wywrotowe działania. Trzeba być czujnym, orzekł premier. Poważni ekonomiści obliczyli, że konfiskata wysokich nominałów ściągnęta z obrotu pieniężnego 8 miliardów rubli — sumę śmieszną w porównaniu z corocznym 100-miliardowym deficytem budżetu sowieckiego. Najważniejsze jednak się udało: zaostrzono czujność człowieka sowieckiego i stworzono wrażenie, że prezydent coś robi.

We wszystkie spektakularne sukcesy *pieriestrojki* można było wątpić — poza jednym: rozwojem tzw. *glasnosti*. Rzeczywiście pozwolono mówić o wielu sprawach poprzednio absolutnie zakazanych. Rozkwitła prasa „nieformalna” a w „formalnej”, czyli oficjalnej, zaczęły ukazywać się publikacje bardzo krytyczne pod adresem systemu sowieckiego, szczególnie minionego, ale nierządki i obecne. Latem ubiegłego roku uchwalono ustawę prasową, która zdawała się przypieczętować wolność prasy. Wydawało się, że nie ma od niej odwrotu. W każdym razie wielu ludzi tak twierdziło. Tym większym zaskoczeniem był dla nich odwrót, który rozpoczął się w bieżącym roku.

W styczniu Michaił Gorbaczow zażądał na posiedzeniu Rady Najwyższej, aby „czasowo” zawiesić działanie ustawy prasowej: nie spodobała mu się interpretacja wydarzeń w Nadbałtyce w niektórych organach prasowych. Rada Najwyższa nie przyjęła jego propozycji, tylko odesłała ją do rozpatrzenia specjalnej komisji. Można nie mieć wątpliwości, że komisja znajdzie odpowiednią formułę, która pozwoli spełnić życzenie generalnego sekretarza i zarazem sprawić wrażenie, że „parlament” jest niezależny. Na razie dano sygnał: *glasnost* ruszyła pełną parą wstecz. Widać to przede wszystkim w telewizji.

Prezes Komitetu Radia i Telewizji (*Gosteleradio*) Leonid Krawczenko, mianowany na to stanowisko pod koniec minionego roku, szybko uporał się z najodważniejszymi audycjami i przywrócił telewizję do stanu przed *glasnosti*. Na konferencji prasowej w styczniu tego roku tłumaczył korespondentom zagranicznym, że jest kategorycznie przeciwny ekstremistom — z prawa i z lewa. Na pytanie, kto ustala linię pośrednią, padła zwięzła odpowiedź: ja! 8 lutego Michaił Gorbaczow dekretem prezydenckim przekształcił Komitet Radia i Telewizji w Kompanię Telewizyjną ZSSR. Cel tej zmiany

nazwy? Odebranie kontroli nad telewizją (choćby tylko formalnej) Radzie Najwyższej i podporządkowanie jej osobiście Gorbaczowowi.

Odwrót od *glasnosti* widoczny jest też w prasie drukowanej. Była „latarnia” *glasnosti*, *Ogoniok*, zaczęła zmieniać oblicze. Naczelny redaktor pisma, Witalij Korotycz, który nie raz już zmienił poglądy, doszedł widocznie do wniosku, że nadeszła pora na kolejną ich rewizję. Fakt, że pierwszy i główny cios spadł na telewizję nie jest przypadkiem. Sowiecka prasa zaczęła w szybkim tempie tracić czytelników: nakłady gazet i czasopism spadają. Sensacyjne, demaskatorskie artykuły przestały ludzi interesować, bo już do nich przywykli, a przede wszystkim życie jest z dnia na dzień trudniejsze. Telewizja stała się znów, tak jak poprzednio, głównym źródłem informacji, dlatego Gorbaczow tak o nią zabiega. Wyrazem tej troski była napaść na siedzibę telewizji w Wilnie: od tego ma się zacząć „normalizacja”.

Światowa prasa toczy spory, kto jest winien porażce *pieriestrojki*. Po zniknięciu niezastąpionego jastrzębia Jegora Ligaczowa coraz trudniej bronić Gorbaczowa. Komentatorzy jednak bronią go nadal i o wszystko obwiniają „generałów” i KGB. Oskarżenia nie są bezpodstawne. I generałowie, i kierownictwo KGB są coraz bardziej widoczni. Dobrze widać też ich podwładnych: „czarne berety” walczące w Nadbałtyce, patrole na ulicach miast sowieckich. KGB cieszy się coraz szerszymi pełnomocnictwami. „Czekistom” zlecono kontrolę nad napływającą z Zachodu pomocą żywnościową. Jeśli przy wymianie pieniędzy ktoś chciał wymienić więcej niż 1000 rubli, musiał wytłumaczyć pochodzenie pieniędzy komisji, w której zasiadał współpracownik „organów”. Ustawa o kontroli przedsiębiorstw, zwłaszcza kooperatyw (oficjalnie tłumaczy się, że chodzi o kontrolę nad mafią) przewiduje, że w kontroli będą brali udział ci sami „czekiści”. Wolno im też kontrolować tzw. *joint-ventures*, tzn. spółki mieszane sowiecko-za graniczne. 11 grudnia 1990 r. przewodniczący KGB Władimir Kriuczukow oświadczył, że „KGB będzie bronić prawa i porządku, blokując wszystkie siły, które chcą rozerwać Związek Sowiecki na strzępy”. Wytłumaczył, że „niektóre ruchy polityczne są manipulowane przez siły zagraniczne”, a „zagraniczne tajne służby prowadziły i prowadzą niewypowiedzianą wojnę przeciw ZSSR”. 17 grudnia Michaił Gorbaczow mówił o „mrocznych siłach nacjonalizmu”, z którymi należy bezlitośnie walczyć, a w tym celu udzielić mu nadzwyczajnych pełnomocnictw. W lutym natomiast premier Ryżkow tłumaczył ciężkie położenie w ZSSR knowaniami cudzoziemców, „przede wszystkim bankierów”. Jest charakterystyczne, że kiedy Stanisław Szatalin występował 18 grudnia we francuskim radio, tłumaczył rozszerzenie kontrolnych funkcji KGB tym, że tylko tam przetrwali jeszcze „aktywni, nieprzekupni ludzie”...

Najważniejszy jest oczywiście fakt, że są to ludzie wierni Gor-

baczowowi. Kiedy uznaje to za niezbędne, bez najmniejszych kłopotów przeprowadza zmiany w dowództwie armii albo KGB (w lutym 1991), zwalnia jednych, mianuje drugich... „Odplywowi” *pieriestrojki* towarzyszy powrót na pierwszą linię frontu partii. 31 stycznia zebrało się w Moskwie plenum KC KPZS i zażądało przywrócenia „ładu konstytucyjnego”. Poprzedniego dnia komentator *Moskowskich nowostiej* Dimitrij Kazutin pisał: „Znowu czuję się partii komunistycznej, opartą na jej aparacie, na armii, na jej majątku i prasie. Nie jest to oczywiście już ta partia, której służyłem przez trzydzieści dwa lata. Ale jest to wciąż partia silna, zdolna do życia i niebezpieczna”.

Dimitrij Kazutin chciał powiedzieć, że partia, której służył przez trzydzieści dwa lata, była silniejsza i bardziej zdolna od życia. Abstrahując od pytania, dlaczego komentator służył przez jedną trzecią stulecia potężnej partii, a opuścił ją w chwili, kiedy osłabła, trudno się z nim nie zgodzić, że KPZS zachowała cały swój wigor. Formalnie zrezygnowała z „kierowniczej roli”, którą do niedawna zapewniała jej konstytucja, straciła autorytet i pozwala się krytykować, ale wciąż jest jedyną strukturą władzy w ZSSR. Jej komórki istnieją nadal we wszystkich instytucjach i przedsiębiorstwach, rejonach, miastach, obwodach i republikach. Partia, co Gorbaczow wielokrotnie podkreślał, jest nadal „partią rządzącą”. Akademik Oleg Bogomołow, deputowany do Rady Najwyższej ZSSR, nie ma wątpliwości: „Kto myśli, że system administracyjno-nakazowy się skończył, ten jest w błędzie. Wszystkie instytucje włącznie z centralą zaopatrzenia, urzędem planowania i ministerstwami istnieją i rozwijają się doskonale... System administracyjno-nakazowy jest szczególnie silny w terenie, a zresztą także w centrali, w przeciwnym przypadku nasz prezydent nie byłby generalnym sekretarzem”.

Akademik Bogomołow trafił w sedno. Zachód nazywa Michaiła Gorbaczowa prezydentem. Jest to słuszne, ale tylko w pięćdziesięciu procentach. Drugie pięćdziesiąt procent jest generalnym sekretarzem KC KPZS. A partia wciąż jest głównym instrumentem siły. To partia — jak zawsze w dziejach ZSSR — rządzi wojskiem i KGB. Partia zaś to tyle, co jej wódz. Niektórzy uważają, że jej obecny szef nie jest dość silny i radzą mu, żeby brał przykład z poprzedników. Na to, by powoływać się na Stalina, jest jeszcze za wcześnie. Dlatego sekretarz moskiewskiej organizacji partyjnej Jurij Prokofiew oświadczył na konferencji prasowej 5 lutego, że na wzór zupełnie niezłe nadaje się generał Pinochet. Myśl Prokofiewa jest prosta: przy przejściu do systemu rynkowego potrzebna jest twarda ręka. Pytanie tylko, komu jest potrzebny system rynkowy.

Sporo specjalistów uważa, że rynek przynosi same kłopoty, podczas gdy wszystko można załatwić starymi, słusznymi metodami. Na dowód przytaczają poważne argumenty. Na przykład 2 stycznia 1991 ukazał się w *Prawdzie* wywiad z prezesem komitetu cen, Anatolem Kominem, który oświadczył, że produkcję alkoholu należy zwiększyć o 35-40%, aby nareszcie wróciła do poziomu z 1985

roku. Przy tym Komin natychmiast uspokoił naród: cena wódki pozostanie bez zmian. Jest to niewątpliwie najlepsza nowina, jaką przyniósł ludziom sowieckim nowy 1991 rok. Wypada odnotować, że pierwszą akcją *pieriestrojki* była kampania przeciwalkoholowa. To przez nią spadła produkcja głównej pocieszycielki narodu. Teraz wreszcie wszystko wróci do normy. 11 marca 1991 świat obchodził sześćdziesiąte rocznice rządów Michaiła Gorbaczowa.

14.2.1991

Adam KRUCZEK

## FUNDACJA „ZAOLZIE”

Przemiany demokratyczne w Czechosłowacji, jak już o tym wspominałem w mej pierwszej relacji o Zaolziu (*Kultura* nr 6/1990), wyzwoliły wśród ludności polskiej nowe inicjatywy społeczne, pobudzając do życia dawne organizacje nauczycielskie, literackie, harcerskie itd. Jednakowoż pomimo tak doniosłych przemian oraz okazjynie powtarzanych zapewnień „dobrej woli” ze strony władz w Pradze, ogólna sytuacja Polaków na Zaolziu przedstawia się nadal żałośnie. Dotyczy to zarówno przeszłości w zakresie szkolnictwa, wznawiania działalności polskich organizacji narodowych, jak również problemów z odzyskiwaniem utraconych majątków polskich na tym terenie. Wszystkie wymienione tu sprawy zostały poruszone przez przedstawicieli Rady Polaków w Czechosłowacji na przyjęciu u prezydenta Havla w dn. 15 października 1990, z prośbą o pomoc i zrozumienie, lecz jak dotąd obiecanej poprawy nie widać. Dotychczasowe szkany władz czeskich przybrały wprawdzie formy bardziej cywilizowane, lecz w zasadzie urzędy postępują się identyczną argumentacją, co dawniej komuniści. Sprawa otwarcia (zamkniętych od r. 1981) granic z Polską również nie ruszyła z miejsca. Europa, do której Czechosłowacja tak się śpieszy, najwidoczniej nie obejmuje Śląska Cieszyńskiego.

Wielkim wydarzeniem na Zaolziu był pierwszy w historii tego rejonu, jedyny w swoim rodzaju Światowy Zjazd Zaolziaków na przełomie września i października 1989 r., zorganizowany z inicjatywy redakcji miesięcznika *Zwrot* w Cz. Cieszyńcu. Na zjazd przybyli licznie — w tym wiele wybitnych osobistości — Zaolziacy z różnych zakątków świata, Australii, Ameryki, Europy Zachodniej, Anglii, no i oczywiście z Polski. Dla wielu uczestników, byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i Armii Krajowej, było to pierwsze, emocjonalne zetknięcie się z „ojcowizną” po przeszło

półwiekowej rozłące. Honorowymi gośćmi zjazdu byli przedstawiciele ambasady i konsulatu RP w Czechosłowacji. Pierwsze światowe spotkanie Zaolziaków odbiło się szerokim echem również w krajowych środkach przekazu. Jak to odnotował m.in. *Głos Ziemi Cieszyńskiej*, „Zaolziacy zademonstrowali tu przywiązanie do polskości w nieznanym już prawie w Polsce aspekcie walki o tożsamość narodową”.

Światowy Zjazd Zaolziaków był nie tylko mocnym emocjonalnym przeżyciem dla organizatorów i uczestników, lecz zrodził również pomysł utrwalenia i rozszerzenia kontaktów między Polakami na Zaolziu a rodakami w świecie. Praktycznym wynikiem tej idei jest powstanie Ruchu Społecznego Fundacja „Zaolzie”\*, który można uznać za najmłodszy polski ruch społeczny na terenie Zaolzia. Podobnie jak w wypadku Zjazdu, głównym inicjatorem Fundacji jest redakcja miesięcznika *Zwrot*.

Terenem działania Fundacji jest Zaolzie (w szerszym zakresie Czechosłowacja), lecz statut Fundacji przewiduje rozległą współpracę z rodakami za granicą i w Kraju, z planami powoływania pełnomocników. Fundacja planuje rozwijać działalność wydawniczą (w zakresie historii i kultury tego rejonu), kontakty i wymianę młodzieży, oraz działalność w kierunku wzmacniania tożsamości narodowej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Początkowe zamierzenia Fundacji są raczej skromne, gdyż skromne są na razie jej możliwości. Jednym z najbliższych zadań Fundacji będzie odzyskanie hotelu „Piast” w Cz. Cieszynie (miejsca historycznych spotkań) który powstał ze składek Polaków 60 lat temu, a po wojnie został zagrabiony przez państwo komunistyczne. Ciekawą próbką praktycznej działalności Fundacji jest sprawa odnaczeń dla członków ruchu oporu na Zaolziu walczących w szeregach Armii Krajowej. Fundacja podejmuje się tu mrówczej pracy dotarcia do żyjących jeszcze (lub ich rodzin) AK-owców z Zaolzia, obliczanych na ok. 700. Jednym z nader ważnych zadań Fundacji będzie również konsolidacja i wspieranie działalności gospodarczej organizacji polskich na Zaolziu.

Sądząc z różnych doniesień na łamach *Zwrotu*, jak również z korespondencji osobistej z niestrudzoną red. Urszulą Hudeczek, dalekosiężne plany Fundacji są rzeczywiście imponujące. Ostateczny sukces i realizacja wszystkich ambitnych planów i zamierzeń będą jednak w pierwszym rzędzie zależać od masowego wsparcia społeczeństwa polskiego na Zaolziu, jak również wsparcia rodaków rozsianych po całym świecie.

Janusz MONDRY

\* Komitet Założycielski Fundacji „Zaolzie” pod przewodnictwem Urszuli Hudeczek opracował i przedstawił do rejestracji statut Fundacji w dn. 5.9.1990. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Czeskiej Republiki przeprowadziło rejestrację statutu dn. 11.9.90. Członkiem (dożywotnim) Fundacji może zostać każdy Polak, zgadzający się ze statutem Fundacji, po złożeniu kwoty 10 USD lub równowartości w innej walucie. Pełny tekst statutu Fundacji został opublikowany w nr 11/1990 miesięcznik *Zwrot* (adres: J. Bożka 16, Cz. Cieszyn, Czechosłowacja).

## POLSCY KATOLICY W MOSKWIE

Rada miasta Moskwy wciąż nie godzi się na zarejestrowanie w stolicy polskiej wspólnoty rzymskokatolickiej, chociaż zainteresowani od początku skierowali do władz miasta i presnienkiego rejonowego komitetu wykonawczego odpowiednie dokumenty i podania. Rada Moskwy powołuje się na ustawę, według której rejestracja jakichkolwiek nowych parafii w kraju jest zawieszona do lata 1991 roku. Miejscowe władze potrzebowały trzech miesięcy, aby zezwolić na odprawienie mszy w kościele Niepokalanego Poczęcia przy ul. Małej Gruzjińskiej 27; wreszcie została odprawiona na początku grudnia. Przewodniczący Komitetu d/s Wolności Sumienia, Wyznań i Działalności Charytatywnej przy Radzie RSFSR, ojciec Wiaczesław Połosin, który przybył na nabożeństwo z posiedzenia Zjazdu Deputowanych Ludowych RSFSR, aby powitać wiernych, nazwał zakaz Rady Moskwy bezprawnym. Powiedział też, że Komitet rejestruje w najbliższym czasie polską parafię katolicką w stolicy.

Kościół Niepokalanego Poczęcia został zbudowany w 1911 roku według projektu znanego moskiewskiego architekta, Polaka T. Bogdanowicza, ze składek Polaków mieszkających w Presni. Mieszkańcy Warszawy przekazali na ten cel 50 tys. rubli. Zdaniem przedstawicieli stowarzyszenia kulturalnego „Polski Dom”, decyzja władz miejskich wynika z faktu, że nie chcą wyprowadzać podległych Radzie Moskiewskiej instytucji ze znanego moskiewczanom budynku. Chodzi o biura *Mosspecpromprojektu* i garaże. Po mszy przedstawiciel komitetu wykonawczego Czerwonej Presni powiedział członkom zarządu „Domu Polskiego”, że przekazanie kościoła wiernym jest możliwe, jednak Polacy będą musieli zapłacić za to 10 milionów dolarów.

*Moskowskije nowosti* nr 51, 23 grudnia 1990

Polnische Buchhandlung

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

## Kronika kulturalna

### Kenneth Mackenzie

*Kenneth Roderick Mackenzie zmarł 4 stycznia 1921 w wieku 82 lat.*

Dla swoich rodaków Mackenzie był nade wszystko nieporównanym znawcą procedury parlamentu brytyjskiego i autorem dwóch standardowych podręczników na temat „matki parlamentów”. Przez wiele lat był *Clerk of Public Bills* w Izbie Gmin czyli fachowym doradcą i przewodnikiem posłów po labiryncie niepisanej a opartej na precedensach brytyjskiej konstytucji. Dla Polaków był twórcą najlepszego przekładu *Pana Tadeusza* na język angielski. Gdy przekład ten ukazał się w r. 1964 byłem zachwycony i przeczytałem go od deski do deski jakby całkiem nowy dla mnie utwór. A przecież znałem już stary przekład prozą prof. George Noyesa i wydany zaledwie dwa lata wcześniej w Ameryce wierszowany przekład Watsona Kirkconnella. Między *Panem Tadeuszem* Kirkconnella i Mackenzie'ego jest dużo technicznych podobieństw — w obu polski trzynasto-zgłoskowiec został zastąpiony angielskim dziesięcio-zgłoskowcem — z tym że Kirkconnelle jest bardzo sumienny i precyzyjny, natomiast Mackenzie wziął mnie naturalnością i polotem swego przekładu. Oto na przykład Gerwazy wita Hrabiego, zwracając się do niego per „Mopanku”:

*Seeing the Count he doffed his cap in haste  
And to the kinsman of his lords obeised,  
Bending his hairless pate that shone afar,  
Scored like a chopping-block with many a scar.  
He came up stroking it and, bending low  
Once more, began to speak in tones of woe:  
„Myboy, forgive the phrase, your Excellence,  
My custom 'tis and not irreverence.  
All the Horeszkos used to say that word,  
And the last Pantler loved it, my own lord.  
Is't true, I can't believe it, that your grudge  
A goat to save this castle from the Judge  
Soplica?*

To jest tak samo naturalne jak mickiewiczowski tekst. Ale, dodajmy od razu, nie jest to naturalność kosztem dosłowności przekładu, jak mnie o tym przekonała pracownia analiza Grzybobrań. Jakież zatem było moje zdziwienie, gdy zgłosiłem się do Mackenzie'go celem przeprowadzenia z nim wywiadu dla polskiego programu BBC i tam okazało się że wywiad będzie musiał być przeprowadzony po angielsku. Ten bez mała kongenialny tłumacz Mickiewicza nie potrafił wykrztusić najprostszego zdania po polsku. Jego znajomość polszczyzny była wyłącznie bierna: wszystko rozumiał, ale nic nie potrafił po polsku wypowiedzieć. Paradoksalnie, to rozczarowanie tylko zwiększyło mój podziw dla tego dziwnie jednostronnego specjalisty: ile to pracowitego wysiłku musiała go kosztować ta jego afera miłosna z polską poezją. Nad samym *Panem Tadeuszem* strawił dziesięć lat (żona żartobliwie wyrzucała mu, że zdradza ją z Poezją — trochę *à la* Hrabia Henryk z *Nieboskiej Komedii*). A przedtem już przetłumaczył Słowackiego *W Szwajcarii*, o ile mi wiadomo, pracował nad *Grażyną*; nie wiem, czy ten przekład wykończył. A zaczęło się to wszystko od przyjaźni ze Stanisławem Balińskim, ostatnim ze Skamandrytów, i wspólnych obiadów w Ognisku Polskim w Londynie. Potężny musiał być zastrzyk poezji, jaki Polacy temu Szkotowi zaaplikowali.

Ale korzenie tego romansu z polskością leżały głębiej. Po *Panu Tadeuszu* Mackenzie dokonał nowego przekładu *Georgik Wergiliusza* i wreszcie pod koniec życia wszystkich trzech części *Boskiej Komedii* Dantego. A już jako młody człowiek, wkrótce po ukończeniu studiów klasycznych w Oxfordzie, przeszedł na katolicyzm. Wszystko to, łącznie z jego ekspertyzą parlamentarną, składa się na obraz człowieka z jednej bryły. O tym, że jego umiłowanie polskości było częścią szerszego a głębokiego nurtu, niech świadcza jego słowa z przedmowy do *Pana Tadeusza*, które pozwolę sobie przytoczyć, tak jak je napisał, po angielsku:

*„Pan Tadeusz” is not a narrowly patriotic poem. It is not a poem in praise of Poland, in all its nearly ten thousand lines one can recall one just sentence of direct glorification, the highly dubious statement that Polish coffee is best. It is a poem of love of country. It matters not that the lineaments of the beloved are not those of our own. For Soplicowo is not to be found on any map of Poland, nor anywhere on this earth; it is a corner of that heavenly country to which all men belong”.*

(*Pan Tadeusz* nie jest ciasno patriotycznym poematem. To nie poemat na pochwałę Polski; na całej przestrzeni blisko dziesięciu tysięcy wierszy znajdujemy tylko jeden przypadek wyraźnej gloryfikacji, wysoce wątpliwe stwierdzenie, że „takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju”. To jest poemat miłości ojczyzny. I nie jest ważne, że obraz tej ojczyzny to nie nasza ojczyzna. Nie znajdziesz Soplicowa na żadnej mapie Polski, ani też nigdzie indziej na świecie. To zakątek tej niebiańskiej ojczyzny, która jest wspólna wszystkim ludziom).

Coś podobnego napisał kiedyś Miłosz: że *Pan Tadeusz* jest poematem metafizycznym.

Antoni POSPIESZAŁSKI

## Fox, Kabejun, Epte, Ego, Kto się bawi w chowanego?

Powyższy żartobliwy dwuwiersz rozpoczął przed siedemdziesięciu laty artykuł dotyczący pseudonimów. Stosowanie pseudonimów literackich, tj. podpisów różnych od własnego imienia i nazwiska, jest bowiem istotnie swoistą „zabawą w chowanego”. Czasem jest to zabawa z samym sobą, czasem z czytelnikiem, czasem ze środowiskiem, czasem z... władzą. Raz owa zabawa prowadzona jest dla przyjemności, innym razem z potrzeby, czasem wręcz z konieczności.

Pseudonimy zaciekawiają. Chciałoby się wiedzieć, kto schował się i dlaczego za Foxem czy Kabejunem. Ponadto — wcale nie rzadko — nawet nie podejrzewamy, że ktoś się w ogóle schował... za nazwiskiem, tyle że nie swoim. Teraz każde dziecko wie, jak nazywał się naprawdę Bolesław Prus czy Teodor Tomasz Jeż. Ale 100 lat temu nie było to powszechnie wiadome. Podobnie jak obecnie nie wszyscy wiedzą, że Maria Zientarowa, Władysław Kopański, Andrzej Rumian, Teodor Klonek, Jan Koniecpolski, Maciej Polecki, Łukasz Socha i wiele innych — to przecież pseudonimy.

Na całym świecie pseudonimy są rozwiązywane w specjalnych publikacjach. Dotąd największym „Słownikiem pseudonimów polskich” jest praca Adama Bara z lat 1936-1938. Niewielkie zestawienia pseudonimów zamieszczane były w dwu seriach „Słownika współczesnych pisarzy polskich”. Obecnie w Instytucie Badań Literackich PAN kończone są prace nad wielkim „Słownikiem pseudonimów pisarzy polskich” obejmującym piśmiennictwo od XVI w. do 1970 r. Trudu wydania drukiem tej ogromnej publikacji podjęło się tak zażęzone dla polskiej kultury Ossolineum.

Zespół redakcyjny „Słownika pseudonimów pisarzy polskich” pragnie jednak doprowadzić rejestrację pseudonimów do okresu możliwie najbliższego dniom dzisiejszym. Chcemy więc przygotować suplement. Będziemy to robić na podstawie dostępnych bibliografii, zestawień, katalogów. Będziemy korzystać z pomocy przyjaciół-hobbystów w zakresie zbierania pseudonimów, z notatek w prasie. Ale czy to wystarczy? Czy sami zdołamy zewidencjonować wszystkie czy prawie wszystkie pseudonimy? Na pewno nie. Wiadomo, że w ostatnich dziesięcioleciach, szczególnie w tzw. drugim obiegu, stosowanie pseudonimów było równie częste jak w wieku XIX, w okresie niewoli. Dlatego zwracamy się do literatów, publicystów, dziennikarzy, do nieznanych nam zbieraczy pseudonimów, do stowarzyszeń, redakcji i wydawnictw z gorącą prośbą o pomoc, tj. o informacje dotyczące rozwiązań pseudonimów (oczywiście tylko tych,

których „właściciele” wyrażą zgodę na ujawnienie się). Będzie to — nie bójmy się odrobiny patosu — korzystne dla rozwoju polskiej kultury, a przy okazji zaspokoi ciekawość czytelników.

Prosimy bardzo o podawanie pseudonimu w pełnym brzmieniu, tytułu i daty druku pracy (artykułu, wiersza, książki...) opatrzonej tym pseudonimem. Bylibyśmy też wdzięczni za dane o „właścicielu/właścicielce” pseudonimu, tj. za pełne imię i nazwisko, nazwisko panięskie, datę i miejsce urodzenia i ewentualnie śmierci, oraz określenie uprawianej twórczości.

Przykładowe — ale fikcyjne — hasło autorskie w naszym Słowniku wygląda bowiem tak:

Iński, Jan = Iksiński Jan  
Las. Poezje... Warsz. 1975

A

XYZ = Iksiński Jan

Gazeta Krajowa 1977 — wiersze, artykuły

IR

Iksiński Jan (ur. 1955, Kalisz) poeta, dziennikarz, lekarz Jan Iński;  
XYZ

Uzyskane informacje będą w Słowniku odpowiednio kwitowane, np. A — oznacza informację autora, „właściciela pseudonimu, IR — informacje redakcji itp.

Udostępnione nam większe zbiory będziemy oczywiście kwitować w wykazach źródeł.

Wszelkie informacje prosimy bardzo przysyłać na adres:  
Redakcja Słownika pseudonimów pisarzy polskich. Pracownia Edytorstwa i Dokumentacji XIX w. IBL PAN.

00-330 Warszawa, Nowy Świat 72 p. 144

tel.: 26-52-31 w. 71

## NAGRODY

Jury Nagrody Publicystycznej im. Adolfa Bocheńskiego przyznało nagrodę za rok 1990 Stanisławowi Podemskiemu.

Nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego za rok 1990 przyznano Janowi Walcowi za tom esejów i felietonów z lat 1972-1988 pt. „Wybrane”, wydany przez kwartalnik pisma *Krytyka*.

Jury Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie przyznało nagrody im. Alfreda Lenkiewiczza księdzu prof. Józefowi Bocheńskiemu i prof. Czesławowi Lejewskiemu za całokształt ich prac naukowo-badawczych.

Nagrodę Jana Cybisa przyznaną polskim plastynom przez jury warszawskiego Związku Plastyków otrzymał Józef Czapski. Nagroda wynosi 1.000 dol.

Miesięcznik *Odra* przyznał nagrodę za 1990 rok Leszkowi Kołakowskiemu za książkę pt. „Horror methaphysicus”.

Nagrodę główną Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie oraz w Zamościu otrzymała Danuta Mostwin za powieści pt. „Cień księdza Piotra” i „Smaragdowa zjawia”.

Laureatem nagrody Jerozolimy za rok 1990 został Zbigniew Herbert. Jest to jedyna nagroda literacka przyznawana w Izraelu. Jury podkreśliło, że w swojej poezji Herbert daje wyraz walce jednostki z systemem totalitarnym.

Doroczne nagrody Fundacji im. Jurzykowskiego otrzymali: Leopold Koss (Stany Zjednoczone) — medycyna; Charles Sterling (niedawno zmarły b. konserwator Luwru, a następnie wykładowca New York University); Teresa Pągowska (Polska) — malarstwo; Edward Balcerzan (Polska) — teoria literatury; Henryk Grynberg (Stany Zjednoczone) — literatura; Kamil Dziewanowski (Stany Zjednoczone) — historia USA; Józef Koziolowski (Polska) — psychologia; Ilja Lazary-Pawłowska (Polska) — filozofia; Andrzej Białynicki-Birula (Polska) — matematyka; Andrzej Białas (Polska) — fizyka.

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.  
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.  
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.  
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.  
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ  
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

## Ci, co odeszli

### Jerzy Stefan Langrod (1903-1990)

Wydaje mi się, że zarówno w prasie zachodniej, jak i w Polsce ukaże się wiele wspomnień o profesorze Langrodzie jako o znakomitym prawniku, naukowcu — współtwórcy nauki o administracji, działaczu społecznym i politycznym, wybitnej postaci masonerii polskiej. To wspomnienie jest o naszym Profesorze, przyjacielu pokoleń swych studentów — człowieku, któremu wszyscy zawdzięczamy nie tylko wiedzę, ale i pomoc w różnych i ciężkich chwilach naszego życia.

W Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim kierował katedrą prawa administracyjnego i był czymś w rodzaju „postrachu prerii”, włącznie z potężnym podręcznikiem prawa administracyjnego Kumaniecki — Langrod — Wachholtz, popularnie zwanym... kobyłą. To były pierwsze lata powojenne i przeważnie biedująca społeczność studencka, przeniesiona żywcem z tragicznych lat okupacji i dorosłego życia wojennego, patrzyła z podziwem na tego nienagannie eleganckiego Profesora, surowego i wymagającego, choć często na wykładach tryskającego dowcipem. I jakież to było zdziwienie, gdy zabiedzony student znajdował w indeksie zwróconym przez Profesora po potwierdzeniu udziału w wykładach... pieniądze. Biegł zwrócić, przekonany, że dostały się tam przez nieuwagę. A to była pomoc człowieka, który wszystkim ze swojego otoczenia służył. Tak, służył swoją osobą. Niestety wyjechał z kraju — nie było dla niego miejsca w świecie naukowym Polski sowietyzowanej. W 1948 roku opuścił Kraków, swoją kancelarię adwokacką przy ul. Karwackiej i swoją katedrę uniwersytecką. Na pożegnanie powiedział mi: „Tylko proszę się nie dać lekceważyć”. Wyjechał do Francji, gdzie czekały na niego żona i córka, no i dalsza świetna kariera naukowa i międzynarodowa, gdyż był ekspertem ONZ i reformował przeróżne administracje w różnych krajach.

Zetknęłam się znów z Profesorem przy pierwszej mojej podróży do Francji w 1960 r. Poznałam wówczas dom Państwa Langrodów.

Profesor pomagał wszystkim, którzy na to zasługiwali. Ich potrzeby po prostu odgadywał. Słał wtedy pisma, telefonował, odbywał rozmowy, polecał, nawet zachwalał i urządzał jednego po drugim, zdobywał stypendia lub przydzielał je sam, gdy jeszcze istniał Fundusz Wandy Roehr, którym dysponował. Mocno podejrzewam, że gdy ten fundusz przestał istnieć, to stypendia Profesor wypłacał z własnej kieszeni. Gdy jeszcze w czasie mego życia peerelowskiego byłam znów w Paryżu i zażenowana przekazywałam czyjaś prośbę o poparcie, Profesor odpowiedział mi: „Przecież ja po to tu jestem, to jest moja racja bytu”.

Na kilka lat przed przejściem na emeryturę Profesor kierował seminarium dyplomowo-doktoranckim w *Ecole Pratique des Hautes Etudes Economiques et Sociales* w Paryżu — seminarium nauki o administracji. Sporo na nim było Polaków, którzy w większości stali się przyjaciółmi Państwa Langrodów. Pani Anna była tłumaczem przysięgłym i tak jak Profesor pomagał z jednej strony, Ona z drugiej, tłumacząc dokumenty i doradzając. Było jasne, że stanowili jedność. Gdy Profesor wyjeżdżał gdzieś na kongresy czy wykłady, p. Anna mu towarzyszyła. Bez niej nie umiał żyć i nic bez niej nie miało wartości.

Przyszedł grudzień 1981 roku, a po nim znów rzesza uchodźców. Pierwszą troską Profesora było zapewnienie im kontaktu z wiedzą. Z jego inicjatywy i pod jego przewodnictwem powstała w Paryżu Wolna Wszechnica Polska — *Université Indépendante Polonaise à Paris*. Siedzibę miała pod adresem pp. Langrodów na boulevard Péreire, a wykłady odbywały się gdzie się dało. Na początku był tłum, potem Profesor nie miał tej energii, co dawniej, nie domagał i wszystko się rozprężyło, poszło w zapomnienie. Inicjatywa była piękna, pomocy i pieniędzy znikąd.

Odeszli Oboje prawie jednocześnie w końcu ubiegłego roku. Została serdeczna pamięć wszystkich tych, którzy zaznali opieki, pomocy i ciepła dwojga ludzi stanowiących jedność — Polaków, jakich niewiele jest jeszcze na świecie.

Maria ŁAMZAKI

## Książki

### Ale i słaby nie zginie

Pod takim tytułem ukazał się piąty już tom pamiętników imigrantów polskich w Kanadzie, wydawanych przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w Toronto\*. Każdy z tych tomów obejmuje inny okres. Pierwsze trzy zawierały wypowiedzi emigrantów przedwojennych i kilka wojennych, tom czwarty — lata 1957-1980, odbicie lat 1981-1989 znajdziemy w tomie najnowszym.

Konkursy stały się bardzo ważnym źródłem wiadomości o losie polskiej emigracji. Na ostatni wpłynęło 31 prac. Dwie zostały odrzucone, 16 wydrukowano w omawianym tomie. Wśród autorów było dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn. W porównaniu z dawnymi wspomnieniami ludzi nieraz ledwo piśmiennych, najświeższy plon konkursu przyniósł wypowiedzi osób nie tylko doskonale władających piórem, ale nawet posiadających ambicje pisarskie i poetyckie. Kto wie, czy nie tędy będzie odtąd prowadziła droga do publikacji i hojnego wynagrodzenia, bo o ile w 1938 pierwsza nagroda wynosiła 50 dolarów, to w 1989 już 3.000.

Jednym z pierwszych wniosków, jakie nam się nasuwają jest odmiennosc fal emigracyjnych. Ostatnia różni się zasadniczo od innych kategorią społeczną i młodym wiekiem przyjezdnych. Pamiętnikarze wychowali się w PRL i opuścili ojczyznę dobrowolnie. Mają wykształcenie, nieraz cenione zawody, pochodzą głównie z wielkich miast. Mamy więc do czynienia z pewną warstwą ludzi, których wypowiedzi, choć cenne, nie dają jednak obrazu całości.

Stosunek do Kanady kształtuje się dialektycznie: wedle niektórych wypowiedzi można się tu szybko dorobić, czuć się u siebie, ludzie są bardziej ludzcy (mniej Polaków?); niektórzy nie czują żadnej nostalgii, chcą się odciąć od przeszłości, zacząć na nowo. Ale są też głosy zawodu: „To nie jest ten kraj, o którym marzyłam. Życie tutaj

\* Benedykt Heydenkorn, *Ale i słaby nie zginie. Różne oblicza Kanady. Pamiętniki imigrantów polskich 1981-1989*, Canadian Polish Research Institute, Toronto 1990, str. 545.



nie ma żadnego smaku..." (Malwa). Narzeka się na płytkość życia kulturalnego czy wręcz jego brak, na „brzydotę wszechogarniającą”: „Brzydkie domy, w Europie już dawno wyburzone, brzydki architektura, byle jak budowane sklepy, wokół których zazwyczaj panuje ustawiczny bałagan, a często brud..." (Magda). W telewizji „głupota i kicz”.

Ambiwalentny jest stosunek do Polaków mieszkających w Kanadzie. Nowi żądają, by ich sponsorować w „ciemno”, opiekować się nimi, pomagać im, ale nie wolno starej Polonii wspominać jej pierwszych kroków bez żadnej pomocy czy darmowej, ba, wynagradzanej szkoły. „Przed starszą Polonią byliśmy ostrzegani... Życzliwie doradzali trzymać się jak najdalej od polskiego środowiska, o ile chcemy, żeby i nam się powiodło” (J.W.J.). Pokutuje w tym przekonanie, że Polacy mieszkający na Zachodzie mają obowiązek pomagać nowym emigrantom (nie wyłączając łamania prawa), zaś ci przybywszy tu nie poczuwają się do żadnej pracy społecznej, bo mają złe doświadczenia. Sam pamiętam, jak nowoprzybyła pani spytała mnie wprost, dlaczego Polonia nie posiada stypendiów dla takich jak ona, by się mogli utrzymać na odpowiednim poziomie.

Emigranci, nim się poczują dobrze, muszą przejść pewną ewolucję (w Polsce teraz powiadają bez żenady, że trzeba „komucha” wyrzucić przede wszystkim z samego siebie). Muszą w pierwszym rzędzie zrozumieć, że nic im się od świata nie należy, że trzeba inaczej podchodzić do pracy (inteligentowi trudno jest podjąć nagle pracę fizyczną, ale — jak zauważył jeden z pamiętnikarzy — daje ona dobry zarobek, co też się liczy), że trzeba sobie założyć a nie czekać na protekcję czy załatwienie, że ważna jest obowiązkowość i punktualność, że istotne są liberalne stosunki międzyludzkie, skoro jest się wśród innych.

Tłumacząc, dlaczego nowi emigranci stronią od polskich organizacji, jedna z uczestniczek konkursu wskazuje na zasadniczą różnicę między wcześniejszymi falami Polaków a tzw. falą solidarnościową:

„Organizacja musi mieć wspólny, konkretny cel. Dlatego starszym pokoleniom lepiej się udawało chronić polską kulturę tutaj, bo one pozbawione zostały niejako ojczyzny i chciały do niej wracać. Myśmy w większości opuścili Polskę z wyboru i rzadko kto myśli o powrocie. Inteligencja emigracyjna zainteresowana jest raczej wejściem w kanadyjską kulturę niż pracą nad podtrzymaniem naszej”. (Iwona Majewska)

Niemniej kościołowi polskiemu przypisuje się rolę łącznika z tradycją i kulturą polską, a nierzadko także zawdzięcza doraźną pomoc.

W pamiętnikach pobrzmiwają niekiedy nuty przygodowe. Jeden z autorów pisze, że wybrał się jako zaufana (?) osoba na pielgrzymkę do Rzymu. „Zobaczyć Wiedeń, Rzym, być na audiencji u Ojca św. i potem dopiero zwać”. Cóż, kiedy już w Wiedniu nie wy-

trzymał i drapnął. A przyjechawszy do Kanady duma: „W sumie dziwny kraj. Płacił za to, że chodzi do szkoły. Trochę mnie tym rozpieścił, bo wykorzystuję cały rok i nie bardzo chce mi się szukać konkretnej pracy”. (Janusz) Ktoś inny żałuje, że nie wyłudził więcej pieniędzy na zapomogę, bo znajomy np. kupił sobie dodatkowo garnki na koszt państwa.

Socjolog z Polski podpisujący swój pamiętnik hasłem Jurek wspomina próbę współpracy z *Echem*. Choć pismo jego artykuł wydrukowało: „Nikt z redakcji nie napisał do mnie ani słowa na ten temat, nie mówiąc już o zwykłym podziękowaniu. Zraziło mnie to z lekka do prasy polonijnej. Tego to u nas w Polsce nie zobaczysz”, napisał. I tu niefortunny trafił chyba kulą w płot, bo wszystkie pisma polonijne w Kanadzie są w rękach ludzi niedawno przybyłych z PRL i ich zwyczaje nie są tradycją emigracyjnej prasy. Starzy emigranci pamiętają inne manery legendarnych już dziś redaktorów jak Mieczysław Grydzewski czy Benedykt Heydenkorn.

W Kanadzie osiedliło się sporo Polaków, którzy zjeździli świat pracując w różnych krajach, zaradni, z pieniędzmi, znający języki, otwarci na okazje. Umieeli niejedno załatwić, to i tu się potrafilo szybko urządzić. To ostatnie słowo staje się modne. Może czas już, by miejsce stereotypowego Polaka-emigranta, biedującego i niezadowolonego, zajął kosmopolita, Polak urządzony. Polak powiedziałem? No, nie. Kanadyjczyk już. A to w Polsce dla wielu złaknionych sukcesu brzmi dumnie. Nawet choćby byli to hochsztaplerzy i szarlatani.

Tom, tak jak poprzednio, przygotował do druku i opatrzył wstępem Benedykt Heydenkorn, nestor dziejopisów polskiej emigracji w Kanadzie.

Florian ŚMIEJA

## Klub Nowego Myślenia „Przyszłość świata”

Dotarł do nas raport Klubu Nowego Myślenia pn. „Polska i świat współczesny”. Opracowań tego typu nie ma w języku polskim wiele, a przy tym bywają one inspirowane koniunkturalnymi sojuszami, służąc raczej doraźnej polityce niż poznaniu. Mimo pewnych ułomności raport o którym mowa budzi zainteresowanie nowością spojrzenia i próbą odważnych wniosków.

W ocenie tendencji technologicznych w świecie autorzy dysponują wyraźnie ograniczoną bazą danych, stąd powierzchowność są-

dów, łatwe wnioskowanie i wręcz błędy. Na przykład, wbrew twierdzeniom raportu, pieniądz plastikowy (karty kredytowe) bynajmniej nie wyparł bilonu, lecz zracjonalizował jego funkcje; na razie karty wypierają przede wszystkim banknoty, a kredytowanie drobnych usług jeszcze jest przed nami. Dalej, projekt Boeinga nie mógł wynieść 10 bilionów dolarów, na tyle nie opiewają wojskowe wydatki amerykańskie przez cały okres powojenny. W Stanach bilion znaczy miliard i tak należało przetłumaczyć tę kwotę. USA i Japonia bynajmniej nie wyprzedziły Europy w telewizji wysokiej gęstości obrazu, w rzeczywistości Japonia i Europa w normie analogowej mają przewagę szeregu lat nad Stanami, a przy tym niewykluczone jest, że Amerykanie przebiją wszystkich rozwijając normę numeryczną. Tego rodzaju dane prowadzą autorów do dość powierzchownych wniosków szczegółowych, które składać się mają na prawdy ogólnie znane — o integracji i przyspieszeniu technologicznym. W tym przedmiocie zatem nie należy oczekiwać zbyt wiele od opracowania. Jego znaczenie polega na czym innym, a mianowicie na określeniu zespołu kategorii, jakie — pod warunkiem stosowania analitycznego rygoru — niezbędne są dla zrozumienia tego, co się na planecie dzieje. Nie jest to przyczynek błahy w kraju, gdzie polonocentryzm, historyczna nostalgia, resentymenty i kombatanckie mity uchodzą nadal za dobry punkt wyjścia do spotkania ze światem.

Również w analizie upadku komunizmu raport nie jest pozbawiony powierzchowności, czego dowodem choćby oparcie się na książkę Dżilasa. Cieszy się ona pewną popularnością u nas, lecz w gruncie rzeczy nie posiada dystansu do opisywanej rzeczywistości, a przy tym jest analitycznie uboga wobec ograniczonej perspektywy poznawczej partyjnego dysydenta. Autorzy podchodzą do niej krytycznie, lecz ich optyka zwężona jest do ogólnikowo potraktowanych zjawisk społecznych (demoralizacja, brak fachowców), natomiast nie obejmuje podstawowych, ekonomicznych przyczyn końca komunizmu. Komuna, gdyby mogła, najchętniej dałaby każdemu szynkę i klucz od samochodu, i wówczas trwałaby jeszcze wieki, przeżywając kolejne ewolucje. Problem w tym, że ten system eliminował wszelkie mechanizmy motywacyjne, dzięki czemu jakakolwiek ewolucja była niemożliwa. W szczególności ekstensywny system gospodarczy, czerpiący zasoby ze stałego rozszerzania eksploatacji zasobów ludzkich (przesuwanie ludności wiejskiej do przemysłu), surowcowych (rabunkowe wydobywanie) i kredytowych (przejadanie amortyzacji oraz zaciąganie długów za granicą) — nie był w stanie przestawić się na gospodarowanie intensywne, zwłaszcza w okresie kryzysu naftowego w latach siedemdziesiątych. Utrzymując swój ekstensywny charakter komunizm podpisał na siebie wyrok, nieodwołalny i w istocie niezależny od perypetii dżilasowej nowej klasy i rozwoju demoralizacji społeczeństwa. Oba powyższe zjawiska należą raczej do zespołu objawów śmiertelnej zapaści komunizmu, niż do jej przyczyn. Właściwa klasyfikacja tych kategorii przy analizie upad-

ku naukowego ustroju jest niezbędna dla dostrzeżenia jego obiektywnego fatalizmu, w przeciwnym wypadku nic bardziej naturalnego jak pokusa jego odgrzania, wszak wystarczy zapobiec demoralizacji społeczeństwa oraz wytworzyć nową klasę, pozbawioną tych wszystkich ułomności...

Wąska baza analityczna, wyraźna predylekcja do pospiesznych sądów i zawodowy konstruktywizm autorów prowadzi ich do łatwego katastrofizmu (przewidywanie, że Rosjanie nie mogą obejść się bez ideologii dłużej, niż 5-7 lat; kategoriyczna alternatywa rozwojowa dla świata: albo głębokie przekształcenia strukturalne, albo śmierć cywilizacji, przy czym pominięto oczywiście ciekawy temat, o jakie przekształcenia chodzi; hipoteza o statystycznie udowodnionym pogłębianiu się dezintegracji świata; oskarżanie Zachodu, że nie ma ani dla siebie, ani dla świata formuły przeżycia). Można by mnożyć tego rodzaju zastrzeżenia, ale w gruncie rzeczy ważne jest zwrócenie uwagi na nowatorski charakter opracowania, odwagę autorów i ich wysiłek sformułowania innego spojrzenia na świat, zrywającego z kombatancką mizérią polskiej refleksji politycznej. Te zalety wychodzą na jaw zwłaszcza w ostatniej części opracowania, dotyczącej sytuacji wewnętrznej Polski. Brak złudzeń co do wartości polskiej elity władzy nie spycha autorów na mielizny łatwego krytycyzmu, lecz nakłania ich do przemyślenia na nowo zasad inspiracji politycznej, bez partyjnego zaciętrzewienia, ale w oparciu o neutralne wartości technologii i dynamicznego zarządzania. Niektóre z sygnalizowanych tematów — jak jałowość finansowych poczynań Balcerowicza, czy potrzeba otwarcia się na Niemcy — stanowią mogą płodny zaczątek rzeczowego programu, pod warunkiem podjęcia skoordynowanego wysiłku twórczego, tak, by nie pozostawać na poziomie intuicyjnych domniemań. Przy takim założeniu łódzki Klub Nowego Myślenia może się rozwinąć w ośrodek rzeczowej samowiedzy społecznej i odważnej inicjatywy politycznej.

Paryż, 30.01.91

Robert KACZMAREK

## Czytając prasę

Ostatnim razem obiecałam, że przedstawię ewolucję stanowisk prasy krajowej między 20 listopada a 20 grudnia 1990. Znacznie bardziej zajął mnie numer *Polski Zbrojnej* z 13 grudnia 1990, zawierający obszernie rozmowy z trzema członkami WRON-y nadal pozostającymi w służbie czynnej. Kosmonauta, gen. brygady Mirosław

Hermaszewski, obecnie zastępca dowódcy Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej, o swoim udziale we WRON-ie dowiedział się z radia. Studiował wówczas w Moskwie, w Akademii Sztabu Generalnego. W niedzielę 13 grudnia został przewieziony samolotem wojskowym z Moskwy do Wrocławia. Dzień później został wezwany na posiedzenie WRONY-y. „Milcząco słuchałem innych, którzy zabierali głos. Nie miałem nic do powiedzenia. Już dłuższy czas przebywałem poza krajem i chyba miałem niewielkie pojęcie o tym, co się w ciągu minionego roku działo i o tym, co zdarzyło się 13 grudnia”. Generał Hermaszewski jeszcze dzisiaj zdaje się mieć niewielkie pojęcie o tym, co się zdarzyło, skoro oświadcza: „W końcu nie mam powodów, aby wstydzić się swego życia, tego co robiłem, tego wreszcie, że byłem i jestem żołnierzem zawodowym, to znaczy takim, który nie tylko wydaje rozkazy, lecz także umie je wykonywać, który zna swoje miejsce i swój obowiązek”. Hermaszewski usilnie podkreśla, że lubi latać i nie ma zainteresowań politycznych, co nie przeszkodziło mu być w latach osiemdziesiątych zastępcą szefa Głównego Zarządu Politycznego Wojska, bo taki otrzymał rozkaz. Główny Zarząd Polityczny miał zarazem status i uprawnienia Wydziału Wojskowego Komitetu Centralnego PZPR. Rozmowy z generałami z ramienia redakcji *Polski Zbrojnej* — dawnego *Żołnierza Wolności* — przeprowadzili podpułkownicy. Oczywiście gazeta wojskowa musi czasem zamieścić sprawozdanie z manewrów artylerii, a trudno sobie wyobrazić, by taki tekst mógł napisać dr Jan Walc czy Piotr Wierzbicki. Obecni podpułkownicy musieli być już jednak w roku 81 oficerami i nie są szczególnie predestynowani do tego, by stawiać istotne pytania na temat stanu wojennego, we wprowadzaniu którego oczywiście uczestniczyli. Jest kwestią, czy w normalnej armii podpułkownik może przeprowadzić poważny wywiad z generałem. Tu przychodzi mi na myśl jedna z najkomiczniejszych scen, jakie zapewne zdarzyły się w dziejach PRL. Oto w latach 60-tych marszałek Spychalski zapragnął ozdobić swoją osobę tytułem doktora nauk wojskowych. Napisał stosowną pracę i wezwał podległych sobie generałów, by poddali go egzaminowi. Mężczyźni w mojej rodzinie lubili odgrywać rozmaite wersje regulaminowych dialogów na tę okazję. Generał-profesor przybierając postawę zasadniczą i łagodniej niż zazwyczaj stukając obcasami: — Obywatelu marszałku, generał taki a taki z pytaniem egzaminacyjnym! — Marszałek S. — Spocznij! Tu zwykle następowała długa chwila ciszy, podczas której delikwent gorączkowo się zastanawia, czy użyć regulaminowej formy — Możecie pytać! czy prostego żołnierskiego — Pytajcie! czy może korzystniej byłoby przyjąć konwencję towarzyską — ależ proszę. Barbara N. Łopieńska, która w listopadzie 1989 przeprowadziła wywiad z generałem dywizji Zdzisławem Stelmaszukiem, wtedy dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego, a ostatnio nowym szefem Sztabu Generalnego, wywiad ogłoszony w *Res Publice* nr 5/1990, nie czuła się skrępowana względami etykiety, pytając: „— Panie generale, dlaczego tu wszędzie

wiszą takie okropne obrazy? — A co w nich okropnego? To są pejzaże poligonowe. Trudno, żeby u dowódcy, gdzie są przyjmowani żołnierze, zresztą nie tylko, wisiały obrazy nie związane tematycznie z wojskiem. W domu nie mam czołgów, ale uwielbiam obrazy. Realistyczne. Głównie uwielbiam pejzaże. Pejzaż jest dla mnie czymś najbardziej wartościowym, miłym, ja go rozumiem i przy nim wypoczywam, czy to siedząc, czy nawet leżąc. Ja mieszkam na ulicy Przasnyskiej, w bloku na czwartym piętrze... Kran przecieka, przebieram się w kurtkę i jadę na bazar Różyckiego. Nigdzie nie mogę kranu dostać. Mam wielką skrzynkę pełną gwoździ, piłek i kluczy i jako saper potrafię odpowietrzyć kaloryfer”.

Generał Hermaszewski nie ma skłonności do popadania w gawędę. Jego rozmówca, pułkownik Longin Szczerba, z trudem zresztą formułuje pytanie w języku polskim: „Panie generale, z liczbą 13 w pańskim życiorysie łączy się innego rodzaju rocznica. Mija 13 lat od historycznego lotu w kosmos, a zainteresowanie pierwszym polskim kosmonautą dzisiaj, w zależności do którego etapu je odnieść, przybiera rozmaite formy? Jak pan to odbiera?” Miałam pewne kłopoty ze zrozumieniem tego pytania. Generał udzielił jednak zwięzłej odpowiedzi, nie zwracając nawet większej uwagi na to, że w chwili rozmowy upłynęło raczej 12 niż 13 lat od daty lotu. To, co miał od powiedzenia o wyprawie kosmicznej, nie wykroczyło niestety poza ogólniki. Rozmowa skupiła się właściwie na sprawie bliźniaka. „Dla niektórych to willa, dla mnie natomiast to służbowa 'osobna kwatery stała w drodze wyróżnienia'. Mieszkam w tej willi-kwaterze, czyli po ludzku mówiąc, w połówce bliźniaka wraz z żoną, córką i synem oraz rodzicami żony, którzy za przywilej mieszkania wraz z nami oddali swoje mieszkanie kwaterekowi miejskiemu”. Wybitny Polak długo jeszcze tłumaczy się ze swego poczucia praw moralnych do użytkowania części bliźniaka. Nigdy nie sądziłam, żeby to Mirosław Hermaszewski był szczególnie odpowiedzialny za stan wojenny, ale z głębokim zawstydeniem czytałam tę rozmowę dwóch polskich oficerów w maglu. Nie było w niej najmniejszej wzmianki o honorze i mam wrażenie, że pojęcie to byłoby niezbyt zrozumiałe dla obu rozmówców.

Pułkownik Jerzy Włosiński, obecnie szef oddziału w sztabie Warszawskiego Okręgu Wojskowego, a w grudniu 81 dowódca brygady Wojsk Obrony Wewnętrznej w Górze Kalwarii, także dowiedział się z radia i to dopiero w niedzielę o godzinie 19 o swoim udziale we WRON-ie. Jego świadomym wyborem była służba zawodowa w WP ze wszystkimi jej konsekwencjami, natomiast udział we WRON-ie przyjął jako rozkaz. Nie wiedząc jeszcze o swej nominacji „już w niedzielę o 9.00 rano zaprosiłem do jednostki na herbatę naczelnika miasta i gminy, dyrektorów zakładów pracy, przedstawicieli komitetu partii i miejscowego proboszcza, który wydelegował swego zastępcę”. Pułkownik Włosiński nie zamierza pisać wspomnień. „Jeśli kiedykolwiek coś napiszę, to jedynie jako pracę ściśle naukową”. Ambitny to pomysł, choć i nieco osobliwy,

by pracę naukową dotyczącą polskiej historii pisał ktoś, kto nie wie jak po polsku nazywa się „zastępca proboszcza” i nie zdaje sobie sprawy, że proboszcz nie może w niedzielę przyjąć zaproszenia na poczęstunek przed odprawieniem sumy. Pułkownik dodaje: „Myślę, że z okazji 10 rocznicy warto by zorganizować spotkanie uczestników WRON, aby z perspektywy czasu podsumować jej działalność”. Taki pomysł może osobę najłagodniejszego usposobienia skłonić do uwagi, że ława sądowa byłaby bardzo stosownym miejscem podobnego spotkania. Sąd mógłby zweryfikować twierdzenie generała Jerzego Jarosza, że stan wojenny pozwolił na ujawnienie nadużyć w Kombinacie Ogrodniczym w Wieliszewie. Dla generała Jarosza, od czerwca 1990 Komendanta Głównego Żandarmerii Wojskowej „— podobnie jak dla większości Polaków — wprowadzenie stanu wojennego było wstrząsem. Nie będę ukrywał, iż członkostwo we WRON było przeżyciem dramatycznym. Nie chcę tego wątku rozwijać, bowiem sądzę, iż jest to moja sprawa osobista. Mogę jedynie powiedzieć, iż wewnętrznego okaleczenia w rozmiarach — jak myślę — nie docenianych, doznali w tym pamiętnym czasie również wojskowi”. Zarazem jednak generał jest przekonany, że włączenie go do WRON-y było wyrazem uznania jego zasług wojskowych. „Wspomnę też, iż wcześniej wykonałem z powodzeniem zadania jako dowódca pierwszej zmiany Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej w służbie ONZ na Bliskim Wschodzie oraz jako *attaché* wojskowy w Brukseli. Słowem, miałem wieloletnie doświadczenie, jak również pewną popularność w wojsku”. Rozważając szczegóły realizacji stanu wojennego generał Jarosz, który w „decyzjach dotyczących internowania ani w ich wykonywaniu nie brał udziału” zwraca uwagę, iż „trzeba zdać sobie sprawę, że z punktu widzenia tych, którzy podejmowali decyzję o przeprowadzeniu akcji internowania, z natury rzeczy wymagającej szybkości i zaskoczenia, skuteczniejsze było izolowanie większej ilości osób niż to było potrzebne”. W latach 60-tych nieżyjący już dziś Adam Mauersberger, dyrektor Muzeum Mickiewicza, podczas niedzielnego spaceru Krakowskim Przedmieściem zobaczył kilkadziesiąt metrów przed sobą idącego w tym samym kierunku jednego z pracowników swego muzeum. Młody człowiek niósł duży opakowany przedmiot, najpewniej obraz. Nagle zatrzymał się przy nim szary samochód marki „Warszawa”, z którego wyskoczyło dwóch ludzi. Brutalnie wciągnęli przechodnia z obrazem do samochodu i odjechali. Pan Mauersberger ruszył taksówką ich śladem. W ten sposób znalazł się w Komendzie Dzielnicowej MO przy ulicy Wilczej, gdzie poprosił o widzenie z dyżurnym oficerem. Krępy major wysłuchał go i rzuciwszy okiem na jego papiery, nakazał bez żadnego badania, niezwłocznie wypuścić zatrzymanego. — Ach, panie dyrektorze — wyjaśnił — w niedzielę nic się nie kupi, dlatego jak ktoś idzie wtedy z dużym pakunkiem, to my go zawsze bierzemy. Setki pomyłek, setki. Ale per saldo wychodzimy na swoje.

Ta wypraktykowana w komisariatach filozofia policyjna znaj-

duje dziś zrozumienie Komendanta Głównego Żandarmerii. Zapytany przez podpułkownika Tadeusza Mitka, czy nie należało podczas stanu wojennego rozwiązać PZPR, generał Jarosz odpowiada, że wielokrotnie się nad tym zastanawiał. I okazuje się, że wpadł na lepszy pomysł. „... na pewno można było radykalnie zmienić kierownictwo PZPR, i to nie tylko w Warszawie, ale i — a może przede wszystkim — na prowincji... Powinno się było wtedy dopuścić do władzy ludzi młodych, nie zdemoralizowanych, mądrych i uczciwych”. Tak więc przedmiotem refleksji Komendanta Głównego Żandarmerii w pierwszych dniach prezydentury Wałęsy jest to, co należało uczynić, by uniknąć klęski PZPR, a więc zachować panowanie komunizmu w Polsce. Po lekturze tego wywiadu nie umiem powiedzieć, w jaki sposób z niego wynika albo z czym się w nim wiąże zdanie generała, iż „tak w narodzie cenione hasło: 'Bóg, Honor, Ojczyzna' odzyskuje w każdym jego elemencie prawdziwe znaczenie”.

Generał Zdzisław Stelmaszuk, jeszcze wyżej postawiony w hierarchii dzisiejszy szef Sztabu Generalnego, w ogóle nie żywi wątpliwości co do przeszłych wydarzeń. „Twierdzę, że największą siłą naszej armii jest jej ogromny kurs na przywiązanie do narodu. Tak było zawsze, ale w ostatnim czasie to nabrało rozmachu. — W ostatnim czasie armia sprawdzała się, że tak powiem, w Czechosłowacji i w czasie stanu wojennego. Czy to jest sprawne wojsko? — Nie analizując słuszności poszczególnych decyzji można powiedzieć, że to był swoisty sprawdzian wykonania rozkazu. Wszystko było dopięte. Ze sprawności można postawić piątkę”. Spytany, kto jest jego ideałem, czy jest to Jaruzelski? — generał Stelmaszuk — w listopadzie 1989, gdy J. był jeszcze najwyższym zwierzchnikiem Sił Zbrojnych — odpowiedział: — „Zgadła pani. Jest to tytan pracy, człowiek nadzwyczaj regulaminowy, kochający wojsko, przez całe życie był przykładem oficera i żołnierza. Tego się nie da ukryć i wszyscy, którzy mają odmienne zdanie są w błędzie”.

Taką generację wyższych dowódców zostawia nam Wojciech Jaruzelski, szef zarządu akademii wojskowych, szkół i kursów oficerskich, szef Głównego Zarządu Politycznego, szef Sztabu Generalnego, naczelny dowódca Sił Zbrojnych, a także Jaruzelski autor. „Biografia jest zwierciadłem życia ludzkiego oraz czasów, w które została wpisana. Służy utrwaleniu w świadomości społecznej dokonania ludzi, ich myśli i czynów, zasługujących na uznanie kolejnych pokoleń, na zapis w wielkiej historii”. Niewielu dziś czyta Plutarcha i umiejętność odtworzenia jego frazy wzbudziła mój zachwyt. Czytam dalej: „W naszej, polskiej tradycji szczególnie cenione są postacie, których życiowym powołaniem stała się walka wyzwolenicza, patriotyczna służba Ojczyźnie”. Okazało się jednak, że „do takich właśnie ludzi należy żołnierz dwóch wojen światowych — Marszałek Michał Rola-Żymierski”. Następne 110 słów przedstawiających życiorys budowniczego PRL mógłby właściwie zestawić każdy oficer polityczny. Wspomniałszy o wybitnym działaczu partyjnym i

państwowym, autor na zakończenie powraca do naśladowania Plutarcha: „Każdy naród posiada swoją tożsamość. Jest ona poświadczana w sposób szczególny przez najznakomitszych jego synów, ludzi takich jak On — niestrudzonych w służbie krajowi, dla których pomyślność Ojczyzny jest najwyższym prawem i powinnością.

Zyciorys marszałka Michała Roli-Żymierskiego jest przykładem tego, jak walczyć i żyć, by współcześni i historia jednakowo stwierdzili, że zaskarbił sobie szacunek potomnych, zasłużył się dobrze Polsce”.

Ta stronica podpisana przez Wojciecha Jaruzelskiego otwierała wydany w połowie lat 80-tych tom Wojskowego Instytutu Historycznego poświęcony zdegradowanemu za łapownictwo byłemu generałowi. Po przejrzeniu książki uznałam ją za śmieć i odłożyłam, zachowując jedynie w pamięci ów wstęp. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że Żymierski po roku 45 podpisywał wyroki, także wyroki śmierci na polskich oficerów. Obecnie wiele osób spieszy z wydawaniem opinii na temat Jaruzelskiego. Chciałabym się uchylić od udziału w debacie, co by się mogło stać, gdyby nie wprowadzono stanu wojennego. Nie wątpię, że opór przeciw stanowi wojennemu, który pozwolił uniknąć ostatecznej klęski, byłby o wiele trudniejszy gdyby w pacyfikowaniu Solidarności wzięły bezpośredni udział także cudzoziemskie formacje. Mogę zrozumieć, że Jaruzelski z wielu powodów mógł czuć się zmuszony do wprowadzenia stanu wojennego, nikt jednak go nie zmuszał i nie mógł zmusić do podpisania przytoczonej laudacji Żymierskiego, stanowiącej przykład czystego, niemal bezinteresownego kłamstwa, fałszującego wszystkie elementarne pojęcia moralne. Ta jedna strona druku, tak zręcznie podrabiająca poważną, piękną polszczyznę, wystarczy by autora usytuować poza obrębem wspólnie uznanych wartości.

12.2.1991

Zofia ZIEMIĘCKA

## Ważna publikacja ukraińska

Ze szczególnym zadowoleniem odnotować należy publikację OO. Bazylianów w Warszawie w języku ukraińskim pt. *Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze* — zeszyt 1. Redaktorem naczelnym jest Stefan Kozak, wybitny ukrajinista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, autor licznych prac na temat literatury ukraińskiej, jej powiązań z literaturą polską i wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich. Kolegium redakcyjne składa się z sześciu osób, w tym

dwóch księży — OO. Bazylianów. Redakcja w słowie wstępnym wywodzi m.in., iż ukazywanie się *WZU* jest następstwem zmian, jakie zachodzą obecnie w społeczno-politycznym życiu Polski i Związku Sowieckiego, zmian, które napawają nadzieją na możliwość różnorodnego, społecznego życia Ukraińców w Polsce. Redakcja dalej zaznacza, że pismo będzie otwarte, a więc zamieszczać będzie prace naukowców niezależnie od narodowości i miejsca zamieszkania, pragnących dialogu a stojących na zasadach chrześcijańskich.

Pierwszy zeszyt objętości 255 stron zawiera 18 artykułów oraz kilka recenzji. Zestaw materiałów ma na celu dokumentację tysiąclecia chrztu Rusi. Odnoszą się do niej prace prof. Kozaka „Chryścianizacja Kijowskiej Rusi i problemy cyrylo-metodyckiej tradycji”, Andrzeja Poppe „Pierwsze stulecie chrześcijaństwa na Rusi”, Jerzego Kłosowskiego „Ruś Kijowska X–XII wieków”, ks. Bolesława Kumora „Zagadnienia jedności Cerkwi w Rusi Kijowskiej z Kościołem katolickim do końca XII wieku”. Dawną literaturę religijną charakteryzują i analizują artykuły Wł. Mokrego, M. Jurkowskiego, Ryszarda Łuźnego. Inni autorzy omawiają niektóre aspekty poezji religijnej, jak motyw śmierci itp.

Zwięzłe, wnikliwe studium Stepana Zabrowarnyja poświęcone jest roli księży greckokatolickich w Galicji Wsch. na przełomie XVIII–XIX w. jako krzewicieli świadomości narodowej. Błyskotliwy, polemiczny a zarazem informacyjny artykuł Ryszarda Torzeckiego „Metropolita Szepetycki i problem narodowy” oraz praca Jewgena Misyło o położeniu Cerkwi greckokatolickiej w Polsce w latach 1944–47 — to pozycje najbardziej współczesne.

W pierwszym rozbiórce Polski Austria zagarnęła Galicję. Wschodnia część była obszarem ludnościowo mieszanym, gospodarczo i cywilizacyjnie zacofanym. Zabrowarnyj wskazuje, że struktura społeczna w połowie lat 80-tych XVIII wieku, a więc w kilkanaście lat po oderwaniu od Polski, przedstawiała się następująco: szlachta — 3,6%, mieszczenie — 12,8%, urzędnicy, wolne zawody — 5,3%, rzemieślnicy, handel — 6,5%, chłopci pańszczyźniani — 71,8%.

Ukraińcy stanowili 2/3 ludności, w przytłaczającej większości byli to chłopci pańszczyźniani i kler greckokatolicki z dodatkiem nielicznych — przeważnie już spolszczonych — osób innych grup społecznych. Księża byli jednocześnie przywódcami i rzeźnikami religijnymi jak i świeckimi, nauczycielami i krzewicielami języka i kultury. Byli jedynymi inteligentami, wykształconymi członkami społeczności, która świadomość narodową zatraciła. Wskreszenie tożsamości narodowej wszczęli księża poprzez szeroką działalność oświatową i kulturalną. Polityka austriacka — przyznanie Kościołowi greckokatolickiemu tych samych uprawnień, które posiadał Kościół rzymskokatolicki, wprowadzenie języka ukraińskiego do szkół podstawowych, później do innych — znakomicie pomogła akcji formowania tożsamości narodowej.

Działalność rozpoczętą przez duchownych podjęli i rozszerzali członkowie ich rodzin, którzy tworzyli następną, już znacznie większą

grupę inteligencji, w tym już i świeckiej. Kler greckokatolicki odegrał w formowaniu a następnie utrzymaniu i rozwoju tożsamości narodowej i w zmaganiach o prawa narodowe Ukraińców bardzo wielką rolę. I to właśnie na terytorium Galicji Wsch., która stała się Piemontem ukraińskich zmagania o niezawisłość.

Gdy na znacznie większych obszarach Ukrainy pod berłem prawosławnych carów systematyczna akcja wyniszczania i rusyfikowania ludności dobiegała końca, pozostawiając jedynie niedobitków, w Galicji Wsch. rodziła się nowa, świadoma narodowo społeczność ukraińska. Esej Torzeckiego o metropolii Szeptyckim pozwala stwierdzić, iż Szeptycki był gorącym szermierzem i rzecznikiem narodowym Ukraińców, będąc przede wszystkim ich duchowym, religijnym przywódcą. Szukał współzycia, porozumienia Ukraińców z Polakami, sprawiedliwości dla swoich wiernych. Zabrowarny zajmuje się pierwszym okresem działalności i wypukła oświatowe, literackie i naukowe osiągnięcia czołowych postaci. Torzecki, badacz stosunków polsko-ukraińskich (w szczególności w latach wojny i następnych) prezentując metropolię Szeptyckiego oparł się m.in. na archiwum rodziny Szeptyckich, znajdującym się w Warszawie u seniora rodu p. Kazimierza Szeptyckiego.

Zarys historyczny *Misyły Kościół greckokatolicki w Polsce (1944-47)* jest pionierskim wprowadzeniem do problemu jeszcze nie zbadanego. Autor zresztą twierdzi, że stanowił rodzaj tabu. Wskazuje, że istniejące, dostępne źródła, jak wspomnienia niektórych księży — *personae dramatis* — są jako materiały naukowe nierówne i wysuwa ogromne zastrzeżenia do wspomnień i prac — w tym w maszynopisach — ks. Jana Polańskiego, kanclerza Apostolskiej Administracji Łemkowszczyzny. „Szkoda — pisze Misyło — że autor, posiadający niemały talent pisarski, nie uchronił się od zniekształceń i uproszczeń wynikających z jego negatywnego ale i wrogiego nastawienia do Ukraińców”. Podstawowymi źródłami Misyły są udostępnione archiwa: watykańskie, ks. kard. Hlonda, Archiwum Akt Nowych — Min. Adm. Publicznej, Komitetu rządowego ds. ewakuacji Ukraińców oraz protokoły, sprawozdania, notatki z konferencji, spotkań Episkopatu, poszczególnych biskupów w sprawach Kościoła gr.-kat.

W następstwie wojny Polska utraciła m.in. terytoria, na których były diecezje gr.-kat. lwowska, stanisławowska, tarnopolska, a częściowo przemyska. Przemyska diecezja została przepołowiona i z 45 dziekanatów i 640 parafii po stronie polskiej pozostały 22 dziekanaty i 233 parafie. Bp Kocyłowski, ordynariusz diecezji przemyskiej, był dwukrotnie aresztowany, a 28 czerwca 1946 r. władze PRL oddały go wraz z bp. sufraganem Lakotą i dwoma członkami kapituły w ręce sowieckie.

Przed akcją „Wisła” było w Polsce 114 księży gr.-kat. — razem z wiernymi przesiedlono w ramach tej akcji 62 księży, w tym 31 z diecezji przemyskiej, 20 z Łemkowszczyzny, a 11 z innych diecezji. W czasie akcji „Wisła” aresztowano i wywieziono do ZSSR 7

księży, a 22 internowano w obozie Jaworzno. Niezależnie od tego 8 księży aresztowano i skazano za współpracę z UPA. Jeden skazany został na śmierć i wyrok wykonano. Skazany ks. Wasyl Szewczuk wniósł prośbę o ulaskawienie, którą Bierut oddalił.

Położeniem Kościoła greckokatolickiego zajął się Episkopat Polski na konferencji na Jasnej Górze w dniach 3-4.10.1945 r. Postanowiono zaopiekować się księżmi tego Kościoła z różnych diecezji, którzy znaleźli się w nowych granicach Polski. Ordynariusz diecezji przemyskiej, bp Kocyłowski, został zaproszony na konferencję, która odbyła się w dniach 22-24.6.1946 r., ale — jak twierdzi Misyło — brak dokładnych danych o jej postanowieniach. Zaznacza jednak, że sytuacja na Łemkowszczyźnie była przedmiotem rozważań oddzielnej konferencji. Na skutek interwencji kard. Hlonda papież Pius XII nadał z dniem 25.10.1946 r. kardynałom Hlondowi i Sapięże nadzwyczajne pełnomocnictwa odnośnie Kościoła greckokatolickiego w Polsce. Miały one na celu opiekę nad klerem i wiernymi obrządku greckokatolickiego. Kard. Hlond zwrócił się do ordynariuszy diecezji, w których znaleźli się grekokatolicy, o umożliwienie duchownym tego obrządku wykonania posług, w tym nabożeństw w kościołach. Kard. Hlond mianował 31.3.1947 r. ks. W. Hryniuka generalnym wikarym przemyskiej diecezji, a ks. A. Złupka gen. wikarym Apostolskiej Administracji Łemkowszczyzny. Episkopat Polski, kolejni prymasowie, niejako automatycznie przejmowali pełnomocnictwa otrzymane przez kard. Hlonda i poprzez wikarych generalnych sprawowali władzę. Misyło dowodzi, iż starania wikarych generalnych o zmianę statusu, a więc niezależność od prymasa Polski i powołanie własnych biskupów, nie odniosły żadnego skutku. Prymas Glemp posunął się o krok naprzód, mianując dwóch — zamiast jednego — wikarych generalnych. Autor podkreśla, że władze PRL wprawdzie formalnie nie uznawały Kościoła greckokatolickiego, ale pogodziły się z jego istnieniem pod osłoną Kościoła rzymskokatolickiego. Uregulowanie postulatów wiernych tego obrządku zależy obecnie głównie od Stolicy Apostolskiej.

*Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze* (zeszyt 1) są cenną publikacją, wyróżniającą się zarówno bogactwem pierwszorzędnych materiału jak i wysoce obiektywną prezentacją. Niektóre z ogłoszonych prac — jak np. prace Torzeckiego, Zabrowarnyja i Misyły — zdają się zapowiadać rozszerzenie, uzupełnienie ogłoszonych.

Benedykt HEYDENKORN

## Nadesłane nowości wydawnicze

- NIEWĘGŁOWSKI (Wiesław, ks.). *Podnoszę z ziemi mój głos*. Str. 405 i 3 nlb. (Wyd. Nasza rodzina, numer specjalny 1991, Paryż 1991).
- RACZYŃSKI (Edward). *Czas wielkich zmian. Rozmowy przeprowadzone przez Krzysztofa Muszkowskiego*. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1990).
- TISCHNER (Józef). *Filozofia dramatu*. Str. 273 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1990).
- SZEJNERT (Małgorzata). *Śród żywych duchów*. Str. 261 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £ 7, \$ 16).
- ZAMORSKI (Kazimierz). *Dwa tajne biura 2 Korpusu*. Str. 349 i 5 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- ŻOCHOWSKI (Stanisław). *Wywiad polski we Francji 1940-1945. Niektóre sprawy polsko-brytyjskie*. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1990).
- MACKIEWICZ (CAT, Stanisław). *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.* Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. Głos, Warszawa 1989, przedruk z wydania PULS Publications).
- ZIÓŁKOWSKA (Aleksandra). *Proces Melchiora Wańkowicza 1964*. Str. 208. (Wyd. Nowe Wydawnictwo Polskie, Warszawa 1990).
- MÜLDNER (Piotr). *Diabeł na Placu Zbawiciela*. Str. 312. (Wyd. „Pomoc szkole”, Warszawa 1990).
- Ethos* (kwartalnik Instytutu Jana Pawła II, nr 8/1989, wyd. KUL, Lublin 1990).
- ORŁOŚ (Kazimierz). *Historia „Cudownej meliny”. Cudowna melina*. Str. 268 i 4 nlb. (Wyd. Versus, Białystok 1990).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Raport o stanie wojennym*. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Versus, Białystok 1990).
- PERNAL (Marek), SKÓRZYŃSKI (Jan). *Kalendarium Solidarności 1980-1989*. Str. 134. (Wyd. Versus, Białystok 1990).
- GOMBROWICZ (Witold), *Varia*. Cz. I, II i III. Str. łącznie 540. (Wyd. Res Publica, Warszawa 1990).
- TABORSKI (Bolesław). *Szekspir*. Str. 64. (Wyd. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1990).
- LIZAK (Wojciech). *Rozstrzelana Polonia. Polacy w ZSSR 1917-1939*. Str. 40 i 2 nlb. (Wyd. Prywatny Instytut Analiz Społecznych, Szczecin 1990).
- KOPCZYŃSKI (Krzysztof). *Przed przystankiem Niepodległość. Paryska „Kultura” i kraj w latach 1980-1989*. Str. 91 i 1 nlb. (Wyd. Więź, Warszawa 1990).
- KWIATKOWSKA (Wiesława). *Gwiżdża, miałaś rację. Rozmowy z Andrzejem Gwiżdżą*. Str. 183 i 25 nlb. z fotografiami. (Wyd. ZP Sopot, Gdynia 1990).
- BOCIAN (Marianna). *Z czasu jedni: jest JESTEŚ jestem*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Wydawnictwo „Kret”, Wrocław 1990).
- MAJ (Bronisław). *Zmęczenie*. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990, cena zł 120).
- JEŻEWSKI (Krzysztof). *Księga snów*. Str. 56. (Wyd. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1990).
- LISOWSKI (Krzysztof). *Wspomnienie o nas*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1990).
- Mile miasto. Wiersze o Wilnie i Litwie*. Zebrał i własnym staraniem wydał Leszek Bednarczuk, Kraków 1990).
- TABORSKI (Bolesław). *Polityka. Wybór wierszy*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1990).

- DELAPERRIERE (Maria, red.). *Le baroque en Pologne et en Europe. Colloques Langues'O*. Str. 442 i 2 nlb. (Wyd. Langues'O i CNRS, Paryż 1990).
- SZYSZMAN (Simon). *Les Karaites d'Europe*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Centre d'études multiethniques de l'Université Uppsala, Uppsala 1990).
- BRANDYS (Kazimierz). *Warschauer Tagebuch. Die Monate davor. 1978-1981*. Str. 370 i 6 nlb. Z polskiego przeł. Friedrich Griese. (Wyd. Suhrkamp, wyd. II, Frankfurt/M 1990).
- BRANDYS (Kazimierz). *Rondo*. Str. 331 i 3 nlb. Z polskiego przełożył Olaf Kühl. (Wyd. Luchterhand, Frankfurt/M 1990).
- Wirkungen kritische Theorie und kritisches Denken*. III tom serii *The Frankfurt School: How relevant is it today?* Opr. Ph. v. Engeldorp Gastelaars, Sl. Magala, O. Preuss. Str. 298 i 4 nlb. (Wyd. Universitaire Pers Rotterdam 1990).
- BRANDYS (Kazimierz). *Rondo*. Przekład Giovanni Tomassucci. Str. 369 i 7 nlb. (Wyd. edizioni e/o, Rzym 1990).
- BRANDYS (K.), ESTERHAZY (P.), HEIN (C.), HRABAL (B.), WOLF (C.). *Dall'est*. Przełożyli Annalisa Cosentino, Beatrice Töttösy, Ludmiła Ryba, Valentina di Rosa, Anita Raja. Str. 89 i 7 nlb. (Wyd. edizioni e/o, Rzym 1990).
- BRANDYS (Kazimierz). *L'arte di farsi amare*. Przeł. Giovanna Tomassucci. Str. 150 i 10 nlb. (Wyd. edizioni e/o, Rzym 1990).
- WOŚ (Jan Władysław). *Ła Polonia: mille anni di storia*. Str. 221 i 5 nlb. (Wyd. La Giunta Comunale di Trento, Trento 1990).
- Ukraińskijskij visnyk*. Nry 7, 8, 9, 10. Str. 640. (Przedruk samizdatowego pisma z Ukrainy, wyd. Wydawnictwo Smołoskip, Baltimore-Toronto 1988).
- ANTONENKO-DAWIDOWICZ (Borys). *Sibirski noweli. Tiuremni wirszy*. Opr. Ołes Timoszenko. Str. 310. (Wyd. Wydawnictwo Smołoskip, Baltimore-Toronto 1990).
- Les Kurbas. U teatralnij diajalnosti w ocynkach suczasnikiw — dokumenty*. Redakcja — prof. Valerian Revucki, opracowanie — Osip Zinkiewicz. Str. 1026. (Wyd. Wydawnictwo Smołoskip, Baltimore-Toronto 1989).
- Kafiedra*. Nry 7, 8. Str. odpowiednio 174 i 206. (Przedruk samizdatowego pisma wydawanego we Lwowie, wyd. Wydawnictwo Smołoskip, Baltimore-Toronto 1990).
- Deklaracja pro dierzawnyj suwerenitet Ukrainy. Declaration on the State Sovereignty of Ukraine*. Wydała Wierchowna Rada Ukraińskoj RSR dnia 16 lipca 1990 w Kijowie. Na angielski przeł. Roma Hadzewycz. Str. 10. (Wyd. Wydawnictwo Smołoskip i The Washington Committee in Support of Ukraine, USA).
- WOSLENSKIJ (Michaił). *Nomenklatura. Gospodstwujuszczij klas Sowjetskogo Sojuza* Wyd. II, poprawione i uzupełnione. Str. 670 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- FILIPPOW (Boris). *Wsplywszeje w pamiaty. Rasskazy, oczerki, wospominanja*. Str. 391 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).
- HAYEK (F.A.). *Obszczestwo swobodnych*. Przekład z angielskiego A. Kustariew. Str. 309 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1990).

## SPROSTOWANIE

P. Dana Platter, autorka tomu pt. „Spętanie w obcości”, prosi o powiadomienie, że wyżej wspomniany tom wydany został przez FIMAS, Haninge, Szwecja; w *Kulturze* nr 12/1989 odnotowaliśmy mylnie „wydawnictwo nie podane”. Przepraszamy — Red.

## Polemiki

### Medice, cura te ipsum

Tyle kłamstwa, chamstwa i gnoju, którymi w polskiej prasie, radio i telewizji obrzucono Stanisława Tyimińskiego i wszystkich jego rzeczywistych czy potencjalnych zwolenników, nie pojawiło się na polskiej scenie publicznej od haniebnej pamięci Marca 1968, chociaż nawet wtedy, o ile pamiętam, nikt nie posunął się do sugerowania Polakom, że „syjonistów” mogliby po prostu zabijać! A taką właśnie propozycję uczynił, na łamach *Najwyższego Czasu* (Nr 2 z 1991 r.), niejaki Horwath, pisząc — *expressis verbis*: „Gdyby — nie daj Bóg — Tyimiński wygrał wybory, należałoby dążyć do jego usunięcia *wszelkimi możliwymi sposobami* (podkreślenie Horwatha). Żeby nie było nieporozumień, jakie to sposoby ma na myśli, już w następnym zdaniu, w którym porównuje Tyimińskiego do Hitlera, wyjaśnia że skrytobójstwo w przypadku osobników tego rodzaju nie jest zbrodnią, lecz przysługą oddaną narodowi.

Stanisława Tyimińskiego, jak mi się wydaje, nie oskarżono dotychczas (nie wiadomo zresztą dlaczego?) tylko o jedno: o morderstwo z premedytacją! To nic, że w uroczystym oświadczeniu wyborczym Episkopat Polski nakazał, aby pamiętać o przykazaniu „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu”; jak pokazała praktyka, wezwanie to miało obowiązywać w odniesieniu do „naszych kandydatów”, żeby Wałęsa i Mazowiecki, w ferworze walki, nie zrobili sobie zbyt wielkiej krzywdy. Przestało obowiązywać, gdy przeciwnikiem poważnym okazał się „*homo sovieticus* z peruwiańskiego buszu”. Wtedy Dekalog okazał się całkowicie nieprzydatny.

*Kultura* 1/520-2/521 przynosi pod hasłem „Wybory prezydenckie” teksty trzech wspaniałych polskich publicystów politycznych, Leopolda Ungera, Krzysztofa Wolickiego i Smecz, z których żaden nie pozostawia wątpliwości, że Tyimiński zasługuje tylko na najwyższą pogardę. Rekord bije niewątpliwie Brukselczyk, który jad wylewa wiadrami: w artykule Ungera zakreśliłem 38 fragmentów, w których Tyimiński to: król hucpy, taki Artur Ui, miernota, szumowina, awanturnik, człowiek z buszu, skoczek z bambusa, peruwiański

Dyzma, Edzio z mrożkowego „Tanga”, psychopata, polski Poujade, podejrzany hochsztapler, peruwiański święty Mikołaj, adept *new-age* i telepatii, peruwiański cudotwórca, a nawet — o subtelności wielkiego publicysty! — człowiek, z którym „awantura” (seksualna — jak się wolno domyślać) byłaby dla kobiety wyłącznie nieprzyjemnym incydentem. Krzysztof Wolicki i Smecz, choć używają mniejszej ilości słów, nie pozostają w tyle i rozwalcowują Tyimińskiego i jego zwolenników walcem pogardy i obrzydzenia. Wolicki: „żałosny chłopczyna ze schizofrenicznym napędem, kiedyś może poderbowany do zrzutu pomiędzy emigrantów”, „figura całkiem tuzinkowa”, „znalezisko dla esbeków bez przydziału” (to szczególnie piękna metafora: a gdzież, jeśli wolno spytać, podzieli się „esbecy z przydziałem”?), natomiast wyborcy Tyimińskiego to: „młodziaki z głębokiej prowincji, o niskim poziomie kwalifikacji, o żadnym poziomie szans i perspektywy...”. Smecz: „człowiek, którego wnętrze głowy wydaje się być ofiarą poważnej katastrofy”, „obrzydlivy jak organ płciowy płaza” (no, no!), „gładki i bez wyrazu jak przed chwilą rozpakowany cukierek”, „idol... który coś bajdurzy, kalecząc niemiłosiernie język polski”, „umiejętność gadania bredni opanował do perfekcji”, „majaczy... ochryplym, monotonnym głosem z alkoholowego baru w Mławie”. Itd., itd., itp...

Kiedy to czytam, szczypię się w policzek, by się upewnić, że to wszystko na jawie i sprawdzam jak się nazywa czasopismo, które trzymam w ręku. Nie ma wątpliwości: to *Kultura*. Takim językiem i takimi „argumentami” posługują się najwybitniejsi polscy publicyści polityczni i tyle tylko mają do powiedzenia o najpoważniejszym kontrkandydacie naszego obecnego prezydenta. Czyżby takim językiem spodziewali się trafić do 1/4 wyborców, do tych „młodziaków z głębokiej prowincji”? Same wyzwiska i epitety, ani słowa choćby o książce — programie Tyimińskiego, która — cokolwiek by o niej sądzić — nie daje podstaw do opinii, że „wnętrze głowy jej autora jest ofiarą poważnej katastrofy”? Szukam rozpaczliwie, wertując te teksty raz po raz, jakiegoś rzeczowego zarzutu i jedyne co znajduję, to że Tyimiński nie potępił Jaruzelskiego, że zatrudniał oficerów bezpieki, a szefem jego kampanii wyborczej ma być dziennikarz z *Trybuny Ludu*. Na kamień, by nim rzucić, to te zarzuty się nadają, ale może niekoniecznie w jedną tylko stronę? Przecież to nie Tyimiński wybierał Jaruzelskiego na prezydenta, ani fraternizował się z Kiszczakiem, a komu dziś służą „esbecy z przydziałem”? Nie wiem kogo dotyczy zarzut o pracy w *Trybunie Ludu*, ale nawet gdyby był prawdziwy (o ile mi wiadomo, to nie jest), to czy wypada, żeby takie zarzuty stawiał ktoś, kto w przeszłości też nie pisywał wyłącznie do *Rycerza Niepokalanej*?

Jeśli w tym stylu piszą luminarze publicystyki i *Kultury*, to łatwo sobie wyobrazić, co wygadywali szeregowcy wyborczej propagandy. Jeśli do tego dodać, że do środków przekazu *nie dopuszczano* nikogo, kto mógłby powiedzieć dobre słowo w obronie Tyimińskiego, to nietrudno zrozumieć, na czym polegała atmosfera psy-



chicznego terroru, wytworzona wokół wyborów prezydenckich (zresztą, nie tylko psychicznego). Ta atmosfera panowała przede wszystkim w tych środowiskach, które są najbardziej propagandowo hałaśliwe, w których takie nazwiska jak Unger, Jastrun czy Bielecki coś znaczą i które wymagają, żeby je wymieniano na kolanach. W Mławie, o której z taką pogardą pisze Smecz, w Gorlicach, Kamiennej Górze czy nawet w Wałbrzychu, nazwiska Zimand, Bielecki czy Andrew Nagorski z niczym się specjalnie nie kojarzą, nawet jeśli się pod spodem dopisze „Leopolita” czy „Poleski”, a gęba gadająca w TV jest tylko gadającą gębą. I tym właśnie tłumaczyłbym względną nieskuteczność prowadzonej przez nich kampanii nienawiści do Tymieńskiego, nieskutecznej „na prowincji”, w odróżnieniu od środowisk akademickich, w których okazała się nader skuteczna. Nie wiem czy jest się czym szczycić? W poważnych instytucjach naukowych wobec tego ogłuszającego propagandowego potępienia, wysoko utytułowani uczeni bali się przyznać, że popierają Tymieńskiego i wstydzieli się ujawnić, że po cichu czytali „Święte psy”. Efektem tego wszystkiego był zadziwiający fenomen statystyczny: szacunki INFAS, robione na bieżąco, trzeba było systematycznie korygować na korzyść Tymieńskiego, gdyż wielu ankietowanych bało się ujawnić, że nie poparli Wałęsy.

Jestem zdania, że to te fakty należałoby przede wszystkim przeanalizować i wyciągnąć z nich wnioski, zanim odeśle się społeczeństwo do psychiatry. *Medice, cura te ipsum*. Józef Darski, udzielając przed ponad rokiem wywiadu dla gdańskiej *Solidarności Walczącej* stwierdził, że PZPR się rozwiązała, ponieważ „partia zewnętrzna” nie była już dłużej komunistom potrzebna, a jej rolę, ochotniczo i z zapamiętaniem, przejęła polska inteligencja. Nic nie ilustruje lepiej trafności tego spostrzeżenia, niż przebieg prezydenckiej kampanii wyborczej.

W tym samym numerze *Kultury*, z tekstami trzech polskich wybitnych publicystów, kontrastuje znakomity artykuł włoskiej dziennikarki, Barbary Spinelli, która jedyna w tym gronie potrafiła obronić się przed tym, co określiła jako „ich (Polaków — dopisek mój) obsesję bez wyjścia”. Zapanowała teraz moda na zachodnich ekspertów: pan Sachs doradzający Balcerowiczowi, pan Brzeziński doradzający Wałęsie, pan Andrew Nagorski czołowy dziś komentator polskiej TV. A jednak dziwno mi na myśl, że obiektywizmu, zrozumienia spraw polskich i kultury politycznej uczy w *Kulturze Włoszka*.

Wrocław, 23 stycznia 1999

Jerzy PRYZYSTAWA

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

4.1.91

Zmarł w Warszawie w wieku 80 lat Stefan Żółkiewski, teoretyk kultury i wybitny znawca literatury. Był on założycielem Instytutu Badań Literackich. Po 1956 roku był ministrem Szkół Wyższych i Nauki. W 1968 r. został odsunięty od wszelkich stanowisk, pozbawiony katedry uniwersyteckiej za wystąpienie publiczne w obronie osób represjonowanych. Zajął się wówczas wyłącznie pracą naukową.

20.1.91

Niepokojąca aktywność Lecha Wałęsy. Wprosił się on na wizytę u Papieża, co wywołało niezadowolenie rządu włoskiego, który musiałby wtedy zająć się również wizytą głowy państwa. Udało się jednak przełożyć tę wizytę na termin późniejszy. Ponadto Wałęsa przyjął zaproszenie Tajwanu, ku zaskoczeniu MSZ i obecnie odrabia się tę wizytę. Zapowiedziana jest również wizyta w Waszyngtonie, prawdopodobnie w ciągu marca br., z tym że wizyta oficjalna trwać ma trzy dni, a potem przez czas dłuższy Wałęsa ma wizytować ośrodki polonijne. Według rzecznika prasowego, p. Drzycińskiego, przewidziany jest list do prezydenta-noblisy Gorbaczowa w sprawie zającą na Litwie.

1.2.91

W Warszawie została założona i zarejestrowana spółka wydawnicza Presspublica, w skład której wchodzi: polska spółka wydawnicza w 51% i Socpresse, należąca do koncernu prasowego Roberta Hersant, w 49%. Odtąd Presspublica jest właścicielką dziennika *Rzeczpospolita* i jego wydawcą. Dziennik ten rozchodzi się w 250.000 egzemplarzy — w tym 180.000 w prenumeracie. Plan rozwoju pisma został ustalony na okres przejścia na druk offsetowy, informatyzację, powiększenie objętości pisma oraz polepszenie działu informacji międzynarodowej. ■ Coraz więcej pism polskich przechodzi pod kontrolę zachodnich koncernów prasowych. Oprócz *Spotkań*, sponsorowanych przez koncern Express w Paryżu, koncern Hersanta zamierza zakupić *Dziennik Łódzki*, którego cena jest obliczona na 12 mld złotych. *Dziennik Łódzki* przyniósł w 1990 r. dwa mld złotych.

3.2.91

Zmarł nagle w Warszawie Jan Woźniak, pułkownik dyplomowany 3 DSK, uczestnik dwóch wojen światowych. Pochowany w grobie rodzinnym w Piotrkowie Trybunalskim.

14.2.91

Zmarł na skutek wypadku samochodowego 60-letni biskup Jerzy Dąbrowski, zastępca Sekretarza Konferencji Episkopatu Polski.

15.2.91

W Gdańsku odbył się nadzwyczajny krajowy zjazd delegatów NSZZ „Solidarność”.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

5.12.90

Zmarł w Sztokholmie Filip Istner, znany poeta i eseista.

8.12.90

Na dorocznym zebraniu Institut Français d'Histoire Sociale prof. Henryk Wroński wygłosił referat nt. „Ewolucja sytuacji w Polsce a wypadki w krajach bloku”.

15.12.90

Jan Dowiąłło został mianowany ambasadorem R.P. w Izraelu.

24.12.90

Zmarł pod Paryżem w wieku 87 lat prof. Jerzy Langrod, przed wojną wykładowca prawa administracyjnego na Uniwersytecie Jagiellońskim, współzałożyciel Stronnictwa Demokratycznego, radny m. Krakowa, podczas drugiej wojny światowej żołnierz I Dywizji Grenadierów, następnie jeńiec wojenny. W oflagu kierował studiami uniwersyteckimi. Po wojnie objął na trzy lata katedrę prawa administracyjnego na Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie wyjechał do Francji, gdzie prowadził chlubną działalność naukową w dziedzinie nauki o administracji, której był współtwórcą. Był nadto ekspertem ONZ w zakresie administracji.

29.12.90

Włodzimierz Olejnik złożył rezygnację ze stanowiska redaktora *Tygodnia Polskiego* w Londynie, w związku z objęciem funkcji przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS w Polsce.

9.1.91

Zmarł w St. Leonard-on-Sea w wieku 82 lat Marian Czuchnowski, wybitny poeta i pisarz.

11.1.91

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt senatora J. Stępnia, który przedstawił sytuację w Polsce po wyborach prezydenckich.

18.1.91

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyło się spotkanie z Wojciechem Pszoniakiem z okazji wejścia na ekrany filmu Andrzeja Wajdy „Korczak”. Tematem spotkania były „Refleksje nad sztuką aktora”. 25.01.br. miał miejsce odczyt prof. Tadeusza Wyrywy na temat „W kręgu dziejopisarstwa polskiego doby współczesnej”. 15.02.br. Michał Heller (Adam Kruczek) wygłosił odczyt na temat „Koniec pieriestrojki?”.

21.1.91

W dniu 21 stycznia br. odbyło się pierwsze zebranie Komisji Likwidacyjnej Rządu R.P. na Uchodźstwie, ustanowionej przez Prezydenta R.P. Ryszarda Kaczorowskiego dekretem z dnia 20 grudnia 1990 r. Przewodniczącym Komisji został mianowany prof. dr Edward Szczepaniak, dotychczasowy Prezes Rady Ministrów. Obowiązki Zastępcy Przewodniczącego Komisji powierzono p. Jerzemu Zaleskiemu, który ponadto przygotowuje likwidację Biura Rady Ministrów i Ministerstwa Informacji oraz zorganizuje opracowanie „Historii Politycznej Drugiej Emigracji”.

W skład Komisji weszli, jako rzecznicy likwidowanych resortów, gen. Jerzy Morawicz (sprawy wojskowe), p. Jerzy Ostoja-Koźniewski (sprawy skarbu), prof. dr Zygmunt Szkopiak (sprawy emigracji, łącznie ze sprawami

oświaty i kultury oraz z likwidacją ministerstwa spraw zagranicznych i spraw Polaków w ZSSR), p. Bohdan Wendorff (sprawy archiwalne i sprawiedliwości) i p. Ryszard Zakrzewski (sprawy krajowe). Kierownictwo Biura Komisji objął inż. Ferdynand Pasiecznik.

Po ustaleniu zasad organizacyjnych, Komisja dokonała wstępnego przeglądu zasad gospodarki finansowej i administracyjnej, związanych z likwidacją Rządu i Skarbu Narodowego oraz innych instytucji utworzonych przez Władze R.P. na obczyźnie w ciągu przeszło 50 lat ich działalności, takich jak Fundusz Pomocy Krajowi, Rada Pomocy Uchodźcom, Polonia Aid Foundation Trust, etc.

22.1.91

W Instytucie Polskim w Paryżu minister Sprawiedliwości R.P. Wiesław Chrzanowski omawiał aktualną sytuację polityczną w Polsce. 13.02.br. odbył się pokaz filmu Andrzeja Wajdy „Korczak”. 20.02.br. miało miejsce spotkanie z Kazimierzem Wóycickim, redaktorem naczelnym *Życia Warszawy*, a 21.02.br. z Bronisławem Wildsteinem, dyrektorem Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie; 22.02.br. spotkanie z Marianem Terleckim, przewodniczącym Komitetu Radiotelewizji Polskiej.

30.1.91

Uniwersytet w Lille (Francja) przygotowuje kolejną sesję naukową w kwietniu br. Organizatorem tej sesji jest doc. M. Tomaszewski, a tematem „Wielokulturowość współczesnej literatury polskiej”. Wezmą w niej udział Polacy pochodzenia żydowskiego, ukraińskiego i niemieckiego.

3.2.91

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w Nowym Jorku Zdzisław Bau, znany dziennikarz i publicysta. Urodził się w Krakowie w styczniu 1912. Do szkół chodził w Szwajcarii; po powrocie do Polski pracował jako reporter w Warszawie w tzw. „czerwonej prasie”. Stale wysyłany był tam gdzie się coś działo lub na wywiady z różnymi osobistościami. Po wybuchu wojny starał się przejść na Węgry. Złapany przez Sowieców przy przechodzeniu granicy, aresztowany i zesłany do Gułagu, siedział do tzw. „amnestii”. Wypuszczony zjawił się w Buzułuku w tworzonym w ZSSR wojsku gen. Andersa i od razu zaczął pracować w nastuchu radiowym i jako dziennikarz. Był naszym kolegą i przyjacielem. Wspomnienie o Zdzichu ukaże się w niedługim czasie.

4.2.91

Zmarł w Turynie (Włochy) w wieku 82 lat kpt. Jan Jaworski, oficer lwowskiego ZWZ/AK pod okupacją sowiecką, aresztowany przez NKWD i zesłany do łagrow na Syberii, po zwolnieniu oficer sztabu Drugiego Korpusu. Po wojnie osiedlił się we Włoszech, gdzie założył i był wieloletnim prezesem „Ogniska Polskiego” w Turynie. ■ Stowarzyszenie b. wychowanków *Institut des Langues Orientales* w Paryżu zorganizowało odczyt prof. Jana Błońskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie pt. *Pour une nouvelle présentation de la prose polonaise contemporaine*.

9.2.91

Zmarła w Paryżu w wieku 88 lat Ola (Paulina) Watowa, wdowa po Aleksandrze Waciu, autorka książki pt. „Wszystko co najważniejsze — rozmowy z Jackiem Trznadłem”.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

W Indiana University w Bloomington, Indiana, istnieje od 1975 r. Centrum Polskich Studiów przy Instytucie Rosyjskim i Wschodnioeuropejskim, które organizuje konferencje, wykłady, regularne kursy języka, literatury i kultury polskiej oraz współpracuje z Centrum Studiów Amerykańskich przy Uniwersytecie Warszawskim, powstałym w 1976 r. W bibliotece Instytutu w Bloomington jest ponad 300.000 książek w językach wschodnioeuropejskich, w tym około 35.000 woluminów po polsku (ok. 290 czasopism). Ośrodek warszawski jest jednym z 26 niezależnych departamentów, które mogą prowadzić samodzielne badania naukowe. Biblioteka ośrodka liczy ponad 50.000 pozycji, w tym 10 tys. książek, czasopism, mikrofilmów i slajdów. Ważnym elementem współpracy jest wymiana studentów i pracowników oraz konferencje naukowe. ■ Pod koniec listopada Jan Karski otrzymał w Waszyngtonie nagrodę Archidiecezji Warszawskiej i Ligi Przeciw Zniesławianiu Żydów B'nai B'rith za przeprowadzenie wojennej misji informującej rząd brytyjski i amerykański o losie Żydów. ■ W Hamtramck, Michigan, po upadku wydawanego od 1904 r. (ostatnio jako tygodnik) detroickiego *Dziennika Polskiego*, jego ostatnia redaktorka naczelna, Ewa Juńczyk-Ziomecka, stanęła na czele nowego, ale przynajmniej się do dotychczasowej tradycji, tygodnika *Świat Polski*. ■ *New York Times* zamieścił 21 grudnia ub.r. list Carla Olsona, pisarza i szefa State Department Watch (Waszyngton), protestujący przeciwko przeniesieniu prochów Ignacego Paderewskiego do Polski. W liście pod tytułem „Nie pozwolimy im zabrać Paderewskiego” Olson przypomina, że Paderewski nie wyraził w swoim testamentie życzenia ewentualnego pochowania go w Polsce, nie pozostawił żadnych pełnomocnictw w tej materii dla prezydenta Roosevelta (potwierdzają to archiwa Biblioteki Roosevelta w nowojorskim Hyde Parku), a w Stanach Zjednoczonych, gdzie zrobił karierę i zarobił fortunę, czuł się znakomicie. Oprócz tego, co napisał Olson, należy przypomnieć, iż problem nie ogranicza się do tego, że Narodowy Cmentarz w Arlington jest szczególnie ważny dla Amerykanów i że Paderewski jest jednym z niewielu cudzoziemców na tym cmentarzu, ale że zabranie jego prochów wbrew wszelkim zapisom testamentarnym (artysta napisał wprost, że nawet jeśli kiedykolwiek przenoszono by jego ciało do Polski, chciałby aby serce pozostało w kraju, któremu tyle zawdzięcza) i logice, jest policzkiem wymierzonym Amerykanom, którzy nie lubią, aby ich kraj traktować jako swego rodzaju przechowalnię żywych czy zmarłych. Z perspektywy warszawskiej ekshumacja prochów Paderewskiego jest najprawdopodobniej jednym z elementów modnej ostatnio swoistej nekrofilii, czego innym przykładem może być przenoszenie prochów żołnierzy sowieckich z

jednych miejsc w inne, jako rzekomy przejaw odzyskania niepodległości. ■ W Hoover Institution on War, Revolution and Peace, mieszczącej się w Stanford, Kalifornia, która ma roczny budżet w wysokości 15 milionów dolarów, 38 kilometrów półek, 40 milionów dokumentów i 2 miliony książek, istnieje kolekcja polska powstała jako wynik kontaktów i znajomości E.D. Adamsa z R. Dmowskim na konferencji w Wersalu. ■ W grudniu ub. r. na zaproszenie USIA (Agencja Informacyjna Stanów Zjednoczonych) odwiedziło uniwersytety w Arizonie, Colorado i Michigan 6 polskich ekspertów z Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej w Polsce, którzy mieli oprócz udziału w seminariach naukowych obserwować również pracę organów samorządowych w USA. ■ Skała Black Hills w Południowej Dakocie od 1949 r. jest przekształcana przez Korczaka Ziółkowskiego (zmarłego w 1982 r.), jego żonę i siedmioro dzieci w rzeźbę znanego wodza indiańskiego Crazy Horse. Ziółkowski traktował swą pracę nie tylko jako replikę słynnych wyrzeźbionych w skale głów 4 prezydentów USA, ale przede wszystkim jako hołd i próbę zadośćuczynienia setkom tysięcy Indian wymordowanych przez białych imigrantów. Ziółkowski finansował prace z pieniędzy pochodzących z biletów wstępu, datków i sprzedaży pamiątek indiańskich: odmawiał przyjęcia funduszy rządu federalnego. Rzeźba po ukończeniu ma mieć 641 stóp długości, 568 stóp wysokości (więcej niż 1/3 najwyższego budynku na świecie — Sears Tower) i przedstawiać ma indiańskiego wodza na koniu. W roku 1990 miejsce prac odwiedziło 1,2 miliona widzów. ■ W grudniu prezydent Bush podpisał uchwaloną wcześniej przez Kongres nową ustawę, która oprócz zwiększenia liczby imigrantów o 400 tysięcy w ciągu najbliższych lat i przyznania dodatkowych kwot dla osób z poszukiwanymi zawodami z Europy Zachodniej oraz z krajów dostarczających niegdyś wielu imigrantów (Polska, Włochy, Irlandia) znosi także restrykcje dotyczące komunistów, anarchistów i chorych na *aids*. ■ Na początku grudnia obchodził 88-lecie organ Związku Wolnych Polek w Ameryce, niegdyś tygodnik, obecnie dwutygodnik, *Głos Polek*, wydawany od 1910 r. w Park Ridge w Illinois. ■ W Nowym Jorku, w trzy tygodnie po odsłonięciu, został zbezczeszczonej pomnik zamordowanego przez polskich komunistów księdza Jerzego Popiełuszki. Pomnik wystawiony z inicjatywy miejscowego oddziału KPA pomoże odnowić LOT. ■ W Connecticut przystąpiono w grudniu do organizowania polskiego programu telewizyjnego, który ma mieć charakter informacyjno-edukacyjny. Warto przypomnieć, że programy polskie są nadawane w tzw. kanałach etnicznych telewizji publicznej, m.in. w Nowym Jorku i Chicago; w Chicago istnieje też prywatny polski kanał „Polvision”, opierający się głównie na materiałach telewizji warszawskiej. W Nowym Jorku natomiast przystąpiono ostatnio do codziennych retransmisji polskich dzienników na 25 programie WYNE. ■ Prokurator generalny Dick Thornburgh poinformował, że Federalne Biuro Śledcze (FBI) przeszkoli polską policję. ■ Działający w Filadelfii, Pensylwania,

Polski Uniwersytet Ludowy od stycznia do kwietnia przeprowadził spotkania z Janem Gajewskim (zmiany gospodarcze w ostatnim 20-leciu PRL), Mironem Wolnickim (zachodnie inwestycje w Polsce), Janem Nowakiem (działalność RWE) i prof. Piotrem Wandyczem z Uniwersytetu w Yale (Konstytucja 3-go Maja). ■ W teatrze „Pfeifer” w Buffalo przy State University of New York odbywają się przedstawienia sztuki wyreżyserowanej przez Kazimierza Brauna, opartej na powieści Orwella „Folwark zwierzęcy”; reżyser zrezygnował z tradycyjnych zwierzęcych atrybutów w swej adaptacji. W Nowym Jorku przedstawienie „Tanga” Mrożka cieszy się dobrą frekwencją. ■ W drugiej połowie grudnia odbył się 22 Zjazd Amerykańskiego Stowarzyszenia Rozwoju Studiów Słowiańskich, któremu towarzyszyła wystawa książek. Mówiono m.in. o problemach dotyczących zbiorów slawistycznych oraz ich katalogowania, a udział wzięli wybitni fachowcy z Biblioteki Kongresu i Biblioteki Publicznej Nowego Yorku. ■ W Pensylwanii, Nowym Jorku, Kalifornii i na Florydzie otworzono cztery nowe sobotnie szkoły polonijne. W niektórych starych centrach polonijnych ubywa z kolei uczniów w tych szkołach, co częściowo wynika z migracji bogacącej się części Polonii do nowych rejonów kraju lub na przedmieścia wielkich miast. ■ W styczniu Amerykański Urząd Imigracyjny (INS) przeprowadził m.in. na lotnisku chicagaskim wzmoczone kontrole przybywających turystów, w tym także z Polski. Okazało się, że większość przybywających Polaków albo nie miała wszystkich wymaganych przez amerykańskie prawo dokumentów, albo była zapraszana do USA przez osoby nie mające tych możliwości (nielegalny pobyt), czego zorganizowanie ułatwiały niektóre polskie lub polonijne biura turystyczne. Po raz pierwszy polscy obywatele otrzymali pomoc konsulatu RP (przy bezinteresownym wsparciu mec. Orwina E. Kasprzyka), ale sprawa jest niesłychanie delikatna, ponieważ zarówno urzędnicy konsulatu jak i amerykańscy pracownicy INS-u wiedzą, że rzadko kto z Polski przybywa do USA w innym celu niż zarobkowy (najczęściej jest to praca nielegalna, pozwalająca się też wzbogacić niektórym polonijnym przedsiębiorcom nie płacącym podatków i świadczących pracowniczych). ■ Instytut Gallupa po raz pierwszy badał mieszkańców Europy wschodniej; wśród tych narodów najczęściej optymizmu wykazali Polacy: tylko 17% przyznało się do obaw, iż rok 1991 może być trudniejszy niż poprzedni. ■ Warszawska korespondentka pisma *The Economist*, Anne Appelbaum, zamieściła w *The Wall Street Journal* artykuł o Polsce, w którym oprócz dość ponurego obrazu rzeczywistości (30-procentowy spadek produkcji, 40-procentowe obniżenie standardu życia i bezrobocie dochodzące do miliona) zaakcentowała pozytywne zmiany w polskiej ekonomii. ■ W wielu stanach w szkołach publicznych, w których liczba dzieci nowych imigrantów jest duża, działają dwujęzyczne programy nauczania, np. w Michigan korzysta z nich ok. 17,5 tys. dzieci. Program taki pozwala uczniom przez trzy lata od przyjazdu do USA uczyć się dwóch przedmiotów w jego

pierwszym języku. O ile jednak różne grupy etniczne mają wystarczającą liczbę nauczycieli, to niestety np. w publicznych szkołach chicagaskich pozostaje nieobsadzonych wiele miejsc ze względu na brak chętnych Polaków lub bariery biurokratyczne, które trzeba pokonać, aby otrzymać stanowe uprawnienia do nauczania. ■ Firma „Levi Strauss”, produkująca znane na całym świecie spodnie, nie mogąc przebić się przez biurokrację największego polskiego ośrodka włókienniczego w Łodzi, ulokowała się w Płocku, gdzie trafiła na sprzyjające warunki. Firma ma otworzyć w Polsce 32 sklepy. ■ Armia Zbawienia wraca do Europy wschodniej po wieloletniej tam nieobecności. ■ W wyniku listopadowych wyborów w stanie Michigan wygrało wielu kandydatów polskiego pochodzenia (np. Roman Gribbs — sędzia Stanowego Sądu Apelacyjnego) lub dzięki polskim głosom (gubernator stanowy — John Engler). Jednocześnie los wielu polonijnych instytucji i imprez, szczególnie w niszczącym omalże z dnia na dzień Detroit, wydaje się przesądzony; najprawdopodobniej nie odbędzie już organizowany Festiwal Polski w tym mieście. Detroit jest w ponad 70% miastem Murzynów, których dotknęło bezrobocie w związku z krachem części przemysłu motoryzacyjnego, rozwijającego się dawniej w tym mieście. Z drugiej strony inicjatywa wydawania wspomnianego tygodnika *Świat Polski* może świadczyć, iż polska grupa się nie poddaje. ■ W styczniu na zaproszenie National Conference od State Legislative Exchange i USIA delegacja polskich burmistrzów i członków samorządów zapoznała się z pracą i organizacją miast: Annapolis, Baltimore, Denver, Chicago i Waszyngtonu. Zważywszy na wzrastający w Polsce poziom przestępczości, szczególnie doświadczenia trzech ostatnich miast mogą być pomocne Polakom. ■ Narodowy Bank Polski wybrał Electronic Data Systems jako partnera przy organizacji Bankowego Towarzystwa Telekomunikacyjnego, które ma stymulować rozwój banków w RP oraz świadczyć usługi telekomunikacyjne i informacyjne innym instytucjom finansowym. ■ Apolityczna Fundacja Projektu „HOPE” działa od 1958 roku, a obecnie realizuje swe programy medyczne w 24 krajach. W Polsce Fundacja szczególnie zainteresowana jest Krakowem ze względu na dużą śmiertelność niemowląt. Tam też znajduje się wielka klinika pediatryczna, która obecnie będzie rozwijana dzięki grupie kilku ochotników (dr Stanisław Szeifelbein, Dr John Murphy i dr Dale Johnson) oraz zaangażowania wiceprezesa Projektu „HOPE”, Johna T. Walsha. Z programu skorzystało już 500 polskich pracowników medycznych, którzy mogli rozwijać swą wiedzę w USA, a ponad 100 Amerykanów przyjechało do Polski, aby zapoznać personel szpitala z najnowszymi amerykańskimi zdobyczami technicznymi. ■ Northwestern University of Illinois, jeden z najlepszych w kraju, pomoże stworzyć w Polsce „wylegarnię” wynalazców i pomysłów (prawdopodobnie przy Politechnice Warszawskiej). ■ Zbiórka przeprowadzona na rzecz polskich dzieci w Sowietach przyniosła ok. 45.500 dol., które zostały przekazane do Polski na organizowanie

m.in. kolonii letnich. ■ W styczniu Thom Dombkowski, założyciel pierwszego w Chicago domu dla chorych na *aids*, otrzymał od prywatnego fundatora nagrodę w wysokości 25 tys. dolarów. Hospicjum zostało zorganizowane w 1985 r. głównie z funduszy własnych Dombkowskiego, a obecnie jest jednym z najlepszych i w ramach federalnych i stanowych programów uczestniczy w walce z *aids*. ■ Public Interest Parole jest nową formą wyjazdu do kraju dla ludzi, którym już nie przysługuje status uchodźcy, a których członkowie rodzin są rezydentami lub obywatelami USA i będą mogli ich w przyszłości sponsorować na pobyt stały; inna możliwość to sponsorowanie przez pracodawcę. PIP jest zezwoleniem na wjazd, legalny pobyt i pracę w USA, ale nie jest jednoznaczny z otrzymaniem „zielonej karty” pobytu. Nie można więc opuszczać kraju, sponsorować innych imigrantów ani ubiegać się o własną „zieloną kartę”. ■ Polskie pielęgniarki mają szansę otrzymania amerykańskiej wizy z pozwoleniem na pracę i stały pobyt oraz — po odpowiednim przeszkoleniu — licencji dyplomowanej amerykańskiej pielęgniarki. Jedną z takich szkół przygotowawczych zorganizowano już w Polsce, druga jest organizowana w Chicago. ■ Wartość pomocy jaką wysłała do Polski Fundacja Charytatywna KPA przez jedenaście lat swego istnienia wyniosła 171 mln dol. a sam transport tych dóbr kosztował 6.800 dol. Choć większość sprzętu medycznego, leków oraz odżywek dla dzieci Fundacja otrzymała od różnych organizacji i agencji jako dary, problemem było nie tylko ich uzyskanie (potrzebujących na świecie jest wielu), lecz też zgromadzenie pieniędzy na ich dostarczenie do Polski. ■ Według ostatniego spisu powszechnego liczba ludności USA wynosi 249.682.692 i wzrosła o 10,2% w stosunku do 1980 r. W dalszym ciągu największy przyrost ludności ma Kalifornia, natomiast ubywa ludności w dawnych ośrodkach politycznych i gospodarczych na wschodnim wybrzeżu. ■ Harvey Sarner, chicagowski prawnik i filantrop, postanowił sam uhonorować tych spośród polskich „sprawiedliwych”, którzy jeszcze nie odwiedzili muzeum Yad Vashem w Jerozolimie; opłacił i zorganizował podróż do Izraela 125 Polakom, których najczęściej nie było stać na opłacenie tak kosztownej podróży. ■ National Institute for Citizen Participation and Negotiation organizuje w kilku krajach wschodniej Europy (Polska, Rosja, Węgry i Bułgaria) ośrodki szkolenia specjalistów od rozwiązywania konfliktów i negocjacji. ■ Polska Opieka Społeczna w Chicago zorganizowała — wzorem innych organizacji etnicznych ułatwiających pierwsze kroki w kraju imigrantom — grupy wolontariuszy pomagających Polakom uczyć się języka angielskiego. W działaniach tych liczy się przede wszystkim emocjonalny związek ucznia i uczącego, co pomaga nie tylko w opanowaniu języka, ale i w skuteczniejszej asymilacji.

Mariusz SZAJNERT

## KRONIKA KANADYJSKA

13.12.1990 r. zmarła w Toronto, w wieku 78 lat, Krystyna Sadowska, artysta-plastyk. Najpierw poświęciła się artystycznym tkaninom, następnie zajęła się ceramiką, później malarstwem i rzeźbą. Jej tkanki zdobyły szereg międzynarodowych nagród, a inne jej dzieła znajdują się w muzeach. Jej rzeźby zdobią w Kanadzie kilka budynków uniwersyteckich, państwowych i publicznych. Dwie rzeźby znajdują się w kościele Wszystkich Świętych i w kolegium OO Jezuitów w Toronto. Krystyna Sadowska otrzymała za całokształt twórczości artystycznej nagrodę Fundacji Jurzykowskich. ■ Komisja charytatywna Kongresu Polonii Kanadyjskiej przekazała Komisji charytatywnej Episkopatu Polski sumę Dol.c. 35.000, przeznaczoną na prace remontowo-budowlane w Borowej Wsi. ■ Oddział Toronto Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie ukonstytuował się następująco: przewodnicząca — Iwona Bogorya-Buczowska, wiceprzewodniczący — dr John Stanley, sekretarz-skarbnik — mgr Tamara Trojanowska. ■ W styczniu br. zmarł w Toronto artysta malarz Zigi Kucharski, syn polskich imigrantów, urodzony i wykształcony w Kanadzie. Jego prace o tematyce planetarnej zdobią m.in. Planetarium w Toronto, a ilustracje — wiele książek o tematyce planetarnej. ■ Fundusz Jana Pawła II dla polskich sierot i dzieci opuszczonych przy parafii św. Stanisława Kostki w Toronto zebrał i przekazał do Polski w 1990 r. Dol. 27.000, które podzielono między domy opiekuńcze SS Nazaretanek, Urszulanek i Salezjanek w Krakowie, Tarnowie, Częstochowie, Lublinie, Głogowie, Łodzi i Karwowo-Szczecinie. Biskup Lubelski przysłał list z podziękowaniem za tę pomoc, jak również kardynał Macharski potwierdził odbiór dotacji w wysokości 15.000 dolarów kanadyjskich. ■ 12.01.br. zmarł w Ottawie w wieku 76 lat prof. dr Ludwik Kos Rabcewicz-Zubkowski, prezes Oddziału Polskiego Instytutu Naukowego w Ottawie, prawnik — specjalista w zakresie prawa międzynarodowego, autor licznych prac naukowych, m.in. *The Poles in Canada*. Brał czynny udział w życiu polonijnym w organizacjach w Montrealu, później w Ottawie, wykładał w studium slawistyki uniwersytetu w Montrealu. ■ Zmarł w Toronto w wieku 75 lat inż. Roman Zakrzewski, współzałożyciel Koła 20 SPK w Toronto, prezes Koła oraz ofiarny działacz społeczny. ■ Ministerstwa Oświaty prowincji Saskatchewan i Ukrainiejskiej Republiki Sowieckiej zawarły umowę o współpracy. Przewiduje ona m.in. wymianę nauczycieli, studentów i materiałów naukowych, w tym podręczników. Minister oświaty prow. Saskatchewan, Ray Meiklejohn, sądzi iż porozumienie to jest otwarciem do współpracy i na innych odcinkach: nauki, technologii, handlu i przemysłu. Układ został podpisany w czasie wizyty Wołodymyra Luhowy, ukraińskiego wiceministra oświaty.

Toronto 15.01.91 r. i 1.02.91 r.

B.H.

## KRONIKA NORWESKA

W czasie wizyty prezydenta Litwy Landsbergisa w Oslo (4.01.91 r.) powstała z inicjatywy Norweskiego Komitetu Helsińskiego organizacja SOS Balticum, która ma się zająć pomocą humanitarną. ■ Vytautas Landsbergis przedstawił się publiczności w Oslo nie jako głowa państwa, ale jako artysta. Uczestnicząc jako gość honorowy w koncercie noworocznym, z własnej inicjatywy wykonał prelude kompozytora litewskiego Ciurlionisa. ■ 7.01.br. norweski minister Obrony, Jorgen Holst, ogłosił, że „niektóre sowieckie jednostki wojskowe, wycofywane z Europy Środkowej, kierowane są do Murmańska, część jednostek mających ulec likwidacji przekazywana jest KGB, a sowiecki budżet obronny na 1991 rok uległ zwiększeniu w stosunku do roku ubiegłego”. ■ Na wieść o masakrze ludności cywilnej w Wilnie premier Norwegii Gro Harlem Bruntland wystąpił 13.01.br. do Gorbaczowa list protestacyjny. Zarówno 13, jak 14 i 16 stycznia br. odbyły się w Oslo demonstracje. W swoisty sposób zademonstrował w telewizji norweskiej komentator pogody: z jego mapy zniknęła Moskwa, a pojawiło się Wilno. Powstają nowe organizacje solidarności z Litwinami, Łotyszami i Estończykami. Wszystkie partie polityczne, reprezentowane w parlamencie, postanowiły wysłać swych przedstawicieli do państw bałtyckich. Na nowo rozgorzała dyskusja na temat zeszłorocznej Nagrody Pokoju dla Gorbaczowa. Pojawiły się już nie tylko zdania o odebraniu mu nagrody Nobla, ale nawet propozycje odwołania obecnego komitetu nagrody Nobla, jeśli będzie się upierał przy podtrzymaniu zeszłorocznej decyzji. Biskup norweski Kościoła państwowego, Per Lonning, zwrócił się do Norwegów z apelem o przyznanie prezydentowi Litwy, Vytautasowi Landsbergisowi, Nagrody Pokoju społeczeństwa norweskiego. Ta myśl została natychmiast podchwyczona i już 14 stycznia powstał komitet tej nagrody, któremu przewodniczy marszałek sejmu, Jo Benkow. Organizatorzy przewidują, że uda im się zebrać 4 mln koron, tj. tyle ile otrzymał Gorbaczow. ■ Elena Bonner, wdowa po Andrieju Sacharowie, zwróciła się 14 stycznia br. do Komitetu Nagrody Pokoju Nobla prosząc o wykreślenie nazwiska jej męża z listy laureatów; motywowała to tym, iż nie chce, aby nazwisko A. Sacharowa figurowało na tej samej liście co Gorbaczowa. ■ 15.01.br. przybył do Oslo nowy konsul R.P., p. Marek Mac — prawnik z Łodzi. ■ Jak informuje norweski Komitet Nagrody Pokoju Nobla w dn. 21.01.br., Gorbaczow zapowiedział wygłoszenie wykładu laureata Nobla na maj br. ■ 1.02.br. przywódca partii konserwatywnej, do niedawna premier, Jan P. Syse, ostro skrytykował obecny socjaldemokratyczny rząd norweski za ograniczenie się do gestów w sprawach prześladowanych Bałtów. Syse zaproponował wysłanie statku ze sprzętem drukarskim, technicznymi urządzeniami radiowymi i telewizyjnymi oraz papierem dru-

karskim. ■ Wilno i Oslo podpisały umowę o współpracy i stały się miastami zaprzyjaźnionymi (bliźniaczymi). Prezydent stolicy Norwegii wybiera się w najbliższym czasie z wizytą do Wilna.

Oslo, 2.02.1991 r.

Paweł GAJOWNICZEK

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

## WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postłowia*.

Str. 276

Cena F. 145,00.

TOM 457

## POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka  
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

## CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

## ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

„Takie sprawy nigdy nie są na 100 procent pewne, załamanie się w śledztwie mogło spotkać każdego, nie ferowaliśmy więc wtedy żadnego wyroku, jednak późniejsze wypadki potwierdziły, przynajmniej częściowo, naszą opinię”. Dalej podają nazwiska rozstrzelanych osób, z którymi związana była sprawa Kurcyszusa.

4. Z listu p. Marcinkowskiego dowiedziałem się, że płk Kurcyszus, już będąc w NSZ-cie, pobierał nadal pensję od AK, otrzymując ponadto emeryturę od naszego rządu na Zachodzie. Jeżeli tak, źle to o nim świadczy i p. Marcinkowski, wspominając o tym, najgorszą wyświadczył mu przysługę.

5. Pisząc moją książkę, nie opierałem się tylko na pamięci, ale na mym raporcie sporządzonym na początku roku 1946 dla Kontrwywiadu Sztabu Naczelnego Wodza, gdy po wojnie znalazłem się w Londynie.

Jestem historykiem a nie propagandystą, żaden pogląd polityczny nie odgrywa w moich pracach jakiegokolwiek roli, o NSZ-cie pisałem tylko raz, w mojej książce *Polska w drugiej wojnie światowej*, wyłącznie faktologicznie, żadni byli dowódcy AK nie mieli na mnie wpływu.

Zanim zarzuci się komuś kłamstwo, trzeba samemu dobrze wiedzieć, o czym się pisze. Pan Marcinkowski nie zna nawet nazwiska człowieka, o którym mowa, a to sprawa niebagatelna, bo czasem może chodzić o zupełnie inną osobę.

Z wyrazami szacunku i pamięci,

Józef GARLIŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Wydaje się, że niektórzy politycy amerykańscy doszli do wniosku, że na rozgłośnie RWE polską, czeską i węgierską nie ma pieniędzy, że nie potrzeba już na nie łożyć, gdyż nie wymagają tego interesy amerykańskie.

O jednym rozwiązaniu mówi się ostatnio z niepokojem w polskich środowiskach emigracyjnych i wśród pracowników RWE. A mianowicie, idzie o „sprywatyzowanie” rozgłośni. Już obecnie wydzielono ze struktury Radia Wolna Europa i Radia Swoboda odrębny instytut analiz, który będzie pełnił odpłatnie rolę usługową wobec zainteresowanych zleceniodawców. Dyrektorem nowego instytutu został dotychczasowy dyrektor RWE A. Ross Johnson.

Oficjalnie zapowiedziano już częściową „prywatyzację i komercjalizację” niektórych redakcji i utworzono komisję złożoną z kierowników rozgłośni czeskiej, polskiej i węgierskiej. Na czele tej komisji stanął Piotr Mroczyk, obecny dyrektor Rozgłośni, a w swoim czasie dyrektor i założyciel niestawnej Fundacji „Solidarności” w Stanach Zjednoczonych.

Robione są już przygotowania zmierzające do zmniejszenia kosztów rozgłośni. Koszta można zmniejszyć przede wszystkim przez redukcję personelu w Monachium i zastąpienie go... personelem w Polsce (redaktorzy, technicy, lektorzy). Różnica w płacach byłaby ogromna, gdyż koszty w Niemczech są o wiele wyższe niż koszty w Polsce. Odpadają stałe wydatki socjalne, które są dla pracodawców zachodnich wielkim obciążeniem, jak również zobowiązania z tytułu niemieckiego prawa pracy, które jest bardzo rygorystyczne. Już obecnie ośrodek Radia przenosi się do Warszawy. Mianowicie ukazał się okólnik, z którego wynika, że p. Wierzyński, kierownik oddziału w warszawskiego Wolnej Europy, musi aprobować wszystkie teksty nadawane z Mona-

## Listy do Redakcji

Londyn, 21.1.1991.

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze *Kultury* ukazał się list p. W.M. Marcinkowskiego oskarżający mnie o atak na Narodowe Siły Zbrojne w mojej dokumentarnej książce *Niezapomniane lata*. Są to dzieje Wywiadu Więziennego i Wydziału Bezpieczeństwa Komendy Głównej AK. Jest tam krótki rozdział o aresztowaniach w Departamencie Komunikacji Delegatury Rządu, a wśród aresztowanych wymieniony jest płk inż. Tadeusz Kurcyszus (nie Kurcyszus, jak pisze Marcinkowski).

W związku z tym listem muszę stwierdzić co następuje:

1. Rozdział mojej książki, o którym mowa, nie ma nic wspólnego z NSZ i nazwa ta w ogóle nie jest w nim wspomniana. Jedyńie w przypisie stwierdziłem: „Po wojnie dowiedziałem się, że Kurcyszus nie powrócił do AK, ale przeszedł do Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) i tam, w lipcu 1943 r., objął stanowisko Komendanta Głównego”. Wypadki, o których piszę, dotyczą okresu, gdy Kurcyszus był w Komendzie Głównej AK i w Delegaturze Rządu.

2. Pan Marcinkowski zarzuca mi kłamstwo, bo stwierdziłem, że po aresztowaniach w Departamencie Komunikacji DR, płk Kurcyszus razem z innymi znalazł się na Pawiaku, gdy według jego danych aresztowała go policja kryminalna (*Kripo*) i siedział w więzieniu przy ulicy Koszykowej. Pomijając fakt, że więzienie dla kryminalistów znajdowało się wtedy na Mokotowie, przy ul. Rakowieckiej, Kurcyszus na pewno był na Pawiaku, bo nawiązałem z nim sekretną korespondencję i czytałem jego raport, który napisał na polecenie Komendy Głównej AK, gdy wyostał się z więzienia. Pan Marcinkowski twierdzi, że kłamię, bo chcę w ten sposób podważyć sam fakt istnienia tego raportu, z którego wynikało, że Kurcyszus uratował się, obciążając innych. To nie na wiele się przyda, bo zachowała się, przynajmniej częściowo, ewidencja Pawiaka. Znana jest nawet data, 24 grudnia 1942 roku, gdy Kurcyszus wyszedł na wolność.

3. Sam przeszedłem śledztwo w Gestapo, Pawiak i Oświęcim i wcale nie jestem pochopny w rzucaniu oskarżeń. Dlatego w sprawie Kurcyszusa piszę:

chiem z wyjątkiem Panoramy Dnia oraz Faktów, Wydarzeń, Opinii, które są nadawane żywym głosem. Jest to bardzo charakterystyczne, gdyż do tej pory aprobaty tekstów należała do zastępców p. Mrocza, redaktorów Gawlikowskiego i Sussa. Wszystko to ma posmak afery, na której ktoś chce zarobić duże pieniądze.

Nazwisko autora powyższego listu jest znane Redakcji

Oxford, 3 stycznia 1991.

Szanowny Panie Redaktorze,

Antoni Pospieszalski, a artykule pt. *Jezuici (Kultura nr 12/519, grudnia 1990, str. 86)*, pisze, że Pius III „Dopiero po sześciu latach zdecydował się na wydanie bulli erekcyjnej 27 września 1540 roku”.

Faktycznie był to Papież Paweł III (1534–1549), który bullą *Regimini militantis Ecclesiae* kanonicznie zatwierdził istnienie Towarzystwa Jezusowego. Św. Ignacy Loyola przybył z Paryża do Wenecji w końcu 1536 r., kiedy Paweł III rozpoczynał panowanie. Papież jak najżyczliwiej rozmawiał ze św. Ignacym i jego pierwszymi towarzyszami w Rzymie, latem 1537 r. i mianował komisję dla zbadania reguły, pozwalając jednocześnie na przyjmowanie dalszych kandydatów. 3 września 1539 r. Paweł III udzielił aprobaty ustnie.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że w tym czasie Henryk VIII przeprowadził w Anglii kasatę kilkuset klasztorów (według niektórych źródeł „zniszczył 600 klasztorów”), że Szwecja odpadła od Rzymu — jezuici jako narzędzie kontreformacji musieli być jak najlepiej widziani przez kurie rzymską, gdyż naprawdę Kościół bardzo ich potrzebował.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Wiesław F. TOPOROWSKI

Oczywiście, papieżem który zatwierdził powstanie zakonu jezuitów był Paweł III nie Pius III. Moja pomyłka, moja wina. Nie kwestionuję, że papież osobiście od samego początku ustosunkował się życzliwie do inicjatywy Ignacego; moja wzmianka o sześciolatej zwłoce dotyczyła okresu między r. 1534 (pierwsze śluby Ignacego i towarzyszy w Paryżu i początek pontyfikatu Pawła III) a rokiem 1540, datą formalnego zatwierdzenia zakonu. Jakkolwiek jezuici odegrali ogromną rolę w walce z reformacją, nie można twierdzić, że walka z reformacją była jedynym czy głównym zadaniem nowego zakonu.

Antoni POSPIESZALSKI

Würzburg, 26.01.91

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem dowiedziałem się z artykułu p. Czekajewskiego „Manna z nieba” (*Kultura nr 1-2/91*) o pojawieniu się na Morzu Irlandzkim nowego kraju — Isle of Man. Ten „niezwykle stabilny politycznie”, „mały niezawodny kraj” o „niezwykle wysokiej jakości życia”, „małej gęstości zaludnienia” i „wysoko wykwalifikowanej kadrze pracowników” jest w opinii autora wyma-

rzonym miejscem dla inwestorów zagranicznych. P. Czekajewski porównuje ten fenomen z Polską i wyciąga wniosek, że Polska nie ma żadnych szans na przyciągnięcie zagranicznego kapitału.

Isle of Man jest w rzeczywistości brytyjskim terytorium zależnym (*dependent territory*). Stopień zależności politycznej wyspy od Wielkiej Brytanii jest większy, niż np. Gibraltaru, który powszechnie uchodzi za własność korony brytyjskiej. Wyspę zamieszkuje 64 tys. mieszkańców. Dochód społeczny brutto na 1 mieszkańca wynosi 5.910 USD, czyli 46% średniego dochodu brytyjskiego. Podstawą tego dochodu są: hodowla bydła, rybołówstwo oraz eksport rudy ołowiu i żelaza. Dochód społeczny wyspy zmniejsza się zresztą o 1% rocznie, podobnie jak i liczba ludności (0,4% rocznie). To ostatnie zjawisko jest spowodowane emigracją młodzieży do Wielkiej Brytanii i pociąga za sobą starzenie się społeczeństwa. Już te powierzone informacje, które zaczerpnąłem z *Fischer Weltalmanach 91*, pozwalają stwierdzić, że Isle of Man przypomina raczej tzw. „Polskę C”, niż raj dla zagranicznych inwestorów. Wspomniane w artykule udogodnienia inwestycyjne władz wyspy wyglądają w tej sytuacji na wyraz protekcjonizmu państwowego, którego p. Czekajewski raczej nie popiera.

Nieścisłości autora są w moim odczuciu typowym przykładem swoistej „propagandy sukcesu”, uprawianej ostatnio w polskiej prasie w stosunku do państw zachodnich. Wypada żałować, że autor nie posłużył się jakimś bardziej przydatnym dla zilustrowania swoich skądinąd rozsądnych spostrzeżeń. Zamiast idealizowania Zachodu należałoby trzymać się faktów i za ich pomocą uzasadniać swoje tezy. Cała sprawa nie byłaby warta wzmianki, gdyby nie olbrzymi wpływ *Kultury* na kształtowanie świadomości politycznej społeczeństwa polskiego. Ten mocno naciągany sposób przedstawiania Zachodu z pewnością tej świadomości nie służy.

Podobne spostrzeżenia nasunęły mi się po lekturze artykułu p. Gawlikowskiego „Europejska wspólnota kulturowa a nacjonalizmy” (*Kultura nr 4/90*). Z wymową pedagogiczną tego artykułu trudno się zgodzić. Niektóre stwierdzenia autora dotyczące roli państwa, funkcjonowania gospodarki oraz zagadnień społecznych, jak np. tolerancja w stosunku do innych narodów i grup etnicznych, są jednak daleko idącymi uproszczeniami, które wymagałyby odrębnej polemiki. Tu ograniczę się do ubolewania, że w tak ważnym dla Redakcji *Kultury* punkcie, jak tolerancja w stosunkach między różnymi grupami etnicznymi nie wspomniano choćby jednym słowem tzw. „drugiej strony medalu”. Ta „druga strona” to konflikty w Irlandii Płn., w Kraju Basków, czy też ciągle bolesny, choć u nas mało znany konflikt w południowym Tyrolu. Przedstawianie Zachodu jako wprost raju tolerancji jest śmieszne dla każdego, kto przez jakiś czas mieszkał we Francji czy W. Brytanii. Tego rodzaju upiększenia rodzą jedynie kompleksy, a tych mamy przecież dosyć.

Z wyrazami szacunku

Leszek WOJNOWSKI

P.S. Przytaczanym przez p. Czekajewskiego postem, który miał dostawać niestrawności po obiadach z zachodnimi inwestorami w hotelu „Mariott”, jest minister Jacek Kuroń. W jego wypowiedzi chodziło co prawda o wódkę i coctails w ambasadach. Nie w Moskwie, a w Charkowie, nie samochód, a rower...

L.W.



## SPROSTOWANIE

Do artykułu Lecha Paszkowskiego „Polacy w Australii zredukowani” (*Kultura* nr 1/520-2/521) zakradło się kilka błędów. Na str. 196 w ostatnim paragrafie wypadły dwie linijki maszynopisu i z dwóch zdań powstało jedno. Poprawny tekst powinien brzmieć: „Jak mi pisał mgr Henryk Łukowicz, zachowała się tablica z 1886 r. jego dziadka, Jana Karola, lekarza z Chojnic, brata Maksymiliana, na której nazwisko było pisane nie tylko przez 'cz', ale i polskie 'ł'. Zachowała się też w domu Łukowiczów w Chojnicach księga gości z autografem dr. Maksymiliana z Adelaide, z końcówką 'cz', a nie 'tz', jak woli Grabowski, pod datą 4 lipca 1921 r.”. Poza tym na str. 197 powinno być „z Marianem Mokwą”, a nie „z Marcinem Mokwą”, a na str. 198 „Niemcza” zamiast „Niecza”. Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy — *Redakcja*.

## OŚWIADCZENIE

W związku z moim artykułem „Poszukiwanie dróg wyjścia” p. Jerzy Milewski, kierownik Biura Koordynacyjnego „Solidarności” w Brukseli, zarzuca mi, że wszystkie moje informacje dotyczące pomocy finansowej z USA są niezgodne z rzeczywistością. To pochopne stwierdzenie wynika z nieporozumień. Niewątpliwie p. Milewski ma rację, że nie było specjalnej dotacji Senatu USA, gdyż dotacje są przyznawane przez Kongres USA. Nie mniej jest faktem, że pierwsza dotacja w wysokości 1 miliona dolarów przyznana w 1987 r. była przekazana do dyspozycji p. Wałęsy, który ją zadysponował bez porozumiewania się z kimkolwiek, a nawet przy sprzeciwie Komisji Krajowej „Solidarności”, tworząc Fundację Społeczną „Solidarności”. Fundacja ta zresztą, poza zakupieniem kilku karet pogotowia, nie informuje społeczeństwa o swojej działalności i o swoich finansach. W swoim artykule nie kwestionowałem legalności przekazywanych pieniędzy amerykańskich do Polski za pośrednictwem biura p. Milewskiego i chętnie wierzę, że są one kontrolowane przez specjalną komisję Międzynarodowych Central Związkowych oraz przez GAO (U.S. General Accounting Office). Mnie idzie o to, by społeczeństwo było informowane, w jaki sposób i na jakie cele są wydawane te znaczne pieniądze. To jest — jak powiada p. Milewski — od 1990 r. półtora miliona dolarów, a ponadto jest odrębna dotacja NED-u (National Endowment for Democracy) w wysokości 300 tysięcy dolarów rocznie. Nawet na ostatnim zjeździe „Solidarności” nie było sprawozdania z wydatków, poza rozgrzeszeniem księdza Jankowskiego oraz dziwnym oświadczeniem p. Wałęsy, że nie chce mówić o sobie.

Od bardzo dawna bezskutecznie walczyliśmy o jawność w gospodarce finansowej „Solidarności”. Do tej pory nie ma sprawozdania ze zbieranych pieniędzy na wybory do Sejmu i Senatu, na wybory samorządowe — nie wiadomo jakie pieniądze i ile otrzymywały poszczególne regiony i jak one były wydawane. W czasie swoich rozjazdów po Stanach Zjednoczonych liderzy „Solidarności” — jak p. Wałęsa czy p. Kuratowska — otrzymywali różne dotacje, o których dowiadywaaliśmy się jedynie z amerykańskiej prasy związkowej. Nigdy one nie były podane do publicznej wiadomości w Polsce. Są to bardzo złe obyczaje, które należy tepić.

Pragniemy zaznaczyć, że jedyne sprawozdanie było ogłoszone przez rząd p. Mazowieckiego z wydatkowania zebranych na Zachodzie pieniędzy na tzw. Fundusz Mazowieckiego.

Jerzy GIEDROYC

Władysław Żeleński, Paryż — dla uczczenia pamięci śp. profesora U.J. Jerzego Langroda, zmarłego 24 grudnia 1990, długoletniego przyjaciela, przewodniczącego Komitetu Profesorów w postępowaniu sądowym w Niemczech w sprawie o mord profesorów lwowskich w 1941 r., oficera I dyw. Grenadierów, rannego w bitwie pod Lagarde w 1940 r. (Krzyż Walecznych i Croix de Guerre), w obozie jenieckim niestrudzonego organizatora i wykładowcy tajnego polskiego wydziału prawa, po wojnie wykładowcy uniwersytetów zagranicznych i CNRS .....	F. 300,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria) po raz 14-ty — Frs 100,00 .....	F. 390,00
Bezimiennie z Vancouver, BC (Kanada), po raz 24-ty — Dol. c. 69,00 .....	F. 290,00

## DZIĘKUJEMY!

Jacek Porawski, Rennens (Szwajcaria) — na poparcie działań niepodległościowych Vytautasa Landsbergisa .....	F. 391,39
Henryk Sporoń, Schweinfurt (RFN) — na pomoc dla walczących o niepodległość Litwy .....	F. 340,00

Dr Zygmunt Stankiewicz, Stockholm — dla Polaków w ZSSR — z życzeniami dla przyjaciół w Kraju i na emigracji z okazji 200 Rocznicy Konstytucji 3 Maja Krs 400 .....	F. 380,00
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc Polakom w Rosji — £ stg. 5,00 .....	F. 50,00

## TOWARZYSTWO HISTORYCZNO-LITERACKIE W PARYŻU

z okazji 200-lecia Konstytucji 3 Maja  
ogłasza

subskrypcję na luksusowe wydawnictwo pamiątkowe pt.:

### KONSTYTUCJA 3 MAJA W TRADYCJI TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU W LATACH 1832-1861 OBCHODY — MOWY — RELACJE

zawierające wypowiedzi i zapisy X. Adama Czartoryskiego, Adama Mickiewicza, Juliana Ursyn-Niemcewicza, Ludwika Platera i innych.

Data publikacji: kwiecień 1991

Cena w subskrypcji F. 150 (Francja), F. 170 (za granicą)

Cena w sprzedaży F. 200 (Francja), F. 230 (za granicą)

Zamówienia i czeki wystawione na SOCIETE HISTORIQUE ET LITTERAIRE POLONAISE należy wysłać na adres:

Mme Wiridiana REY,

6, Av. Delcassé, 75008 Paris

z zaznaczeniem „Publication Constitution 3 Mai”

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 3765-1991

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04  
FAX: 33-1-39-62-57-52

## PRZEDSTAWICIELSTWA

Prenumerata  
Egz. poj. 1/2-roczna roczna

### Ceny na rok 1991

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

## ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego  
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

## DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie śpięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „*Solidarność*” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: Policja i opozycja.

Str. 260.

Cena F. 80,00.

TOM 467 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY PIĄTY

zawiera opracowania: Jakub Karpiński: *Lekcja anatomii (makroscjologia i sowietologia)*; Bp Szczepan Wesoły: *Stosunki między gen. Sikorskim i bp. J. Gawlingą*; Tadeusz Wyrwa: *List do Redakcji w/s. powyższego artykułu*; Tadeusz Wyrwa: *Poselstwo R. P. w Madrycie w latach 1940-1944*; Franciszek Król: *Pierwszy strajk w Gułagu. Workuta 1953*; Michał Komar: *Pan Adam*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (dokończenie)*; *Raport płk. Henryka Pohoskiego*; *Dwa listy płk. Jana Rzepeckiego do Stanisława Mikołajczyka z lipca 1945 r.*; Andrzej Paczkowski: *UB a połączenie SL i PSL w 1949 roku*; Witold Dworzynski: *Biografia Wieniawy*; Tadeusz Wyrwa: *Polska w polityce międzynarodowej 1945-1947*; Jerzy R. Krzyżanowski: *Kąkolewnica — podlaski Katyń*; Tadeusz Wyrwa: *Działalność Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie* oraz bogaty dział LISTÓW.

Str. 240.

Cena F. 90,00.